

Moje stopy stoją na bezpiecznym, twardym podłożu, ale to tylko złudzenie.

GŁĘBIA CHALLENGERA

NEAL SHUSTERMAN



Neal Shusterman

Głębia Challengeera

przełożył Rafał Lisowski



Tytuł oryginału: *Challenger Deep*
Text copyright © 2015 by Neal Shusterman
Interior illustrations copyright © 2015 by Brendan Shusterman
Published by arrangement with HarperCollins Publishers.
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII
Copyright © for the Polish translation by Rafał Lisowski, MMXVII
Wydanie I
Warszawa MMXVII

[Dedykacja](#)

[Podziękowania](#)

[1 Czuję zapach ludzkiej krwi](#)

[2 Na dole można by spędzić wieczność](#)

[3 To ci dobrze zrobi](#)

[4 Tym cię mogą załatwić](#)

[5 Jestem kompasem](#)

[6 Taki kłopot](#)

[7 Dobroczynna otchłań](#)

[8 Sprowadzenie na ziemię](#)

[9 Nie jesteś pierwszy i nie będziesz ostatni](#)

[10 W kuchni strachów](#)

[11 Wszystko, co okropne, ma też piękną stronę](#)

[12 Zakupy](#)

[13 Dół nie istnieje](#)

[14 Stąd nie można tam dojść](#)

[15 Nie ma ruchu w przestrzeni](#)

[16 Majtek](#)

[17 Zapłaciłbym, żeby to zobaczyć](#)

[18 Tajemnicza popielniczka](#)

[19 Dekonstrukcja Xargona](#)

[20 Papugi zawsze się uśmiechają](#)

[21 Ankieta członka załogi](#)

[22 Materac go nie uratował](#)

[23 Osiem i pół sekundy](#)

- [24 Nie myśl, że należy do ciebie](#)
- [25 Nie dostałeś pozwolenia](#)
- [26 Stos paskudności](#)
- [27 Masy o odkązonych dłoniach](#)
- [28 Orzechowa tęcza](#)
- [29 Mam paru dobrych kolegów cirquijczyków](#)
- [30 Ruchy much](#)
- [31 Tylko tyle są warte?](#)
- [32 Mniej niż zero](#)
- [33 Słabość opuszcza ciało](#)
- [34 Za jej plecami](#)
- [35 Podejrzani inni niż zwykle](#)
- [36 Bez niej jesteśmy zgubieni](#)
- [37 Ślepy na trzecie oko](#)
- [38 Ach, oto i ssawka](#)
- [39 Gwiazdy na moim arkuszu](#)
- [40 Piekło pod żaglami](#)
- [41 Nic ciekawego](#)
- [42 Duch bitwy](#)
- [43 To wszystko kabuki](#)
- [44 Klucz bossa](#)
- [45 Głębokość dziesięciu grobów](#)
- [46 Bitwa o jedzenie](#)
- [47 Mamy nawet dzwon nurkowy](#)
- [48 Naprawdę taka samotna](#)
- [49 Nie chcesz whoppera?](#)
- [50 Okna w garażu](#)

- [51 Nie do końca ja](#)
- [52 Dowód prawdy](#)
- [53 Retrospekcja u moich stóp](#)
- [54 Należyta staranność](#)
- [55 Regularna plaga](#)
- [56 Gwiazdy są w porządku](#)
- [57 Chemikalia między nami](#)
- [58 Waleń](#)
- [59 Płonący człowiek](#)
- [60 Rzeczy, które mówią](#)
- [61 Sprawdź mózg](#)
- [62 Bardziej żywy, niż myślisz](#)
- [63 Ludzie, których nie znam, w miejscach, których nie widzę](#)
- [64 Gdyby ślimaki umiały mówić](#)
- [65 Ciemność po drugiej stronie](#)
- [66 Twoja przerażająca wspaniałość](#)
- [67 Ciało pomiędzy](#)
- [68 Robak w środku](#)
- [69 Twoje myśli są bez znaczenia](#)
- [70 Srebrny rekin](#)
- [71 Gorszy wróg](#)
- [72 Nasza jedyna nadzieja](#)
- [73 Honory](#)
- [74 Bogu ufamy](#)
- [75 Blokady bezpieczeństwa](#)
- [76 Nie da się tego zatrzymać](#)
- [77 Plama oleju](#)

- [78 Królestwo litościwego słońca](#)
- [79 Poświęcamy waszej uwadze](#)
- [80 Posolony ślimak](#)
- [81 Wojna Nemezji](#)
- [82 Głęboko w gardle zagłady](#)
- [83 Roboty na trybiki](#)
- [84 Utracony krajobraz](#)
- [85 Każde mięso trzeba zmiękczyć](#)
- [86 Terapeutyczne rodeo](#)
- [87 Wszystko, na co pracowaliśmy](#)
- [88 Toksyczna fala](#)
- [89 Ulice zielone od krwi](#)
- [90 Atlas naszprycowany](#)
- [91 Wcale nie na igrzyskach](#)
- [92 Większa niewiadoma](#)
- [93 Nie ma innego sposobu](#)
- [94 Masa krytyczna](#)
- [95 Wiatraki mojego umysłu](#)
- [96 Boski diler](#)
- [97 Czy mogę ci ufać?](#)
- [98 Rozkład potencjału](#)
- [99 Bieg po pierścieniach Saturna](#)
- [100 Jej osadzone kończyny](#)
- [101 Kawalek Skye](#)
- [102 Zawzięte paznokcie](#)
- [103 Magiczne mantry i lateksowe pudle](#)
- [104 Buntownicza baranina](#)

- [105 Rozwarstwienie](#)
- [106 Skóra osoby, którą byliśmy](#)
- [107 Klucz do forpiku](#)
- [108 Na górę czy na dół](#)
- [109 Kiedy tatuaże świrują](#)
- [110 Ogród rozkoszy nieziemskich](#)
- [111 Rozgrzany dla ciebie](#)
- [112 Abstrakcyjny kanciasty lęk](#)
- [113 Tacy byli](#)
- [114 Wesoły papierowy kubeczek](#)
- [115 Dalej, zwawo, hasa, hej! Buchaj, ogniu! Kotle, wrzeź!](#)
- [116 Brudne martini](#)
- [117 Kiedy cię nie było](#)
- [118 Phosta fizyka](#)
- [119 Mała gaduła](#)
- [120 Mapy mówią co innego](#)
- [121 Jaki psychiczny świat](#)
- [122 Z historycznego punktu świrzenia](#)
- [123 Bard i pies](#)
- [124 Nienawiść do pośłańca](#)
- [125 Przechadzka](#)
- [126 Doskonały ból](#)
- [127 Czy myślałeś o tym, że to mogło być celowe?](#)
- [128 Jelitowa współwłasność](#)
- [129 Przeciwno nam](#)
- [130 Pozostań popsuta](#)
- [131 Kartonowe forty](#)

- [132 Bez szeptania](#)
- [133 Szlak Grzywokłaczy](#)
- [134 Po drugiej stronie szyby](#)
- [135 Co jest bardziej przerażające?](#)
- [136 Stać się gwiazdozbiorem](#)
- [137 Zagubiony horyzont](#)
- [138 Strzelec na polach koloru](#)
- [139 Reszta jest milczeniem](#)
- [140 Czas na słowa minął](#)
- [141 Jakby nigdy nie istniał](#)
- [142 Czy jesteś albo kiedykolwiek byłeś?](#)
- [143 Zawiedli](#)
- [144 Inne miejsca](#)
- [145 Dusza naszej misji](#)
- [146 Toksyczne](#)
- [147 Genetyczna Forma Życia i Dyskowy System Operacyjny](#)
- [148 Jak chomik](#)
- [149 Półrozpad](#)
- [150 Ostatni na placu boju](#)
- [151 Król wszelkiego przeznaczenia](#)
- [152 Strach na wróble](#)
- [153 Przytłaczające nigdy](#)
- [154 Głębia Challengeera](#)
- [155 Westybul](#)
- [156 Tu nie ma cudów](#)
- [157 Trochę jak z religią](#)
- [158 Idioci na górze](#)

[159 10.03](#)

[160 Tak to działa](#)

[161 Miejsca egzotyczne](#)

[Od autora](#)

[Wykaz wybranych placówek, w których można otrzymać informacje i/lub pomoc w zakresie problemów i zaburzeń psychicznych dzieci i młodzieży](#)

[Przypisy](#)

Dla doktora Roberta Woodsa

Podziękowania

Głębia Challengeera to owoc miłości, dzieło, które powstawało przez lata. Przede wszystkim chcę podziękować mojemu synowi Brendanowi za jego wkład, mojemu synowi Jarrodowi za niesamowite zwiastuny książki oraz moim córkom, Joelle i Erin, za wiele cennych spostrzeżeń i za to, że są cudownymi ludźmi. Najszczerze wyrazy wdzięczności kieruję do mojej dyrektor wydawniczej Rosemary Brosnan, redaktor prowadzącej Jessiki MacLeish i wszystkich z wydawnictwa HarperCollins za niesamowite wsparcie okazane tej książce. Dziękuję również moim asystentkom Barb Sobel i Jessice Widmer za porządkowanie mojego życia i grafiku występów publicznych. Chciałbym podziękować Orange County Fictionaires za lata wsparcia i konstruktywnej krytyki, NAMI, czyli National Alliance on Mental Illness [Krajowemu Stowarzyszeniu ds. Chorób Psychiczych], za to, że jest tak wspaniałym źródłem wiedzy; i wreszcie moim przyjaciółom, którzy byli przy mnie w najlepszych i w najgorszych chwilach.

Dziękuję Wam wszystkim! Moja miłość do Was jest bez dna.



1 Czuję zapach ludzkiej krwi

Na pewno wiesz dwie rzeczy. Po pierwsze: byłeś tam. Po drugie: nie mogło cię tam być.

Żeby połączyć te dwie sprzeczne prawdy, potrzebna jest umiejętność zonglerki. Oczywiście zonglerka wymaga trzeciej piłki, żeby rytm był płynny. Ta trzecia piłka to czas – który podskakuje gwałtowniej, niż chcielibyśmy wierzyć.

Jest piąta rano. Wiesz o tym, bo na ścianie twojej sypialni wisi zegar na baterie, tykający tak głośno, że czasem musisz nakryć się poduszką. Ale choć tutaj jest piąta rano, jednocześnie gdzieś w Chinach jest piąta po południu – co udowadnia, że sprzeczne prawdy absolutnie mają sens, jeśli spojrzeć na nie z globalnej perspektywy. Przekonałeś się jednak, że wysyłanie myśli do Chin to nie zawsze dobry pomysł.

Twoja siostra śpi w sąsiednim pokoju, a dalej – twoi rodzice. Twój tata chrapie. Za chwilę twoja mama szturchnie go tak, że ojciec przewróci się na drugi bok, a wtedy chrapanie zamilknie, może aż do rana. To wszystko jest normalne i ta świadomość bardzo krzepi.

Po drugiej stronie ulicy na trawniku sąsiada włączają się zraszacze, syczą tak głośno, że zagłuszają tykanie zegara. Przez otwarte okno czujesz zapach wodnej mgiełki – lekko chlorowanej, mocno fluorowanej. Czyż to nie wspaniale, że trawniki w sąsiedztwie będą miały zdrowe zęby?

Syk zraszaczy to nie jest odgłos węży.

A malowane delfiny na ścianie u twojej siostry nie knują morderczych intryg.

A oczy stracha na wróble nie widzą.

Mimo to są takie noce, kiedy nie możesz zasnąć, bo rzeczy, którymi zonglujesz, wymagają od ciebie pełnej koncentracji. Boisz się, że któraś piłka upadnie, i co wtedy? Nie śmiesz sobie wyobrażać, co nastąpi po takiej chwili. Bo w takiej chwili czai się kapitan. Jest cierpliwy. I czeka. Zawsze.

Jeszcze zanim był statek, istniał już kapitan.

Ta podróż zaczęła się od niego, domyślasz się, że na nim się zakończy, a wszystko pomiędzy to sypka mąka z wiatraków, które mogłyby być olbrzymami mielącymi kości na chleb.

Stąpaj ostrożnie albo je zbudzisz.

2 Na dole można by spędzić wieczność

– Nie wie nikt, jak tam jest głęboko – mówi kapitan. Jego lewy wąs drga niczym ogon szczura. – Gdy kto w tę niezgłębioną czeluść wpadnie, to dni miną, zanim dojdzie do dna.

– Ale przecież rowy zmierzono – śmiem zauważyć. – Ludzie już tam byli. Wiem, że ta głębia ma dziesięć tysięcy dziewięćset metrów.

– Wiesz? – powtarza drwiąco. – Skąd niby rozdygotane, niedożywione szczenię takie jak ty miałyby wiedzieć cokolwiek ponad to, że ma mokry nos? – Potem śmieje się z tej oceny. Ogorzała twarz kapitana jest pełna zmarszczek, bo spędził całe życie na morzu, ale wiele z nich kryje się pod ciemną, splątana brodą. Kiedy się śmieje, zmarszczki naciągają się i widać mięśnie oraz ścięgna na jego karku. – Ano, prawda to, że ci, co zapaścili się w wody tego rowu, twierdzą, że widzieli dno, ale łą. Łą, aż się za nimi kurzy, lecieć potem z miotłą trzeba, coby z nich wypłoszyć ten kurz.

Przestałem starać się zrozumieć słowa kapitana, ale i tak mi ciężko. Jakbym coś przegapił. Coś ważnego i złudnie oczywistego, co zrozumieć dopiero wtedy, gdy będzie już za późno, żeby to miało znaczenie.

– Tam na dole można by spędzić wieczność – mówi kapitan. – Nie daj sobie wmówić, że jest inaczej.

Mam taki sen. Leżę na stole w aż za jasno oświetlonej kuchni, w której wszystkie urządzenia są lśniąco białe. Nie tyle nowe, ile udają takie. Plastik z chromowanymi akcentami, ale głównie plastik.

Nie mogę się ruszyć. Albo nie chcę. Albo się boję. Za każdym razem ten sen jest trochę inny. Wokół mnie krążą ludzie, tylko że to nie ludzie, a potwory w przebraniu. Weszły do mojego umysłu i wyrwały z niego obrazy, zmieniły te obrazy w maski ludzi, których kocham – ale ja wiem, że to tylko kłamstwo.

Śmieją się i mówią o rzeczach, które nic dla mnie nie znaczą, a ja leżę sparaliżowany wśród tych fałszywych twarzy, w samym środku uwagi. Zachwycają się mną, ale w taki sposób, w jaki zachwycamy się czymś, wiedząc, że wkrótce tego nie będzie.

– Chyba za wcześnie wyjęte – mówi potwór z twarzą mojej matki. – Za krótko siedziało.

– Tylko w jeden sposób można się o tym przekonać – odpowiada potwór przebrany za mojego ojca.

Wszędzie wkoło wyczuwam śmiechy – nie dobiegają z ich ust, bo usta masek się nie poruszają. Śmiech jest w ich myślach, którymi rzucają we mnie jak zatrutymi strzałkami z wyciętych dziur na oczy.

– To ci dobrze zrobi – mówi jeden z pozostałych potworów.

Potem brzuchy burczą im tak głośno jak osypująca się góra, kiedy wyciągają ku mnie ręce i pazurami rozdierają na strzępy swoje główne danie.

Nie pamiętam, kiedy zaczęła się ta podróż. Zupełnie jakbym był tu zawsze, tylko że to niemożliwe, bo istniało jakieś „wcześniej”, zaledwie tydzień, miesiąc albo rok temu. Ale jestem prawie pewien, że wciąż mam piętnaście lat. Nawet jeśli przebywam na tej starej drewnianej łajbie całe lata, wciąż mam piętnaście lat. Tutaj czas płynie inaczej. Nie porusza się naprzód, ale na boki jak krab.

Nie znam wielu pozostałych członków załogi. A może po prostu zapominam ich po chwili, bo wszyscy mają w sobie coś bezimiennego. Są wśród nich starsi, którzy chyba spędzili całe życie na morzu. To oficerowie na tym statku, o ile można ich tak nazwać. Halloweenowi piraci, tak samo jak kapitan, ze sztucznymi poczerniałymi zębami, bawiący się w „cukierek albo psikus” na progu piekła. Śmiałybym się z nich, gdybym nie wierzył z całego serca, że wyłupią mi oczy plastikowymi hakami.

Są też młodszy, dzieci takie jak ja: ich przestępstwa wyгнаły je z ciepłych domów albo z zimnych domów, albo z braku domów, wskutek rodzicielskiego spisku, który widzi wszystko nieruchomymi oczami Wielkiego Brata.

Moi koledzy z załogi, i chłopcy, i dziewczyny, skupiają się na swojej bezproduktywnej robocie i nie mówią do mnie nic oprócz: „Zejdź mi z drogi” albo „Nie ruszaj moich rzeczy”. Zupełnie jakby ktoś z nas miał cokolwiek, czego warto pilnować. Czasami próbuję pomóc im w ich zajęciach, ale odwracają się albo odpychają mnie, niezadowoleni, że się zaoferowałem.

Ciągle sobie wyobrażam, że na pokładzie jest moja młodsza siostra, chociaż wiem, że jej tu nie ma. Nie powinienem pomóc jej w matematyce? W myślach widzę, jak na mnie czeka i czeka, ale nie wiem, gdzie jest. Wiem tylko tyle, że nie przychodzę. Jak mogłem jej to zrobić?

Wszystkich na pokładzie ma na oku kapitan, który jest w pewien sposób znajomy, a w pewien nie. Wydaje się, że wie o mnie wszystko, chociaż ja nie wiem o nim nic.

– To jest moja sprawa, żeby trzymać w garści twoje sprawy – powiedział.

Kapitan ma przepaskę na oku i papugę. Papuga ma przepaskę na oku i kartę magnetyczną na szyi.

– Nie powinno mnie tu być – skarżę się kapitanowi. Zastanawiam się, czy mówiłem mu to już wcześniej. – Czekają na mnie klasówki i referaty do napisania, i brudne ciuchy, których nie zdążyłem pozbierać z podłogi, i koledzy, masa kolegów.

Kapitan zaciska szczęki i nic nie odpowiada, za to papuga mówi:

– Tu też będziesz miał kolegów, masę kolegów, tu też!

Któreś z dzieci szepce mi do ucha:

– Nic nie mów papudze. To tym cię mogą załatwić.

Tego, co czuję, nie da się ująć w słowa albo może się da, ale są to słowa w języku, którego nikt nie rozumie. Moje emocje mówią językami. Radość przekształca się w gniew, gniew w strach, a strach w ironiczne rozbawienie, jak wtedy, gdy skaczesz z samolotu z szeroko rozłożonymi rękami, wiedząc bez cienia wątpliwości, że potrafisz latać, a potem odkrywasz, że wcale nie potrafisz i nie tylko nie masz spadochronu, ale nawet ubrania, a ludzie w dole patrzą przez lornetki i śmieją się z ciebie, gdy spadasz jak kłoda ku bardzo krępującej zgubie.

Nawigator każe mi się tym nie przejmować. Wskazuje palcem blok pergaminu, w którym często rysuję dla zabicia czasu.

– Ujmij swoje uczucia w linie i kolory – mówi. – Kolor, walor, fular, dolar. Prawdziwe bogactwo jest w tym, jak twoje rysunki chwytają mnie za serce, krzyczą do mnie, otwierają mi oczy. Moje mapy wskazują nam kierunek, ale twoje wizje wskazują nam drogę. Jesteś kompasem, Cadenie Boschu. Jesteś kompasem!

– Jeżeli jestem kompasem, to raczej takim do niczego – stwierdzam. – Nie umiem znaleźć północy.

– Oczywiście, że umiesz – odpowiada. – Po prostu na tych wodach północ ciągle goni własny ogon.

To mi przypomina pewnego koleżę, który myślał, że północ znajduje się zawsze tam, gdzie patrzył. Teraz myślę, że może miał rację.

Nawigator wybrał mnie na współlokatora, kiedy mój dawny sąsiad, którego ledwo co pamiętam, zniknął bez wyjaśnienia. Dzielimy kajutę za małą dla jednej osoby, a co dopiero dla dwóch.

– Jesteś najprzyzwoitszy wśród tutejszych nieprzyzwoitych – mówi mi. – Twoje serce nie nasiąkło chłodem morza. Poza tym masz talent. Talent, talon, trwałość, zazdrość. Twój talent sprawi, że cały statek zzielenieje z zazdrości, zapamiętaj moje słowa!

To chłopak, który był już na wielu wyprawach. I jest dalekowidzem. To znaczy, że kiedy na ciebie patrzy, nie widzi ciebie, ale coś za tobą, ileś wymiarów dalej niż nasz. Zwykle nie patrzy na ludzi. Za bardzo jest zajęty tworzeniem map nawigacyjnych. Tak je w każdym razie nazywa. Są pełne liczb i słów, i strzałek, i linii łączących kropki gwiazd w konstelacje, których nigdy wcześniej nie widziałem.

– Tutaj niebo jest inne – mówi. – Trzeba widzieć w gwiazdach inne wzory. Wzory, wagary, skalary, zegary. Chodzi o to, żeby odmierzać mijający dzień. Rozumiesz?

– Nie.

– Jak ziemia, to płoza, jak płoza, to koza. To jest odpowiedź, powiadam. Koza. Zjada wszystko, trawi świat, zmienia go w część własnego dna, a potem wypluwa, przywłaszczając sobie jego terytorium. Terytorium, prosektorium, podmuch, posłuch. Posłuchaj, co mówię. Znak kozy kryje odpowiedź na pytanie o cel naszej podróży. W tym wszystkim jest sens. Szukaj kozy.

Nawigator jest genialny. Tak genialny, że głowa mi pęka od samej jego obecności.

– Dlaczego się tu znalazłem? – pytam go. – Skoro wszystko ma sens, jaki jest mój

sens na tym statku?

Wraca do swoich map, pisze jakieś słowa i dodaje nowe strzałki do tych, które już tam są, nawarstwia swoje myśli tak gęsto, że tylko on umie je rozszyfrować.

– Sens, fajans, futryna, fiszbin, delfin, drzwi. Ty stanowisz drzwi do zbawienia świata.

– Ja? Jesteś pewien?

– Równie pewien jak tego, że jedziemy tym pociągiem.

Drzwi, futryna, delfiny tańczą na ścianach pokoju mojej siostry, kiedy stoję w drzwiach. Delfinów jest siedem. Wiem, bo to ja je dla niej namalowałem, a każdy symbolizuje jednego z *Siedmiu samurajów* Kurosawy, ponieważ chciałem, żeby wciąż je ceniła, kiedy będzie starsza.

Dziś wieczorem delfiny piorunują mnie wzrokiem, a choć ze względu na brak kciuków raczej nie poradzą sobie z mieczami, wydają mi się dużo groźniejsze niż zwykle.

Mój ojciec kładzie Mackenzie do łóżka. Dla niej jest już późno, ale dla mnie nie. Właśnie skończyłem piętnaście lat; ona niedługo skończy jedenaście. Minie jeszcze wiele godzin, zanim zasnę. O ile zasnę. Bo może nie. Nie dzisiaj.

Na dole matka rozmawia z babcią przez telefon. Słyszę, jak gada o pogodzie i termitach. Termyty pożerają nasz dom.

– ...ale dezynsekcja pod płachtą to taki kłopot – słyszę słowa mamy. – Musi być lepszy sposób.

Tata całuje Mackenzie na dobranoc, a potem się odwraca i widzi, że tam stoję, nie całkiem w pokoju, ale nie całkiem na zewnątrz.

– O co chodzi, Caden?

– Nic, po prostu... Nieważne.

Ojciec wstaje, a moja siostra odwraca się do ściany z delfinami, pokazując, że szykuje się do krainy snów.

– Jeśli masz problem, możesz mi powiedzieć – mówi tata. – Wiesz o tym, prawda?

Odpowiadam tak cicho, żeby Mackenzie nie słyszała:

– No bo... w szkole jest taki jeden chłopak.

– Tak?

– To znaczy nie jestem pewien...

– Tak?

– No bo... myślę, że chce mnie zabić.

7 Dobroczynna otchłań

W centrum handlowym jest taki kubeł na datki. Duży żółty lejek do zbierania pieniędzy dla jakiejś instytucji na rzecz dzieci, o których bardzo nieprzyjemnie myśleć. „Małe Ofiary Dalekich Wojen Bez Rąk i Nóg” albo coś w tym stylu. Wrzuca się monetę w szparę. Moneta kręci się w kółko w tym dużym żółtym lejku przez dobrą minutę, terkocze rytmicznie coraz głośniej i głośniej, coraz gwałtowniej, coraz rozpaczliwiej, w miarę jak spiralnym ruchem zbliża się do otworu. Kręci się coraz szybciej – cała ta energia kinetyczna jest wtłaczana w szyjkę, aż wreszcie lejek ryczy niczym tuba alarmowa – a potem milknie, kiedy moneta spada w czarną otchłań kubła.

Jestem tą monetą, kiedy się zsuwa, wyje w szyjce lejka, i nic poza moją energią kinetyczną i siłą odśrodkową nie powstrzymuje mnie przed spadnięciem w ciemność.

8 Sprowadzenie na ziemię

– Jak to chce cię zabić? – Mój tata wychodzi na korytarz na piętrze i zamyka drzwi do pokoju siostry. Słabe światło pada pod nieśmiałym kątem z łazienki w głębi holu. – Caden, to jest poważna sprawa. Jeżeli jakiś chłopiec w szkole ci grozi, musisz mi powiedzieć, co się dzieje.

Stoi i czeka, a ja żałuję, że się w ogóle odezwałem. Mama dalej rozmawia z babcią przez telefon i przychodzi mi do głowy, że może to wcale nie jest babcia, może mama udaje – rozmawia z kimś innym, być może o mnie, używając szyfru. Ale po co? Przecież to bez sensu. Nie, po prostu gada z babcią. O termitach.

– Powiedziałeś o tym chłopcu nauczycielom?

– Nie.

– Co zrobił? Groził ci bezpośrednio?

– Nie.

Tata robi głęboki wdech.

– Dobrze, to skoro otwarcie ci nie groził, może nie jest aż tak źle, jak myślisz. Czy on chodzi do szkoły z jakąś bronią?

– Nie. To znaczy może. Tak... tak, myślę, że chyba ma nóż.

– Widziałeś?

– Nie, po prostu wiem. No wiesz, to jest ten typ chłopaka, który ma nóż.

Tata znowu głęboko oddycha i drapie się po przerzedzonych włosach.

– Powtórz mi dokładnie, co ci powiedział. Spróbuj sobie wszystko przypomnieć.

Grzebię głęboko w mózgu, szukając słów, które to wytłumaczą, ale nie dają rady.

– Nie chodzi o to, co powiedział, ale czego nie powiedział.

Mój tata jest księgowym: lewa półkula, rozumowanie liniowe, dlatego wcale mnie nie dziwi, kiedy stwierdza:

– Nie rozumiem.

Odwracam się i zaczynam bawić fotografią rodzinną na ścianie, przekrzywiam ją. To mi przeszkadza, więc szybko znowu ją prostuję.

– Nieważne – odpowiadam. – To nie ma znaczenia. – Próbuję uciec na dół po schodach, bo bardzo chcę usłyszeć, o czym rozmawia mama, ale tata lekko łapie mnie za ramię. Wystarczy, żeby mnie zatrzymać.

– Poczekaj chwilę – mówi. – Chciałbym wszystko zrozumieć. Chłopiec, który cię zdenerwował, chodzi z tobą do klasy i w jego zachowaniu jest coś, co wydaje ci się groźne.

– W sumie to nie mam z nim lekcji.

– Więc skąd go znasz?

– Nie znam. Ale czasami mijam go na korytarzu.

Tata spuszcza wzrok, liczy coś w myślach, a potem znowu na mnie patrzy.

– Caden... skoro go nie znasz, a on nigdy ci nie groził, po prostu czasem mija cię na korytarzu, to skąd przyszło ci do głowy, że chce ci zrobić krzywdę? Pewnie nawet cię nie kojarzy.

- Jasne, masz rację, po prostu jestem zestresowany.
- Pewnie reagujesz przesadnie.
- Właśnie, przesadnie. – Teraz, kiedy powiedziałem to na głos, słyszę, jak głupio brzmiało to, co mówiłem wcześniej. Przecież ten chłopak nawet nie wie, że istnieję. A ja nie wiem, jak ma na imię.
- Liceum bywa stresujące – stwierdza tata. – Wiele rzeczy może człowieka zdenerwować. Przykro mi, że nosiłeś w sobie coś takiego. Co za straszna myśl! Ale każdy czasami potrzebuje, żeby go sprowadzić na ziemię, no nie?
- Właśnie.
- To co, lepiej się czujesz?
- Aha, już lepiej. Dzięki.

Kiedy odchodzę, on dalej mi się przygląda, jakby wiedział, że kłamię. Rodzice zauważyli, że ostatnio mnie nosi. Tata uważa, że powinienem zająć się sportem, żeby uwolnić tę nerwową energię. Mama uważa, że powinienem uprawiać jogę.

9 Nie jesteś pierwszy i nie będziesz ostatni

Morze rozciąga się we wszystkie strony. Przed nami, za nami, za prawą burtą, za lewą i w dół, w dół, w dół. Nasz statek to galeon, sfatygowany milionem wypraw sięgających czasów jeszcze mroczniejszych niż obecne.

– To najlepszy statek tego rodzaju – powiedział mi kiedyś kapitan. – Zaufaj mu, a nigdy nie zwiedzie cię na manowce.

Całe szczęście, bo u steru nigdy nikogo nie ma.

– Czy on ma jakąś nazwę? – spytałem kiedyś kapitana.

– Nadać mu nazwę to go zatopić – odparł. – To, co nazywamy, waży więcej niż morze, które wypiera. Spytaj dowolnego wraku.

Nad łukiem głównego wjazdu wisi wypalona w drewnie tabliczka z napisem: *Nie jesteś pierwszy i nie będziesz ostatni*. Zadziwia mnie, że wobec tych słów czuję się jednocześnie nieistotny i wyróżniony.

– Przemawia do ciebie? – pyta papuga przycupnięta nad włazem, obserwując mnie, stale mnie obserwując.

– Nie za bardzo – odpowiadam.

– Jeśli przemówi – radzi papuga – to każde słowo zapisuj.

W Plastikowej Białej Kuchni bywam prawie co noc. Konkrety zmieniają się za każdym razem na tyle, żebym nie mógł przewidzieć wyniku snu. Gdyby zawsze było tak samo, przynajmniej wiedziałbym, czego się spodziewać – a gdybym to wiedział, mógłbym przygotować się na najgorsze.

Tej nocy się chowam. Mało jest w kuchni miejsc, gdzie można się ukryć. Wepchnąłem się do supernowoczesnej lodówki. Drzę i myślę o kapitanie. O tym, że nazwał mnie rozdygotanym szczeniciem. Ktoś otwiera drzwiczki; jej maski nie kojarzę. Kręci głową.

– Biedaczysko, musi ci być zimno. – Nalewa kawy z pełnego dzbanka, ale zamiast mi ją podać, sięga wprost przez mój pępek i z lodówki, skądś za mną, wyjmuję mleko.



11 Wszystko, co okropne, ma też piękną stronę

Pod głównym pokładem znajdują się kajuty załogi. Pokład załogi jest dużo większy, niżby się wydawało, jeśli patrzeć na statek z zewnątrz. Tak duży, że to wręcz niemożliwe. Jest tam długi korytarz, który ciągnie się i ciągnie, jakby nigdy się nie kończył.

Szczeliny między deskami, z których składają się kadłub i pokłady statku, wypełnia cuchnąca czarna smoła, żeby woda się tamtędy nie wlewała. Smród nigdzie nie jest silniejszy niż tam na dole – ostry i organiczny, jakby te wszystkie organizmy, które czas zatopił w tej smole, wciąż nie skończyły się rozkładać. Cuchnie tam zagęszczonym potem i tym, co zbiera się pod paznokciami u nóg.

– Zapach życia, mały – odparł kapitan z dumą, gdy pewnego razu spytałem go o ten smród. – Może i życia w stanie transformacji, ale jednak życia. Jest jak słony fetor basenu pływowego. Ostry i paskudny, a jednak orzeźwiający. Fala uderza o brzeg, wtłacza ci mgiełkę do nosa, ale czy na nią złorzeczysz? Nie! Bo przypomina ci, jak bardzo kochasz morze. Ten letni zapach plaży, który zabiera cię do najbardziej błogiego miejsca twojej duszy, to nic innego niż łagodna woń morskiego rozkładu. – Potem odetchnął głęboko i z zadowoleniem, aby dowieść swojej racji. – Powiadam ci, wszystko, co okropne, ma też piękną stronę.

Kiedy ja i moi koledzy byliśmy młodszy i umieraliśmy z nudów w centrum handlowym, mieliśmy taką grę. Nazywaliśmy ją „Psychol na zakupach”. Wybieraliśmy sobie jakąś osobę, parę, a czasem całą rodzinę – ale zawsze najlepiej wychodziło z kimś, kto robił zakupy sam. Potem wymyślaliśmy historię jego tajnej motywacji. Zwykle miała związek z siekierą i/lub piłą łańcuchową oraz piwnicą i/lub strychem. Pewnego razu upatryliśmy sobie drobną staruszkę, która kuśtykała przez centrum handlowe z taką zawziętością wypisaną na ściągniętej twarzy, że uznaliśmy ją za wymarzoną seryjną morderczynię. Historia była taka, że kupuje w centrum całą masę rzeczy – za dużo, żeby to wszystko unieść, więc zamawia dostawę. Potem łapie kuriera i zabija go właśnie tym, co jej przywiózł. W piwnicy i/lub na strychu ma całą kolekcję nowo zakupionych narzędzi zbrodni i martwych kurierów z ups.

Chodziliśmy więc za nią przez jakieś dwadzieścia minut, przekonani, że to jest strasznie śmiesznie... aż weszła do sklepu ze sztucami i kupiła nowiutki nóż rzeźnicki. Wtedy zrobiło się jeszcze śmieszniej.

Ale kiedy wychodziła ze sklepu, nawiązałem z nią kontakt wzrokowy – głównie dlatego, że założyłem się sam ze sobą, że nie stchórzę. Wiem, że tylko mi się przywidziało, ale w jej oczach były złośliwość i okrucieństwo, których nigdy nie zapomnę.

Ostatnio wszędzie widuję te jej oczy.

Stoję pośrodku salonu, zatapiam zgięte palce stóp w naszym pluszowym, lecz bezdusznie beżowym dywanie.

– Co robisz? – pyta Mackenzie, gdy wraca ze szkoły i rzuca plecak na kanapę. – Dlaczego tak stoisz?

– Słucham – odpowiadam.

– Czego słuchasz?

– Nasłuchuję termitów.

– Termyty słychać? – Ta myśl ją przeraża.

– Może.

Nerwowo skubie duże niebieskie guziki swojego żółtego wełnianego płaszczyka, zupełnie jakby przed termitami można się było pozapinać jak przed chłodem. Potem nieśmiało przykładła ucho do ściany, bo pewnie uznała, że tak łatwiej będzie usłyszeć termyty, niż stojąc na środku cichego pokoju. Słucha przez kilka chwil, po czym mówi trochę niespokojnie:

– Nic nie słyszę.

– Nie bój się – odpowiadam moim najbardziej pocieszającym tonem. – Termyty to tylko termyty.

I choć to najbardziej neutralne stwierdzenie świata, rozbraja cały insektowy niepokój, jaki w niej zaszczepiłem. Zadowolona idzie do kuchni coś przegryźć.

Ja się nie ruszam. Nie słyszę termitów, ale je wyczuwam. Im więcej o nich myślę, tym bardziej je wyczuwam, i to mnie dekoncentruje. Jestem dziś bardzo zdekoncentrowany. Nie przez rzeczy, które widzę, ale przez te, których nie widzę. Rzeczy w ścianach i wiele pod moimi stopami, rzeczy, które od zawsze budziły u mnie dziwną fascynację. Dziś ta fascynacja oblaźła mnie jak zgraja drzewożernych owadów powoli rujnujących nasz dom.

Mówię sobie, że to dobrze, bo dzięki temu nie wpadam w spiralę paskudnych myśli o tym, co być może dzieje się w szkole, a być może nie. Pożyteczna dekoncentracja, więc chwilowo jej ulegam.

Zamykam oczy i czuję. Przeciskam myśli przez podeszwy stóp.

Moje stopy stoją na bezpiecznym, twardym podłożu, ale to tylko złudzenie. Nasz dom należy do nas, prawda? Ale właściwie to nie, bo hipotekę ma bank. Więc co należy do nas? Ziemia? Też nie, bo co prawda mamy akt własności ziemi, na której stoi dom, ale nie mamy praw do minerałów. Co to są minerały? Wszystko, co znajduje się w glebie. Generalnie jeśli coś jest wartościowe albo może być wartościowe kiedyś, nie jest nasze. Do nas należy tylko pod warunkiem, że nie ma wartości.

Więc co tak naprawdę znajduje się pod moimi stopami, pod tym kłamstwem o własności? Kiedy się skupię, czuję, co tam jest. Pod dywanem – betonowa płyta spoczywająca na gruncie ubitym dwadzieścia lat temu ciężkim sprzętem. Niżej – zagubione życie, którego nikt nigdy nie odnajdzie. Mogą tam być ślady cywilizacji zniszczonych przez wojny, przez bestie albo przez układy odpornościowe, które oblały

niezapowiedzianą kartkówkę z bakterii. Czuję kości i skorupy prehistorycznych stworzeń. Potem wysyłam myśli jeszcze głębiej do skały macierzystej, gdzie w kieszonkach gaz wrze i bulgocze od zaburzeń jelitowych ziemi usiłującej strawić długą i często smutną historię swojego życia. Do miejsca, gdzie wszystkie boże stworzenia zostają w końcu przefiltrowane przez skałę i przekształcone w czarną maź, którą my wysysamy potem z ziemi i spalamy w naszych samochodach, zmieniając te niegdyś żywe organizmy w gazy cieplarniane, co chyba lepsze, niż gdyby spędziły wieczność jako szlam.

Jeszcze głębiej czuję, jak chłód ziemi jest zastępowany żarem, aż wreszcie trafiam na jaskinie rozgrzanej do czerwoności, a później do białości magmy, wirującej pod niewyobrażalnym ciśnieniem. Jądro zewnętrzne, potem jądro wewnętrzne, aż do samego centrum grawitacji, a potem grawitacja się odwraca. Żar i ciśnienie zaczynają słabnąć. Ciekła skała znów krzepnie. Przeciskam się przez granit, szlam, kości, ziemię, robaki, termyty, a w końcu wybijam na polu ryżu gdzieś w Chinach, udowadniając, że coś takiego jak dół nie istnieje, bo ostatecznie dół to góra.

Otwieram oczy, niemal ze zdziwieniem, że znajduję się we własnym salonie, i dociera do mnie, że między moim domem a Chinami jest idealny pion. Zastanawiam się, czy przeciskanie myśli wzdłuż tego pionu tak jak przed chwilą może być niebezpieczne. Czy żar i ciśnienie mogą te myśli spotęgować, tak że wyjdą one drugą stroną jako trzęsienie ziemi?

Chociaż wiem, że to tylko luźna, nerwowa myśl, nazajutrz rano, a potem kolejnego ranka i każdego od tej chwili, potajemnie ze strachem sprawdzam wiadomości, czy w Chinach nie było trzęsienia ziemi.

Chociaż różni wystraszeni członkowie załogi mówili mi, żebym nie zapuszczał się w nieznane zakamarki statku, nie mogę się powstrzymać. Coś pcha mnie do odszukiwania rzeczy, które lepiej zostawić w spokoju. Zresztą jak można przebywać na wielkim galeonie i nie chcieć go spenetrować?

Pewnego ranka, zamiast iść na pokład na apel, wstaję wcześniej, żeby się rozejrzeć. Ruszam długim, słabo oświetlonym korytarzem pokładu załogi. Biorę ze sobą mój blok pergaminu i robię pośpieszne szkice.

– Przepraszam – mówię do załogantki mającej w mroku swojej kajuty. Nie widziałem jej do tej pory. Ma wielkie oczy, rozmazany tusz do rzęs i nosi obrózkę z pereł, która wygląda tak, jakby dziewczynę dusiła. – Dokąd biegnie ten korytarz?

Patrzy na mnie podejrzliwie.

– Donikąd, cały czas jest tutaj. – Potem z powrotem znika w kajucie i zatrzaskuje drzwi. Zatrzymuję jej obraz w pamięci, a potem w moim bloku szkicuję jej twarz z chwili, gdy cofała się w mrok.

Idę dalej. Żeby nie stracić poczucia odległości w tym nieskończonym korytarzu, liczę drabiny. Jedna, dwie, trzy. Dochodzę do dziesiątej, ale korytarz po prostu ciągnie się przede mną dalej. W końcu się poddaję i wspinam drabiną numer dziesięć, tylko po to, żeby wyjść na pokład włazem na śródkręciu. Uświadamiam sobie, że każda z drabin, bez względu na to, w którym miejscu pokładu załogi się znajduje, prowadzi do tego samego włazu. Szedłem korytarzem przez dwadzieścia minut, a nigdzie nie doszedłem.

Na barierce nade mną siedzi papuga, jakby czekała tam tylko po to, żeby ze mnie zadrwić.

– Stąd nie można dojść tam – mówi. – Nie wiesz? Nie wiesz?

Moja funkcja na statku to „stabilizator”. Nie przypominam sobie, kiedy mi ją przydzielono, ale pamiętam, że tłumaczył mi ją kapitan.

– Masz wyczuwać, kiedy statek na morzu przechyla się na bok, i przechodzić na przeciwną burzę, z prawej na lewą, z lewej na prawą – powiedział.

Innymi słowy moim zadaniem, tak jak większości załogi, jest bieganie po pokładzie z boku na bok, żeby zneutralizować kołysanie morza. To kompletnie bez sensu.

– Jakim cudem na statku takich rozmiarów nasz ciężar miałby cokolwiek zmienić? – zapytałem go kiedyś.

Sporunował mnie przekrwionym okiem.

– Wolałbyś być balastem?

W ten sposób zamknął mi usta. Widziałem ten „balast”. Marynarzy ściśniętych w ładowni jak sardynki, żeby obniżyć środek ciężkości statku. Jeśli na pokładzie nie ma dla ciebie innej pracy, stajesz się balastem. Powinienem był wiedzieć, że nie warto się skarżyć.

– W miarę zbliżania się do celu – powiedział mi kiedyś kapitan – zacznę wybierać specjalny zespół do naszej wielkiej misji. Rób z zapałem i w pocie czoła to, co do ciebie należy, a może jakimś cudem zasłużysz, żeby się w nim znaleźć.

I chociaż nie wiem, czy powinno mi na tym zależeć, może to lepsze od ganiań bez celu po pokładzie. Pewnego razu spytałem kapitana, jak daleko jesteśmy od Rowu Mariańskiego, bo na morzu każdy dzień jest identyczny. Wydaje się, że ani się nigdzie nie zbliżamy, ani od niczego nie oddalamy.

– Taka natura wodnego horyzontu, że nie czuć ruchu w przestrzeni – odparł. – Ale poznamy, gdy zaczniemy się zbliżać do rowu, bo pojawią się znaki i mroczne wróżby.

Nie śmiem pytać kapitana, na czym te wróżby polegają.

Kiedy morze jest spokojne, a ja nie muszę biegać od burty do burty, czasem na pokładzie spędzam czas z Carlyle'em. Carlyle to tutejszy majtek – rudzielec z krótkim meszkiem na policzkach, o uśmiechu przyjaźniejszym niż u całej reszty na statku. Jest starszy, jak oficerowie, ale do nich nie należy. Wygląda na to, że sam sobie ustala godziny pracy i zasady, a kapitan mu w tym nie przeszkadza. Na statku on jeden jest sensowny.

– Zostałem majtkiem z wyboru – powiedział mi kiedyś. – Robię to, bo jest potrzebne, no i takie z was fleje.

Dziś zauważam, że szczury uciekają przed wodą z jego mopa i znikają w ciemnych zakamarkach pokładu.

– Przekłete draństwo – mówi Carlyle, macza mop w wiadrze z mętną wodą i szoruje dechy. – Nigdy się ich nie pozbędziemy.

– Na starych statkach zawsze są szczury – odpowiadam.

Unosi brew.

– Szczury? Myślisz, że to szczury?

Alternatywnej teorii nie podaje. Czmychają tak szybko i chowają się tak głęboko w cieniu, że nie jestem pewien, czym naprawdę są. Robię się przez to nerwowy, więc zmieniam temat.

– Powiedz mi o kapitanie coś, czego nie wiem.

– To twój kapitan. Wszystko, co warto wiedzieć, już wiesz.

Ale po samym tonie jego głosu poznaję, że Carlyle jest wtajemniczony jak mało kto. Dochodzę jednak do wniosku, że jeśli chcę poznać odpowiedzi, muszę zadawać konkretne pytania.

– Opowiedz, jak stracił oko.

Carlyle wzdycha, rozgląda się, żeby sprawdzić, czy nikt nie patrzy, a potem zaczyna szeptać.

– Z tego, co mi wiadomo, papuga straciła oko wcześniej niż kapitan. Podobno sprzedała je wiedźmie, która miała z niego uwarzyć eliksir zmieniający w orła. Ale wiedźma ją oszukała, sama wypita eliksir i odfrunęła. Papuga nie chciała być jedyna z przepaską na oku, więc kapitanowi też je wydłubała.

– To nieprawda – stwierdzam z uśmiechem.

Carlyle wciąż ma poważną minę. Szybkim ruchem wylewa mydliny na pokład.

– Prawda na tyle, na ile trzeba.

Smola między deskami jakby uciekała przed tą powodzią.

Nawigator mówi, że widok z bocianiego gniazda przyniesie mi „komfort, klarowność, czarowność, czystość”.

Jeśli to test wielokrotnego wyboru, wybieram „a” i „b”, ale biorąc pod uwagę załogę, może moim ołówkiem hb powinienem po prostu zaczerpnąć kwadracik odpowiedzi „d”.

Bocianie gniazdo to mała okrągła balia wysoko na grotmaszcie. Zmieści się tam jeden, góra dwóch obserwatorów. Uznaję, że to dobre miejsce, gdzie będę sam ze swoimi myślami, ale powinienem już wiedzieć, że moje myśli nigdy nie są samotne.

Jest wczesny wieczór, kiedy wspinam się po wytartych drabinkach, które spowijają statek jak całuny. Za horyzontem powoli znika ostatni ślad zmierzchu i pod nieobecność słońca dziwne gwiazdy dają się skusić do świecenia.

Sznurowa drabinka zwięża się w miarę zbliżania do bocianiego gniazda, przez co wspinaczka robi się coraz niebezpieczniejsza. W końcu wciągam się do małej drewnianej bali przytulonej do masztu – żeby odkryć, że wcale nie jest mała. Tak jak tylny pokład załogi wydaje się mała z zewnątrz, za to w środku kocią przestrzeń ma za trzydzieści metrów średnicy. Na obitych aksamitem fotelach wyciągają się członkowie załogi, sączą neonowe martini ze wzrokiem wbitym gdzieś w dal i słuchają orkiestry grającej smooth jazz.

– Miejsce dla jednej osoby? Proszę za mną – mówi hostessa i prowadzi mnie do fotela z widokiem na wodę połyskującą księżycowym blaskiem.

– Skaczesz? – pyta błady mężczyzna w sąsiednim fotelu, który pije coś niebieskiego i być może radioaktywnego. – Czy przyszedłeś tylko popatrzeć?

– Przyszedłem oczyścić myśli.

– Napij się – mówi, wskazując na radioaktywny drink. – Dopóki nie znajdziesz własnego koktajlu, możesz się poczęstować moim. Tutaj każdy musi znaleźć swój koktajl, inaczej czeka go porządne lanie i zostanie wysłany do łóżka. Właśnie tak kończą się tu wszystkie dziecięce rymowanki. Nawet te, co się nie rymują.

Spoglądam na kilkanaście osób radośnie pogrążonych w dość psychodelicznym stuporze.

– Nie rozumiem, jak to wszystko mieści się w bocianim gnieździe.

– Elastyczność to jedna z fundamentalnych zasad percepcji – odpowiada mój sąsiad.

– Ale tak jak gumka recepturka pęka, gdy za długo leży na słońcu, przypuszczam, że bocianie gniazdo z czasem zorientuje się, że nadużyliśmy jego delikatnej elastycznej natury, a wtedy również pęknie, kurcząc się do właściwych rozmiarów. Wówczas wszyscy znajdujący się wewnątrz zostaną zgnieceni. Ich krew, kości i całe trzewia zostaną przeciśnięte przez dziury po sękach jak plastelina. – Potem unosi szklanke. – Zapłaciłbym, żeby to zobaczyć!

Kilka metrów dalej członek załogi w niebieskim kombinezonie wdrapuje się na brzeg bocianiego gniazda, rozpościera ramiona i skacze na pewną śmierć. Wstaję, wyglądam za krawędź, ale on zniknął. Wszyscy zebrani klaszczą uprzejmie, a orkiestra zaczyna grać *Orange Colored Sky* Nat King Cole’a, choć teraz to wieczorne niebo wcale nie jest

pomarańczowe, a fioletowe jak siniak.

– Dlaczego wszyscy tak sobie siedzicie?! – krzyczę. – Nie widzieliście, co się stało?!
Mój towarzysz od drinka wzrusza ramionami.

– Skoczkowie robią, co robią. Nasze zadanie to oklaskiwać ich odwagę i wychwalać ich życie. – Od niechcienia zerka za krawędź. – Ale tu jest tak wysoko, że nigdy nie widać, jak się rozkwaszają. – Dopija koktajl. – Zapłaciłbym, żeby to zobaczyć!

W szkole nie ma nikogo, kto źle mi życzy.

Powtarzam to sobie co rano przed sprawdzeniem wiadomości o trzęsieniach ziemi w Chinach. Powtarzam to sobie, gdy pędzę z lekcji na lekcję. Powtarzam to sobie, ilekroć mijam chłopaka, który chce mnie zabić, a jednak nie wie o moim istnieniu.

„Reagujesz przesadnie”, powiedział mój ojciec. Może to prawda – ale sugeruje, że naprawdę było na co reagować. Kiedy mam lepsze chwile, chętnie skopałbym sobie tyłek za bycie tak głupim, żeby myśleć, że tamten chłopak się na mnie uwziął. Więc jak to o mnie świadczy, skoro ochota, żeby skopać sobie tyłek, to przejaw moich lepszych chwil?

„Potrzeba ci więcej skupienia”, powiedziała by moja matka. Wkręciła się w medytację i surowe wegańskie żarcie, co pewnie pomaga jej odreagować, że nienawidzi zarabiać na życie wydłubywaniem ludziom mięsa spomiędzy zębów.

Skupienie jest jednak czymś, o czym łatwiej mówić niż to osiągnąć. Przekonałem się o tym na warsztatach garncarskich, na które kiedyś chodziłem. Kiedy instruktorka lepi garnek, wygląda to prosto, ale tak naprawdę wymaga wielkiej precyzji i umiejętności. Kładzie się bryłę gliny w samym centrum koła garncarskiego, a potem pewnymi dłońmi wciska się kciuk w środek i milimetr po milimetrze rozwiera się masę coraz szerzej. Ale kiedy ja próbowałem to zrobić, za każdym razem udawało mi się tylko przez chwilę, a potem mój garnek wyginał się, tracił równowagę, a każda próba naprawienia go tylko pogarszała sprawę, aż w końcu krawędź się rwała, boki zapadały i zostawałem z czymś, co nauczycielka nazywała „tajemniczą popielniczką” i co lądowało z powrotem w wiadrze z gliną.

Co się więc dzieje, kiedy twój wszechświat zaczyna tracić równowagę, a tobie brakuje doświadczenia, żeby mu ją przywrócić? Możesz tylko toczyć z góry przegraną walkę, czekając, aż ściany się zapadną, a twoje życie stanie się jedną wielką tajemniczą popielniczką.

Razem z moimi przyjaciółmi, Maxem i Shelby, spotykamy się czasami w piątki po szkole. Wydaje nam się, że tworzymy grę komputerową rpg, ale siedzimy nad nią już dwa lata i ani trochę nie zbliżyliśmy się do końca. Głównie dlatego, że w miarę jak każde z nas staje się lepsze i mądrzejsze w swojej dziedzinie, musimy wszystko wyrzucić do kosza i zaczynać od nowa, uznając stary materiał za dziecinny i nieprofesjonalny.

Max jest naszą siłą napędową. To on przesiaduje u mnie w domu znacznie dłużej, niż moi rodzice są go w stanie znieść, bo chociaż z naszego tria właśnie on jest specem od komputerów, jego sprzęt to złom, który wieszka się, jeśli tylko w promieniu metra od niego ktoś szepnie słowo „grafika”.

Shelby to nasza królowa koncepcji.

– Myślę, że rozgryzłam problemy z fabułą – mówi właśnie tego popołudnia. Dokładnie tak jak zawsze, kiedy nad tym pracujemy. – Chyba muszę ograniczyć uzbrojenie biointegracyjne postaci. Inaczej z każdej walki robi się masakra, a to nudne.

– Kto powiedział, że masakry są nudne? – pyta Max. – Ja je lubię.

Shelby patrzy na mnie, oczekując wsparcia, ale szuka go w niewłaściwym miejscu.

– Ja też lubię masakry – stwierdzam. – Chyba faceci tak mają.

Piorunuje mnie wzrokiem i rzuca w moją stronę parę stron nowych opisów postaci.

– Po prostu ich narysuj i daj im dość pancerza, żeby nie każdy cios był śmiertelny. Zwłaszcza Xargonowi. Mam wobec niego duże plany.

Otwieram szkicownik.

– Czy myśmy sobie nie obiecali, że przestaniemy to robić, jeśli zaczniemy brzmieć jak nerdy? Moim zdaniem dzisiejsza rozmowa to oficjalnie ten moment.

– Daj spokój! Ten moment był w zeszłym roku – stwierdza Shelby. – Jeżeli jesteś taki niedojrzały, że boisz się, jaką łatkę przyklepią ci krety, to się wymiksuj, a my znajdziemy innego artystę.

Zawsze mi się podobało, że Shelby mówi każdemu to, co myśli. Nie żeby między nami była albo kiedyś mogła być jakaś uczuciowa historia. Myślę, że dla nas ten statek zatonął w suchym doku. Za bardzo się lubimy, żeby wpakować się w niezdarny związek. Poza tym nasza trójstronna przyjaźń ma zalety. Na przykład taką, że Max i ja dowiadujemy się od Shelby różnych rzeczy o dziewczynach, które nam się podobają, a jej możemy powiedzieć wszystko o każdym chłopaku, który wpadnie jej w oko. Za dobrze to działa, żeby kombinować.

– Słuchajcie – mówi Shelby – przecież my tym nie żyjemy, to tylko hobby. Bawimy się w to parę dni w miesiącu. Ja na przykład wcale nie czuję, żeby mnie to blokowało towarzysko.

– Jasne – odpowiada Max. – To dlatego, że ciebie blokuje masa innych rzeczy.

Shelby uderza go tak mocno, że bezprzewodowa mysz wypada mu z ręki i leci przez cały pokój.

– Ej! – wołam. – Jak się rozwali, to rodzice każą mi za nią płacić. Mają jazdę na

punkcie osobistej odpowiedzialności.

Shelby patrzy na mnie chłodno, prawie piorunuje mnie wzrokiem.

– Nie widzę, żebyś rysował.

– Może czekam na natchnienie. – Ale bez względu na brak natchnienia oddycham głęboko i zaczynam czytać jej opisy postaci. Potem patrzę na pustą kartkę w moim szkicowniku.

To właśnie problem z pustą przestrzenią pozwolił mi odnaleźć sztukę. Widzę puste pudełko i muszę je napełnić. Widzę czystą kartkę i nie mogę jej tak zostawić. Czyste kartki krzyczą do mnie, żebym wypełnił je bzdetami z mojej głowy.

Zaczął się od bazgrołów. Potem bazgroły rozrosły się w szkice, szkice w rysunki, a rysunki są teraz „pracami”. Albo „dziełami”, jeśli ktoś jest naprawdę pretensjonalny, tak jak niektórzy na moim kursie plastycznym. Noszą berety, jakby ich mózgi były tak twórcze, że wymagają nakrycia bardziej wyjątkowego niż mózgi wszystkich innych ludzi. Moje „dzieła” to głównie rysunki komiksowe. Manga i tak dalej, ale nie zawsze. Ostatnio moje prace stają się coraz bardziej abstrakcyjne, jakby to kreski prowadziły moją rękę, a nie odwrotnie. Teraz, kiedy zaczynam, jest w tym pewien niepokój. Pilna potrzeba odkrycia, dokąd mnie zawiodą.

Pracuję nad postaciami Shelby tak starannie, jak tylko potrafię, ale jestem niecierpliwy. Ledwie biorę do ręki jedną kredkę, a już mnie świerzbi, żeby ją odłożyć i wziąć inną. Widzę linie, które rysuję, ale nie jako całość. Uwielbiam rysować postacie, ale dzisiaj jest tak, jakby przyjemność biegła kilka metrów przed moimi myślami, a ja nie mogę nadążyć.

Pokazuję Shelby mój szkic Xargona, jej nowego, ulepszanego, masakroodpornego dowódcy oddziału bojowego.

– Takie na odwal się – stwierdza. – Jak nie będziesz tego traktował serio...

– Dzisiaj nie dam rady lepiej, dobra? Czasami to czuję, a czasami nie. – Potem dodaje: – Może to przez twoje nijakie opisy postaci moje rysunki też są nijakie.

– Postaraj się bardziej – odpowiada. – Dawniej byłeś taki... konkretny.

Wzruszam ramionami.

– I co z tego? Styl każdego artysty ewoluuje. Popatrz na Picassa.

– Dobra. Jak Picasso operuje grę komputerową, dam ci znać.

I choć na naszych nasiadówkach zawsze są awantury – to zresztą połowa całej zabawy – dzisiaj jest inaczej, bo w głębi serca wiem, że Shelby ma rację. Mój styl nie ewoluuje, tylko ulega dekonstrukcji, a ja nie wiem dlaczego.

20 Papugi zawsze się uśmiechają

Kapitan wzywa mnie do siebie, mimo że próbowałem nie rzucać się w oczy.

– No to masz kłopoty – rzuca nawigator, kiedy wychodzę z naszej kajuty. – Kłopoty, kłopoty, zaboty, żywoty. On potrafi żywcem pożerać ludzi z załogi.

To mi przypomina mój sen o Plastikowej Białej Kuchni – ale w tamtym śnie nie ma kapitana.

Kapitański gabinet znajduje się na samym końcu statku, na rufie. Kapitan mówi, że to po to, żeby mógł myśleć o tym, gdzie był. Teraz go tam nie ma. Tylko papuga siedzi na żerdzi między jego zagraconym biurkiem a globusem, na którym wszystkie kontynenty są narysowane nie tak, jak trzeba.

– Dobrze, że przyszedłeś, dobrze, że przyszedłeś! – mówi papuga. – Siadaj, siadaj.

Siadam i czekam. Papuga chodzi bokiem z jednego końca żerdzi na drugi i z powrotem.

– No więc po co ja tu jestem? – pytam ją.

– Właśnie – odpowiada. – po co ty tu jesteś? Albo może raczej: po co ty tu jesteś? Albo: po co ty tu jesteś?

Zaczynam tracić cierpliwość.

– Kapitan przyjdzie? Bo jak nie...

– To nie kapitan cię wezwał – mówi papuga. – To ja, to ja. – Potem kiwa łbem, wskazując kartkę leżącą na biurku.

– Proszę wypełnij ankietę.

– Czym? – pytam. – Tu nie ma długopisu.

Papuga zeskakuje na biurko, rozkopuje na boki część bałaganu, a gdy nie znajduje długopisu, wygryza sobie niebieskozielone pióro z grzbietu. Spada ono na blat jak gęsie pióro dawnego skryby.

– Bardzo sprytne – stwierdzam – ale nie ma atramentu.

– Dotknij smoły między deskami – odpowiada papuga.

Wyciągam rękę do najbliższej ściany i przytykam czubek do czerni między dwoma kawałkami drewna, a wtedy pióro zasysa coś ciemniejszego niż atrament. Na sam widok mam ciarki. Wypełniając ankietę, pilnuję, żeby maź nie zetknęła się z moją skórą.

– Czy każdy musi to robić? – pytam.

– Każdy.

– Muszę odpowiedzieć na wszystkie pytania?

– Na wszystkie.

– Jakie to ma znaczenie?

– Ma.

Kiedy kończę, patrzymy na siebie nawzajem. Przychodzi mi do głowy, że papugi zawsze mają niby-miły uśmiech, trochę jak delfiny, więc naprawdę nigdy nie wiadomo, co myślą. Delfin może myśleć o wyrwaniu ci serca albo zadżganiu cię nosem jak rekina, ale ponieważ stale się uśmiecha, masz go za przyjaciela. Przypominają mi się delfiny,

które namalowałem na ścianie u mojej siostry. Czy ona wie, że być może chcą ją zabić?
Czy już to zrobiły?

– Dogadujesz się z załogą, z załogą? – pyta papuga.

Wzruszam ramionami.

– Chyba tak.

– Powiedz mi coś, co mogę przeciwko niej wykorzystać.

– Po co miałbym to robić?

Papuga wzdycha z gwizdnięciem.

– Jejku, jejku, jaka dzisiaj niechęć do współpracy. – Potem, kiedy dociera do niej, że nic ze mnie nie wyciągnie, wskakuje z powrotem na swoją żerdź. – To koniec na dziś, na dziś – mówi. – Zmykaj na obiad. Kuskus i koryfena.

21 Ankieta członka załogi

Proszę ocenić następujące stwierdzenia w skali od jednego do pięciu według następujących kryteriów:

1 – Zdecydowanie się zgadzam.

2 – Całkowicie się zgadzam.

3 – Zgadzam się kategorycznie.

4 – Sto procent zgody.

5 – Skąd wiedzieliście?

Czasem się martwię, że statek zatonie.	1-2-3-4-5
Inni członkowie załogi ukrywają broń biologiczną.	1-2-3-4-5
Napoje energetyczne pozwalają mi latać.	1-2-3-4-5
Jestem Bogiem, a Bóg nie wypełnia ankiet.	1-2-3-4-5
Lubię towarzystwo jaskrawo upierzonych ptaków.	1-2-3-4-5
Po śmierci zwykle jestem głodny.	1-2-3-4-5
Buty mnie uwierają, a moje serce jest dwa numery za małe.	1-2-3-4-5
Wierzę, że wszystkie odpowiedzi leżą na dnie morza.	1-2-3-4-5
Często otaczają mnie bezduszne zombi.	1-2-3-4-5
Czasami słyszę głosy z telezakupów.	1-2-3-4-5
Umiem oddychać pod wodą.	1-2-3-4-5
Mam wizje wszechświatów równoległych i/lub prostopadłych.	1-2-3-4-5
Potrzebuję więcej kofeiny. Natychmiast.	1-2-3-4-5
Czuję zapachy martwych ludzi.	1-2-3-4-5

Kiedy firma dezynsekcyjna przykrywa dom płachtą, żeby wytepić termity, wyjeżdżamy z rodziną na dwa dni do Las Vegas. Przez całą podróż rysuję w szkicowniku i dostaję choroby lokomocyjnej. O mało nie wymiotuję. Czyli w zasadzie jestem jak wszyscy w Vegas.

Nasz hotel to trzydziestopiętrowa piramida z ukośnymi windami. Mieszkańcy Las Vegas są bardzo dumni ze swoich wind. Tych szklanych, tych z lustrami, tych z żyrandolami, które drżą i brzęczą, jakby każda jazda była wstrząsem sejsmicznym. Wszystkie hotele rywalizują o to, kto najszybciej przetransportuje gości z pokoi do kasyna. Jeden zamontował automaty do gry nawet w windach, dla tych, którzy nie potrafią tyle czekać.

Denerwuję się, chociaż nie rozumiem dlaczego.

„Musisz coś zjeść”, mówi mi mama. Jem, ale nie mija. „Musisz się zdrzemnąć”, mówi mi tata, jakbym był przedszkolakiem, ale to też nie to i oboje o tym wiedzą. „Caden, musisz się pozbyć tego lęku społecznego”, powtarzają mi raz za razem. Tylko że ja nigdy wcześniej nie czułem lęku społecznego – zawsze byłem raczej towarzyski i pewny siebie. Nie wiedzą – sam tego jeszcze nie wiem – że to początek czegoś większego. Ciemny czubek znacznie większej, znacznie głębszej, znacznie czarniejszej piramidy.

Rodzice spędzają pół dnia na hazardzie, aż w końcu uznają, że przegrali już dość pieniędzy. Potem się kłócą i nawzajem obwiniają.

– Nie umiesz grać w blackjacka!

– Przecież ci powtarzam, że wolę ruletkę!

Każdemu jest potrzebny ktoś, kogo można obwiniać. Małżonkowie obwiniają się nawzajem. Tak jest łatwiej. Całą sprawę pogarsza to, że mama złamała obcas lewego buta z ulubionej czerwonej pary, więc musiała wracać do hotelu, kuśtykając, bo chodzenie boso po ulicach Las Vegas nie wchodzi w grę. Mniej bolesne byłoby stąpanie po węglach.

Podczas gdy nasi rodzice pocieszają się zabiegiem w spa, wychodzę z siostrą na spacer po Stripie i oglądamy pokaz fontann pod hotelem Bellagio. W tej chwili towarzystwo Mackenzie trochę mi przeszkadza, bo ona właśnie ssie swój ulubiony niebieski lizak w kształcie pierścionka. Wygląda przez to na znacznie młodszą niż te jej prawie jedenaście lat, przez co czuję się jak opiekun do dziecka. Poza tym wstyd pokazywać się z kimś, kto całe usta ma niebieskie.

Po drodze zbieram ulotki agencji towarzyskich od obleśnych kolesi, którzy rozdają je każdemu. Nie żebym zamierzał dzwonić pod podane numery, ale przynajmniej mam co zbierać. To jak karty z baseballistami. Tylko że na tych są zdjęcia dziewczyn w samej bieliźnie. To tak, jakby zebrać całą drużynę.

Wiem, że jeden z tych budynków przy Stripie to był kiedyś mgm Grand i dawno temu wybuchł tam straszliwy pożar. Przyniósł tyle złej karmy, że firma sprzedała go innej sieci, a sama wybudowała sobie nowy hotel – olbrzymią zieloną katedrę hazardu jak z Krainy Oz. A ten stary kryje się teraz pod inną nazwą. W tamtym pożarze zginęło

dużo ludzi. Jakiś facet wyskoczył z wysokiego piętra na materacu, żeby uciec przed płomieniami. Materac go nie uratował.

Zaczynam myśleć o naszym hotelu i o tym, co by było, gdyby się zapalił. Jak można uciec z płonącej szklanej piramidy, w której nie otwierają się okna? Robi mi się mętlik w głowie. Co będzie, jeśli któryś z tych podejrzanych gości na ulicy stwierdzi, że ma dość rozdawania świńskich ulotek i że przydałoby się małe podpalenie? I kiedy patrzę na jednego z nich – tak naprawdę na niego patrzę – widzę to w jego twarzy i wiem, że to właśnie ten. Mam potężne przecucie, coś prawie jak głos, który mówi, że nie mogę wrócić do naszego hotelu. Bo on mnie obserwuje. Może obserwują mnie oni wszyscy. Może ci wszyscy obłeśni rozdawcy ulotek są w zмовie. Nie mogę wrócić do naszego hotelu, bo jeśli tam wrócę, stanie się to prawdą. Wobec tego przekonuję siostrę, która jęczy, że bolą ją nogi, żebyśmy szli dalej, ale nie mówię jej dlaczego. Nagle czuję, że tylko ja mogę ochronić ją przed tymi parszywcami.

– Chodźmy obejrzeć hotel Caesars Palace – mówię do Mackenzie. – Podobno jest super.

Gdy wchodzimy do środka, zaczynam czuć się pewniej. Wejścia strzegą wielcy kamienni centurionowie z włóczniami i w zbrojach. Wiem, że są tylko dla ozdoby, ale dzięki nim czuję się bezpieczny od tych wszystkich podstępnych, zapyziałych podpalaczy.

Wewnątrz, wśród sklepów, gdzie klientom wciska się perfumy, diamenty, skóry i norki, znajduje się wnęka, w której stoi jeszcze jedna kamienna rzeźba. To idealna marmurowa replika *Dawida* Michała Anioła. W Las Vegas wszystko jest idealną repliką. Wieża Eiffla, Statua Wolności, pół Wenecji. Prawdziwy świat przerobiony na fałszywkę dla waszej przyjemności.

– Fuj, co to za golas? – pyta Mackenzie.

– Nie bądź głupia, to *Dawid*.

– Aha – odpowiada. Na szczęście nie pyta: „Jaki Dawid?”. Zamiast tego chce wiedzieć: – Co on ma w ręku?

– Procę.

– Nie wygląda jak proca.

– To proca z Biblii – mówię. – Ta, z której zabił Goliata.

– Aha – odpowiada Mackenzie. – Możemy już iść?

– Za chwilę. – Na razie nie mogę iść, bo poraziły mnie kamienne oczy Dawida. Jego ciało wydaje się odprężone, jakby królestwo już należało do niego, ale jego twarz... jest pełna niepokoju i zatroskania, które próbuje ukryć. Zaczynam się zastanawiać, czy Dawid był taki jak ja. Wszędzie widział potwory i dotarło do niego, że nie ma na świecie tylu proc, żeby się ich pozbyć.

Tego pierwszego wieczoru naszego szaleństwa w Las Vegas moi rodzice są trochę pijani.

Kłótnia o to, kto odpowiada za dzisiejsze przegrane w kasynie, dobiegła końca. Postanowili wznieść się ponad to wszystko. Dosłownie.

Widzicie, każdy hotel w Las Vegas ma jakiś chwyt, a największy ze wszystkich chwytów to wieża Stratosphere. Podobno ma sto trzysta pięter, ale myślę, że liczą te piętra w tutejszych calach, które dowolnie rozciągają się lub kurczą, żeby pasowały do kłamstwa, jakie chce się sprzedać. Przy czym i tak jest dość imponująca: smukłą betonową igłę wieńczy okrągła szklana korona. Tamtejsi windziarze twierdzą, że mają najszybsze windy w całej cywilizacji zachodniej. Ludzie z Las Vegas i te ich windy.

Okrągła czteropiętrowa korona ma obrotową restaurację i salon z muzyką na żywo. Ludzie siedzą w fotelach obitych czerwonym aksamitem i piją neonowe drinki, które wyglądają na radioaktywne. W wieży są także atrakcje jak w wesołym miasteczku. Jedną polega na tym, że niemal swobodnie spada się na linie ze sto ósmego piętra, nie mając do towarzystwa nawet materaca. Spada z nami natomiast kamera, która filmuje naszą symulowaną śmierć, żebyśmy mogli zabrać nagranie do domu i na nowo przeżywać te osiem i pół sekundy na własnej kanapie.

– Odważysz się? – pyta ojciec. – Nie ma kolejki.

Najpierw myślę, że żartuje, lecz błysk w jego oku mówi mi, że nie. Ojciec rzadko się upija, ale gdy już do tego dojdzie, staje się chodzącym wzorem złych decyzji.

– Nie, dziękuję – odpowiadam i próbuję uciec, ale mnie łapie i mówi, że to rodzinna impreza. Ma kupony zniżkowe. Dwa bilety w cenie jednego. Cztery w cenie dwóch. Co za okazja.

– Rozluźnij się, Caden – mówi. – Oddaj się w ręce wszechświata.

W latach sześćdziesiątych mojego ojca nie było na świecie, ale alkohol zmienia go z republikanina z legitymacją w hipisa, który włóczy się po Woodstocku.

– Czego się boisz? – pyta. – To absolutnie bezpieczne.

Przed nami ktoś obwiązany uprzęzą i ubrany w niebieski kombinezon skacze z wieży i znika w przepaści, już go więcej nie zobaczymy. Ludzie biją brawo, a mnie drętwieją palce.

– Ktoś się kiedyś rozkwasił? – pyta obsługujących błądy bubek z neonowym drinkiem, a potem zaczyna się śmiać ze swoimi kumplami bubkami. – Zapłaciłbym, żeby to zobaczyć!

– Albo idziemy całą rodziną, albo wcale – mówi tata, w ten sposób napuszczając na mnie siostrę, która skarży się, że zawsze rujnuje jej życie. Matka tylko chichocze, bo margarita zmienia ją w dwunastolatkę zamkniętą w ciele czterdziestolatki.

– Daj spokój, Caden – mówi tata. – Żyj chwilą, chłopie. To będzie coś, co zapamiętasz do końca życia.

Jasne. Całe osiem i pół sekundy.

Przestaję protestować, bo jest troje na jednego. A potem, kiedy patrzę w oczy mojego

ojca, widzę to. To samo, co widziałem w oczach tego parszywca od ulotek, który, wiem to, chce spalić nasz hotel. Kim tak naprawdę jest mój ojciec? Może należy do tajnego stowarzyszenia? Może całe moje życie to ściema, taka sama jak Wenecja w Las Vegas, i chodziło tylko o to, żeby mnie tu sprowadzić i namówić, żebym skoczył i się zabił? Kim są ci ludzie? Choć pewna część mnie wie dobrze, jak idiotycznie brzmią moje myśli, jest też inna, dająca oparcie temu okropnemu: „A może?”. To ta sama cząstka, która potajemnie zagląda pod łóżko i do szaf po obejrzeniu horroru.

Zanim zdążę się obejrzeć, mamy na sobie niebieskie kombinezony i stoimy na pomoście jak zespół astronautów. Moja siostra idzie pierwsza, bo chce udowodnić, że jest najdzielniejszą dziewczyną na planecie Ziemia, potem do liny zostaje podpięta moja matka, skacze, a jej chichot zmienia się w spadający pisk, ojciec natomiast czeka za moimi plecami, żeby się upewnić, że skoczę przed nim, ponieważ wie, że jeśli tylko trafi się okazja, zjadę windę.

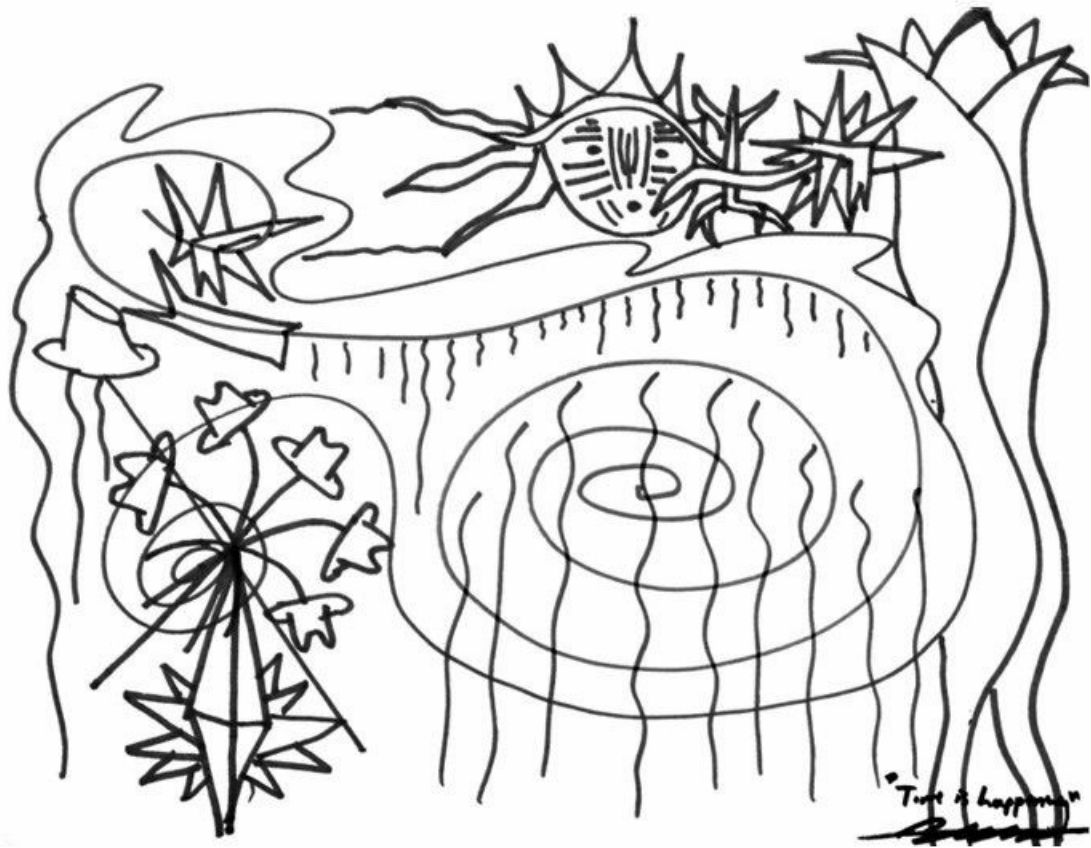
– Będzie fajnie, zobaczysz.

Ale nie szykuje się nic fajnego, bo żywa chmura w kącie mojej głowy, która każe zaglądać pod łóżko, jest teraz nisko ścielącą się mgłą, wiszącą nad umysłem niczym anioł śmierci nad pierwotnymi w Egipcie.

Ludzie patrzą z umiarkowanym zainteresowaniem przez szklaną ścianę korony Stratosphere – dobrze ubrani, jedzący ślimaki i pijący radioaktywność w wolno obracającej się restauracji – a do mnie dociera, że jestem częścią dzisiejszego programu rozrywkowego. Tak jak w cyrku, wszyscy po cichu marzą o tym, żeby ktoś się rozkwasił.

Mój paniczny strach to nie tylko mrowienie w brzuchu. To nie tylko adrenalina w oczekiwaniu na pierwszy spadek kolejki górskiej. Wiem z pewnością – z całą pewnością – że oni tylko udają, że przyczepiają mi linę. Wiem, że moje życie zaraz z oszałamiającym pędem skończy się eksplozją bólu. Widzę tę prawdę w oczach ich wszystkich. Ta świadomość jest bardziej zabójcza, niż zabójcza będzie śmierć, więc skaczę, żeby to się już skończyło.

Wrzeszczę, wrzeszczę, wrzeszczę, spadając z wieży w bezdenną czarną czeluść tak rzeczywistość, że zawsze, zawsze będę wierzył, że to prawda – a jednak osiem i pół sekundy później zwalniam i łapie mnie ekipa na dole. Cały się trzęsę, tak jestem zaskoczony tym, że jeszcze żyję. Mój jedyny triumf tego okropnego wieczoru polega na tym, że tata, który skacze po mnie, w locie wymiotuje – ale nawet to nie zatrze wrażenia rodem z piekielnej czarnej dziury, że wciąż stoję na skraju czegoś niewyobrażalnego.



Z koszmaru, którego treści nie pamiętam, budzi mnie gwałtowne kołysanie statku. Latarnia zawieszona na niskim suficie buja się szaleńczo, rzucając rozedrgane cienie, które unoszą się i huśtają równie niespokojnie jak fale. Cały statek skarży się bolesnym skrzypieniem, spocone deski kadłuba prężą się i ściskają, szarpiąc nieszczęsną smołę, która je spaja. Sama smoła zdaje się jęczeć z wysiłku.

Nawigator zerka z koi nade mną i jakby nie przejmując się tym, że rozgniewane morze za chwilę rozerwie statek na strzępy.

– Zły sen? – pyta.

– Aha – skamle.

– Byłeś w kuchni?

Jestem zaskoczony. Nie opowiadałem mu o tym.

– Wiesz o niej?

– Wszyscy czasem trafiamy do Plastikowej Białej Kuchni – mówi nawigator. – Nie myśl, że należy do ciebie, bo to nieprawda.

Idę do łazienki, która znajduje się w głębi korytarza. Moje stopy są jak przykute do podłogi. Ramiona – jak przykute do ściany. To, w połączeniu z ruchem statku, sprawia, że wyprawa do łazienki jest piętnastominutową mordęgą.

Gdy w końcu wracam do koi, nawigator zrzuca mi porwaną kartkę pełną linii i strzałek.

– Ucieczka, wycieczka, wiadomo, do domu – mówi. – Weź to ze sobą, kiedy następny raz będziesz w kuchni, tyle ci powiem. To mapa z drogą ucieczki.

– Nie mogę zabrać kartki do snu – zauważam.

– No cóż – odpowiada urażony. – To masz przerąbane.

– Narysuj mnie – mówi papuga, zerkając na mój szkicownik. – Narysuj mnie. – Nie śmiem odmówić.

– Zapozuj – proszę. Pręży się na żerdzi, majestatycznie unosi dziób, stroszy pióra. Nie śpieszę się. Wreszcie pokazuję jej skończony rysunek. Przedstawia parującą kupę.

Papuga przygląda się przez chwilę, po czym stwierdza:

– Bardziej przypomina mojego brata. Oczywiście po tym, jak zjadł go krokodyl.

Tym mnie nawet rozśmiesza. Dlatego robię drugi szkic, na którym naprawdę jest papuga, z przepaską na oku i w ogóle.

Obserwował to jednak kapitan, więc kiedy ptak, bardzo zadowolony z siebie, odfruwa, konfiskuje mi ołówek i szkicownik. Przynajmniej nie kazał obciąć mi ręki, którą rysuję. Krążą słuchy, że członkowie załogi z drewnianymi nogami to ci przyłapani na grze w piłkę na pokładzie.

– Nie dostałeś pozwolenia, żeby mieć talent – mówi. – Mogłeś tym urazić tych członków załogi, którzy go nie mają.

I chociaż talent przychodzi niezależnie od tego, czy ktoś prosi o pozwolenie, pochylam głowę i pytam:

– Bardzo proszę, panie kapitanie... czy mogę mieć talent do rysunku?

– Zastanowię się. – Ogląda portret papugi, marszczy nos, po czym wyrzuca rysunek za burtę. Potem patrzy na szkic parującej kupy i mówi: – Doskonała podobizna. – Ten też wyrzuca za burtę.

Rano barman woła mnie na bocianie gniazdo, żeby zrobić mój koktajl. Dzisiaj nikt nie skacze, więc nie ma tłumów.

– Ten koktajl będzie twój i tylko twój. – Długo patrzy mi w oczy, aż wreszcie potwierdzam ruchem głowy.

Zadowolony bierze z półki butelki i mikstury, jego ręce poruszają się tak szybko, jakby miał więcej niż dwie. Miesza to wszystko w zardzewiałym shakerze.

– Co w tym jest? – pytam.

Patrzy na mnie tak, jakby tylko imbecyl mógł zadać podobne pytanie. Albo tylko imbecyl oczekiwał, że otrzyma odpowiedź.

– Śmieci, podłości i stos paskudności – mówi.

– A konkretnie?

– Chrzątka krowy – informuje – i kręgosłup czarnego chrząszcza.

– Chrząszcze nie mają kręgosłupów – zauważam. – To bezkręgowce.

– Właśnie. Dlatego jest taki rzadki.

Z daleka, z dołu, przylatuje papuga, furkocząc skrzydłami, i siada na kasie. Widząc tę kasę, przypominam sobie, że nie mogę zapłacić, więc mówię o tym barmanowi.

– Nie szkodzi – odpowiada. – Obciążymy twoje ubezpieczenie.

Nalewa miksturę do wąskiego kryształowego kieliszka do szampana, po czym mi go podaje. Zawartość wrze czerwienią i żółcią, ale kolory się nie łączą. Mój koktajl to lampa lawowa.

– Pij, pij – mówi papuga. Lekko przekrzywia głowę i obserwuje mnie zdrowym okiem.

Wypijam łyk. Gorzkie, ale nie można powiedzieć, że niesmaczne. Lekki posmak banana i migdałów.

– Do dna – rzucam, po czym opróżniam kieliszek jednym haustem i stawiam pusty na barze.

Papuga kiwa głową z wielką satysfakcją.

– Doskonale! Będziesz przychodził na bocianie gniazdo dwa razy dziennie.

– A jeśli nie będę chciał? – pytam.

Puszczą do mnie oko.

– Wtedy bocianie gniazdo przyjdzie do ciebie.

Dawno temu pojechaliśmy całą rodziną na wycieczkę do Nowego Jorku. Ponieważ wszystkie dogodne hotele albo były pełne, albo za pokój trzeba by oddać nerkę, wylądowaliśmy poza utartym szlakiem turystycznym.

Nasz hotel znajdował się gdzieś pod lewą pachą tłustego faceta w Queens. Konkretnie w dzielnicy o niefortunnej nazwie Flushing, co znaczy tyle co „spuszczanie wody”. Założyciele tego miasta, zupełnie jak większość współczesnych nowojorczyków, mieli ironiczne poczucie humoru.

W rezultacie wszędzie trzeba było jeździć metrem, co zawsze oznaczało przygodę. Raz wylądowaliśmy chyba na Staten Island, a tam metro nie jeździ w ogóle. Ciągłe kończyły nam się pieniądze na kartach miejskich, które wymiotują cyfrową gotówką, ilekroć przechodzi się przez bramki, a tata opłakiwał złotą erę mosiężnych żetonów na metro, kiedy przejazdy można było policzyć na dłoni.

Moja matka ściśle egzekwowała zasady jazdy metrem, obejmujące między innymi stosowanie dużych ilości płynu antybakteryjnego oraz zakaz nawiązywania kontaktu wzrokowego z ludźmi.

Przez ten tydzień stałem się studentem tłumu, studiowałem niemyte masy o nieodkażonych dłoniach. Na ulicach odkryłem na przykład, że nowojorczyki nigdy nie podnoszą głowy, żeby spojrzeć na górujące nad nimi niesamowite budynki. Poruszają się szybko i efektywnie w gęstym tłumie, jakby mieli powłokę z teflonu, i bardzo rzadko na siebie wpadają. Z kolei w metrze, gdzie wszyscy muszą stać nieruchomo, kiedy pociąg jedzie z brzękiem od stacji do stacji, ludzie nie tylko nie nawiązują kontaktu wzrokowego, ale każdy egzystuje we własnym, bardzo ciasnym wszechświecie, jakby miał na sobie niewidzialny skafander kosmiczny. To trochę jak jazda autostradą, tylko że tutaj przestrzeń osobista kończy się centymetr od ubrania, albo i jeszcze bliżej. Oszalałamiło mnie, że można żyć tak blisko siebie – dosłownie być otoczonym przez tysiące ludzi, od których dzieli nas ledwie centymetry – a jednocześnie pozostawać w całkowitej izolacji. Nie mogłem sobie tego wyobrazić. Teraz nie jest to już dla mnie takie trudne.

Nasz dom jest teraz wolny od termitów, a wspaniałości Miasta Grzechu to już tylko wspomnienie, które najlepiej wyprzeć. Ale w domu wcale nie jest lepiej. Mam potrzebę chodzenia. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. To bez sensu. Kiedy nie chodzę, rysuję; kiedy nie rysuję, myślę – co od nowa skutkuje chodzeniem i rysowaniem. Może działają na mnie resztki pestycydów.

Siedzę przy stole w jadalni. Przede mną leży gama kredek ołówkowych, pastelów, węgli. Dziś pracuję kredkami, ale trzymam je tak mocno i dociskam z taką siłą, że ciągle pękają. I to nie grafity, ale całe kredki. Odrzucam je przez ramię, żeby nie było ani chwili przerwy.

– Przypominasz szalonego naukowca – stwierdza moja matka.

Słyszę jej słowa jakieś dziesięć sekund po tym, gdy je wypowiada. Za późno na odpowiedź, więc nie odpowiadam. I tak jestem na to zbyt zajęty. W mojej głowie siedzi coś takiego, co muszę wyrzucić z niej na papier, zanim zmieni mi kształt mózgu. Zanim kolorowe linie głęboko się w niego werzną, jak strunowa kralnica do sera. Moje rysunki całkiem straciły formę. To gryzmoły i sugestie, przypadkowe, a jednak nie. Ciekawe, czy inni zobaczą w nich to, co ja. Te obrazy muszą coś znaczyć, prawda? Bo inaczej dlaczego są takie intensywne? Dlaczego ten milczący głos wewnątrz tak bardzo upiera się, że trzeba je uwolnić?

Magentowa kredka się łamie. Odrzucam ją i biorę cynobrową.

– Nie podoba mi się – mówi Mackenzie, która przechodzi obok, liżąc łyżkę masła orzechowego jak lizaka. – Jest upiorne.

– Rysuję tylko to, co trzeba – odpowiadam. Potem mam gwałtowny przypływ natchnienia; wyciągam rękę, przeciągam kciukiem po jej łyżce i rozsmaruję po kartce łuk w kolorze ochry.

– Mamo! – krzyczy Mackenzie. – Caden rysuje moim masłem orzechowym!

Na co mama odpowiada:

– Masz za swoje. Nie powinnaś jeść masła orzechowego przed kolacją.

Mimo to zerka z kuchni na mnie i mój projekt. Fala jej niepokoju jest dla mnie jak ogrzewacz ogrodowy – słaba i nieskuteczna, ale stała.

Siadam z kolegami do lunchu. A jednak nie siadam. To znaczy jestem wśród nich, ale nie czuję, że jestem z nimi. Dawniej łatwo wpasowywałem się w każdą grupę. Niektórzy czują się bezpiecznie tylko w swojej paczce. Mają taką małą ochronną bańkę przyjaciół, od których rzadko się oddalają. Ja nigdy taki nie byłem. Potrafiłem przepływać swobodnie od stolika do stolika, od grupy do grupy. Sportowcy, mózgowcy, hipsterzy, skaterzy, dzieciaki z orkiestry. Wszyscy zawsze mnie lubili i akceptowali, umiałem się dostosować jak kameleon. Jakie to więc dziwne, że teraz tworzę paczkę jednoosobową, nawet kiedy jestem w grupie.

Moi koledzy wsuwają lunch i śmieją się z czegoś, czego nie dosłyszałem. Nie to, że celowo się wyłączyłem, ale nie mogę wstrzeć się w rozmowę. Ich śmiech wydaje się tak odległy, jakbym miał w uszach watę. Ostatnio zdarza się to coraz częściej. Zupełnie jakby nie rozmawiali nawet po angielsku – mówią tym dziwnym sztucznym językiem, którym posługują się klauni z Cirque du Soleil. Wszyscy moi koledzy mówią po cirquijsku. Zazwyczaj w to wchodzę. Dołączam do śmiechu, żeby zachować kamuflaż i sprawiać wrażenie zgranego z otoczeniem. Ale dziś nie mam nastroju na udawanie. Mój kumpel Taylor, trochę bardziej spostrzegawczy od reszty, zauważa, że jestem nieobecny, i lekko stuka mnie w ramię.

– Halo, ziemia do Cadena Boscha. Gdzie jesteś?

– Na orbicie wokół twojej starej – odpowiadam, co wywołuje u wszystkich śmiech i uruchamia rundę świńskich dowcipów, które brzmią jak opowiedane po cirquijsku, bo zdążyłem się już znowu wyłączyć.

Kiedy my, załoga, robimy swoje, chodząc po pokładzie tam i z powrotem w zasadzie bez celu, kapitan stoi nad nami za sterem. Jak kaznodzieja wygłasza swoje specyficzne mądrości.

– Liczcie na siebie – mówi. – A jeśli nie doliczycie do dziesięciu, resztę palców obetnijcie.

Obserwuję papugę, która zagląda kolejno do członków załogi, na chwilę ląduje im na ramieniu albo przysiada na głowie, a potem odfruuwa do kolejnej osoby. Zastanawiam się, co knuje.

– Spalcie wszystkie mosty – mówi kapitan. – Najlepiej zanim po nich przejdziecie.

Nawigator siedzi na przeciekającej beczce paskudztwa, która kiedyś była pełna jedzenia, ale smród dowodzi, że żywność rozłożyła się i zmieniła w coś innego. Rysuje nową mapę nawigacyjną na podstawie ruchów much kłębiących się nad beczką.

– Ich ruch mówi więcej prawdy niż gwiazdy – wyjaśnia – bo muchy mają oczy złożone.

– Co to za różnica? – odważam się zapytać.

Patrzy na mnie tak, jakby odpowiedź była oczywista.

– Przez oczy złożone kłamstwa tłamszone.

Teraz rozumiem, dlaczego tak dobrze dogaduje się z kapitanem.

Kiedy bez końca zasuwam przez pokład, papuga ląduje na moim ramieniu.

– Załogant Bosch! Trzymaj tempo, trzymaj tempo! – Potem niezasłoniętym okiem zagląda mi w ucho, kiwając przy tym głową. – Wciąż jest na swoim miejscu – stwierdza. – Całe szczęście! Całe szczęście!

Zakładam, że ma na myśli mój mózg.

Odlatuje, żeby zajrzeć do ucha innemu marynarzowi. Jej niski gwizd zdradza rozczarowanie tym, co znajduje – lub czego nie znajduje – w głowie chłopca.

– Jedyńm, czego trzeba się bać – oznajmia kapitan zza steru – jest sam strach. I od czasu do czasu potwór ludojad.

Chociaż w naszym domu nie ma już resztek pestycydów, nie mogę przestać myśleć o termitach. Jeśli, tak jak mówią, mydło antybakteryjne prowadzi do powstawania superzarazków, to może po dezynsekcji toksynami pod płachtą rodzą się superinsekty? Siedzę ze szkiecownikiem w takim newage'owym fotelu bujanym, który stoi u nas w salonie – pochodzi z czasów, kiedy ja i Mackenzie byliśmy mali, a mama karmiła nas piersią. Chyba zostało mi jakieś dawne wspomnienie zmysłowe, bo kiedy siadam w tym fotelu i zaczynam się bujać, robię się trochę spokojniejszy i bardziej odprężony – choć samo wspomnienie mleka na szczęście zaginęło w tunelach czasu.

Dzisiaj jednak wcale nie czuję się odprężony. Nie mogę przestać myśleć o ewolucji wijących się istot. Zaczynam rysować to, co wypełnia mój umysł, bo może rysując, wygnam te superowady z mózgu.

Po pewnym czasie podnoszę głowę i widzę, że przygląda mi się mama. Nie mam pojęcia, jak długo tam jest. Kiedy znowu spuszczam wzrok, widzę, że kartka wciąż jest pusta. W ogóle nic nie narysowałem. Nawet cofam się o jedną stronę, żeby sprawdzić, czy może tam jest rysunek, ale nie. Owady wciąż siedzą w mojej głowie i nie chcą wyjść.

Mama chyba zobaczyła w mojej twarzy coś niepokojącego, bo mówi:

– Grosik za twoje myśli.

Nie mam ochoty dzielić się z nią myślami, więc zamiast tego kwestionuję jej słowa:

– Naprawdę? Tylko tyle są warte?

Wzdycha.

– Caden, tak się tylko mówi.

– No to sprawdź, kiedy wymyślono to powiedzenie, a potem weź poprawkę na inflację.

Matka kręci głową.

– Tylko ty mógłbyś coś takiego powiedzieć.

Potem mnie zostawia, żebym kisił się we własnych myślach, których nie chciałem sprzedać.

Gdzieś czytałem, że niedługo zamierzają zupełnie wycofać jednocentówki, bo nadają się chyba tylko do kupowania myśli. Salda kont bankowych trzeba będzie zaokrąglić do najbliższych pięciu centów. Fontanny nie będą przyjmować miedziaków. Wszystkie ceny zgodnie z prawem będą się musiały kończyć zerem albo piątką. Niedozwolone będzie nic pomiędzy. Tylko że coś pomiędzy istnieje, nawet jeśli wszyscy temu zaprzeczają.

To jak z tymi żetonami na metro, które stały się bezużyteczne, kiedy Nowy Jork wprowadził karty magnetyczne. Nikt nie wiedział, co z nimi zrobić. Powstał istny smoczy skarb bezwartościowego mosiądzu, którego nie zechciałby nawet mniej ambitny brat Smauga – a ponieważ nieruchomości są tam takie drogie, koszt przechowywania tych żetonów musiał być astronomiczny. Na pewno po prostu wynajęli mafię, żeby wrzuciła je do East River razem z ciałem tego planisty, który uznał, że karty miejskie to dobry pomysł.

Jeśli centy staną się bezwartościowe, czy to oznacza dewaluację naszych myśli do mniej niż zera? Robi mi się smutno, kiedy to sobie wyobrażam; miliardy miedzianych monet wirujące w żółtym lejku i spadające w zapomnienie. Ciekawe, dokąd trafią. Przecież te wszystkie myśli muszą się gdzieś podziać.

Postanawiam wziąć udział w naborze do drużyny lekkoatletycznej, żeby mój umysł nie trwał w bezczynności, żeby odtworzyć więź z innymi istotami ludzkimi. Mój ojciec jest wniebowzięty. Wiem, że po cichu uznaje to za przełomowy dla mnie moment. Koniec moich niepokojów. Chyba chce tego tak bardzo, że nie zauważa, że moje niepokoje nie minęły – ale ponieważ wydaje mu się, że ze mną wszystko w porządku, ja sam też tak się czuję. Co tam energia słoneczna – gdyby dało się wykorzystać moc wyparcia, zapewnilibyśmy światu zasilanie na pokolenia.

– Zawsze szybko biegałeś – mówi ojciec – a z tymi długimi nogami na pewno mógłbyś zostać płotkarzem.

Tata w liceum był w drużynie tenisowej. Mamy jego zdjęcia w idiotycznych spodenkach Adidasa, które nie pozostawiają miejsca dla wyobraźni, i opasce przytrzymującej długie włosy, których większość od tamtego czasu spłynęła kanalizacją.

– Trener chce, żebyśmy wszędzie chodzili albo biegali – mówię rodzicom. Teraz codziennie chodzę do szkoły piechotą. Mam na stopach rany i odciski. Cały czas bołą mnie kostki.

– To dobry ból – stwierdza ojciec, a potem cytuje jakiegoś sportowego guru: – Ból to znak, że słabość opuszcza ciało.

Idziemy kupić nowe, drogie buty do biegania oraz lepsze skarpetki. Rodzice mówią, że spróbują dotrzeć na moje pierwsze zawody, nawet jeśli będą musieli zwolnić się z pracy. Byłoby super, gdyby nie jedna kwestia. Tak naprawdę nie jestem w drużynie lekkoatletycznej.

Nie skłamałem – przynajmniej na początku. Rzeczywiście zgłosiłem się do naboru, ale chodziłem na treningi tylko przez trzy dni. Bardzo się starałem, ale po prostu tego nie czułem. Ostatnio mam wokół siebie taką bańkę izolacji jak w metrze. Tam, gdzie panuje duch koleżeństwa, czyli na przykład w drużynie, jest jeszcze gorzej. „Nigdy łatwo nie rezygnuj” – zawsze powtarzał mi ojciec. Tak zostałem wychowany, ale czy to rezygnacja, jeśli ktoś w ogóle na dobre gdzieś nie dołączył?

Więc teraz po lekcjach chodzę, zamiast biegać. Dawniej chodzenie było tylko sposobem, żeby przedostać się z miejsca na miejsce, ale ostatnio wydaje się zarówno środkiem, jak i celem. To jak z tą potrzebą wypełnienia pustej przestrzeni rysunkami. Widzę pusty chodnik i muszę go wypełnić. Godzinami chodzę bez przerwy. Odciski i ból w kostkach są właśnie od chodzenia. I widzę różne rzeczy. Nie tyle widzę, ile czuję. Wzory połączeń między mijanymi ludźmi. Między ptakami, które sfruwają z drzew. Gdzieś tam jest sens, muszę go tylko znaleźć.

Pewnego deszczowego dnia idę przez dwie godziny, blużę z kapturem mam przemokniętą, ciało zmarznięte na kość.

– Muszę pomówić z tym twoim trenerem – stwierdza mama, robiąc mi gorącą herbatę. – Nie powinien was zmuszać do biegania w takiej ulewie.

– Mamo, nie – odpowiadam. – Nie jestem małym dzieckiem! Wszyscy w drużynie tak

biegają, nie chcę odstawać!

Zastanawiam się, kiedy właściwie kłamstwo stało się takie łatwe.

– Caden, mam ja dla ciebie wyzwanie – mówi kapitan – żebyś pokazał, czy starczy ci charakteru do tej misji. – Kładzie swoją wielką dłoń na moim ramieniu i ściska tak mocno, że aż boli, a potem wyciąga rękę w stronę przodu statku. – Widzisz bukszpryt? – Wskazuje podobny do masztu drąg, który sterczy nad dziobem jak nos Pinokia po drugim czy trzecim kłamstwie. – Praży go słońce i smaga morze. Najwyższy czas go pomalować. – Potem w jedną rękę wtyka mi szmatę, a w drugą puszkę impregnatu do drewna. – Do roboty, mały. Jeśli ci się uda i nie zginiesz, zostaniesz dopuszczony do mojego wewnętrznego kręgu.

– W zewnętrznym całkiem mi dobrze – odpowiadam.

– Nie zrozumiałeś – stwierdza kapitan surowo. – Tu nie masz wyboru. – Potem warczy, obserwując moje wahanie: – Byłeś na bocianim gnieździe, co? Uczestniczyłeś w tych parszywych libacjach. Widzę to w twoich oczach!

Zerkam na papugę, która siedzi mu na ramieniu. Papuga kręci głową, dając mi wyraźnie do zrozumienia, że bym trzymał gębę na kłódce.

– Nie kłam mi, mały!

Więc nie kłamię. Zamiast tego mówię:

– Jeśli pan kapitan chce, żeby to zrobić, jak należy, potrzebuję więcej impregnatu i większą szmatę.

Jeszcze przez moment piorunuje mnie wzrokiem, a potem parska śmiechem i rozkazuje innemu członkowi załogi, żeby przyniósł mi lepsze materiały.

Na szczęście dziś morze jest spokojne. Dziób tylko lekko unosi się i opada, sunąc po falach. Nie dostaję liny, nic mnie nie chroni. Mam przesunąć się po drągu aż na sam czubek bez żadnego zabezpieczenia oprócz własnego wyczucia równowagi, które musi mnie uchronić przed spadnięciem do morza, pod statek, gdzie rozgniółby mnie jego obrośnięty muszlami kadłub.

Ze szmatą w jednej ręce i puszką w drugiej siadam okrakiem na drągu i zaciskam uda, żeby nie runąć w bezdenne błękit. Zadanie można wykonać tylko w jeden sposób: zaczynając od końca i stopniowo się cofając – bo wiem, że pomalowane drewno będzie zbyt śliskie, żeby się utrzymał. Wobec tego ostrożnie docieram na czubek i zaczynam robotę, ze wszystkich sił starając się zapomnieć o wodzie przesuwającej się pode mną. Ramiona bolą mnie od pracy, nogi bolą od kurczowego trzymania się. Mam wrażenie, że mija wieczność, ale wreszcie wracam do dzioba, skąd zacząłem.

Ostrożnie obracam się twarzą do statku. Kapitan uśmiecha się szeroko.

– Fachowa robota! – mówi. – Złaż już stamtąd, zanim morze albo coś, co w nim żyje, pożre te twoje nędzne gnaty. – Potem odchodzi, usatysfakcjonowany tym, że należycie mnie udęczoneo.

Może to dlatego, że po udanym zadaniu jestem zbyt pewny siebie, a może ocean chce się zemścić za to, że mnie nie pochłonał – ale gdy schodzę na dziób, statek nagle podskakuje na fali. Ześlizguję się i spadam z bukszprytu.

To powinien być koniec mojego nędznego życia, ale ktoś mnie łapie i przytrzymuje,

gdy ja dyndam na jednej ręce nad fatalnym przeznaczeniem.

Podnoszę głowę, żeby zobaczyć, kto uratował mi życie. Dłoń, która mnie ściska, ma brązowy kolor, ale nie tak jak skóra. Jest matowa, a palce szorstkie i twarde. Mój wzrok biegnie w górę po tym ramieniu, aż odkrywam, że trzyma mnie figura dziobowa – drewniana panna wyrzeźbiona pod bukszprytem. Nie wiem, czy powinienem być bardziej wdzięczny, czy przerażony – ale strach mija, gdy uświadamiam sobie, jaka jest piękna. Drewniane fale jej włosów rozplývają się w deskach kadłuba. Idealny tułów zwęza się i zlewa z dziobem, tak jakby reszta statku była po prostu częścią jej ciała. Natomiast twarz – jest nie tyle znajoma, ile przypomina twarze dziewcząt, które widziałem w skrytych fantazjach. Dziewcząt sprawiających, że czerwienię się, kiedy o nich myślę.

Przygląda mi się oczami ciemnymi jak mahoń, gdy tak dyndam.

– Powinłam cię puścić – mówi – za to, że patrzysz na mnie jak na przedmiot.

– Ale przecież jesteś przedmiotem – zauważam, po czym dociera do mnie, że chyba nie powinienem tego mówić, jeśli nie chcę umrzeć.

– Możliwe – odpowiada – ale nie lubię być tak traktowana.

– Uratujesz mnie? Proszę. – Wstyd mi, że muszę błagać, ale czuję, że nie mam wyboru.

– Rozważam to – mówi.

Chwył ma mocny i stanowczy, i wiem, że dopóki rozważa tę kwestię, nie pozwoli mi spaść.

– Różne rzeczy dzieją się za moimi plecami, prawda? – pyta, a ponieważ jest figurą dziobową, odpowiedź naturalnie brzmi: „Tak”. – Czy źle o mnie mówią? Kapitan i jego ptak. Załoga i jej demony, które kryją się w szparach.

– Wcale o tobie nie mówią – odpowiadam. – Przynajmniej odkąd tu jestem.

To jej nie zadowala.

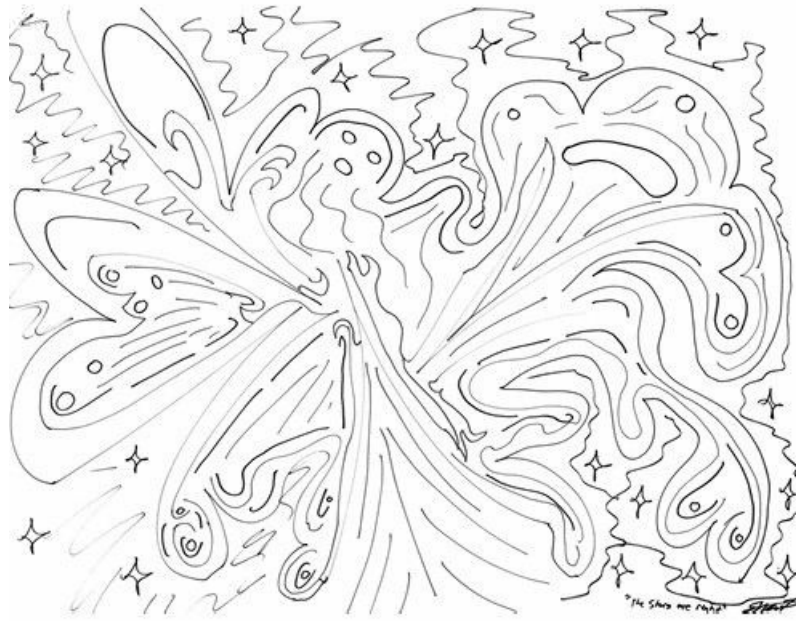
– Wygląda na to, że rzeczywiście co z oczu, to z serca – stwierdza z lepką goryczą dębowej żywicy. Potem patrzy na mnie jeszcze przez kilka chwil. – Uratuję cię – mówi – jeśli obiecasz opowiadać mi o wszystkim, co dzieje się za moimi plecami.

– Zgoda.

– Dobrze. – Mocniej ściska mnie za rękę i wiem, że będę miał dużego siniaka, ale się tym nie przejmuję. – Odwiedzaj mnie zatem, by urozmaicać moje dni. – Potem zerka na mnie z uśmiechem. – A może kiedyś pozwolę, żebyś wypolerował mnie, a nie tylko ten drąg.

Zaczyna mną huścić, żebym nabrał rozpędu, a w końcu wrzuca mnie z powrotem na dziób, gdzie twardo ląduję na pokładzie.

Rozglądam się. W pobliżu nie ma nikogo. Każdy zajmuje się własną obsesją. Postanawiam zachować to spotkanie w tajemnicy. Może drewniana panna będzie moim sprzymierzeńcem, kiedy zajdzie potrzeba.



Ekipa na misję została wybrana. Kapitan zwołuje naszą szóstkę do sali map – czyli jakby biblioteki obok jego gabinetu – wypełnionej zwojami. Po niektórych mapach widać, że nawigator już się z nimi rozprawił. Jest tu sześć miejsc do siedzenia, po trzy z obu stron zoranego stołu. Po mojej są nawigator oraz ta dziewczyna w perłowej obróżce, która ma taką twarz, jakby krzyczała. Naprzeciwko siedzą: inna dziewczyna, z włosami niebieskimi jak zatoka na Tahiti, starszy chłopak o pechowej twarzy, której Bóg zapomniał dać kości policzkowe, oraz obowiązkowy grubasek.

U szczytu stołu stoi kapitan. On nie ma miejsca siedzącego. To celowe. Górą nad nami. Za sprawą migotliwego światła lampy za plecami rzuca na stół swój cień – zmienną plamę, prawie, choć nie całkiem, naśladowującą jego ruchy. Papuga siedzi na kilku zwojach, wbija pazury w pergamin.

Jest tu również Carlyle, majtek. Siedzi na krześle w kącie, strugając uchwyt mopa, jakby przerabiał go na bardzo wąski słup totemiczny. Patrzy, ale z początku nic nie mówi.

– Unosimy się nad wieloma niewidocznymi rzeczami – zaczyna kapitan. – W czarnych głębiach, co rozgniatają kości, leżą całe góry tajemnic... Ale jak wiecie, to nie góry są naszą obsesją, a doliny.

Potem jego zdrowe oko spogląda na mnie. Wiem, że mówiąc, kapitan nawiązuje kontakt wzrokowy z nami wszystkimi, ale gdy tak rozplywa się w pirackiej poezji, nie mogę pozbyć się wrażenia, że wybrał sobie właśnie mnie.

– Tak jest, doliny i rowy. A szczególnie jeden. Rów Mariański... i miejsce w jego lodowatej toni, które zwą Głębią Challengeera.

Papuga podfruwa na jego ramię.

– Na oku was mieliśmy – mówi. Dzisiaj brzmi jak Yoda.

– O tak, przypatrywaliśmy się waszym poczynaniom – dodaje kapitan. – I niech mnie kule biją, jeśli to nie wam ta misja jest pisana.

Przewracam oczami, słuchając, jak sili się na pirackie gadanie. Nie zdziwiłbym się, gdyby zaczął co drugie zdanie wtrącać „Arrr!”.

Na moment zapada cisza, a potem Carlyle, nie podnosząc wzroku znad struganej rączki, odzywa się z kąta:

– Ja tu jestem tylko obserwatorem, ale poszłoby sprawniej, gdyby wasza szóstka podzieliła się spostrzeżeniami.

– Mówić – rozkazuje papuga. – Wszyscy mają mówić, co wiedzą o miejscu, którego szukamy.

Kapitan milczy. Zdaje się nieco poirytowany tym, że papuga i majtek podkopali jego autorytet. Krzyżuje ręce na piersiach w geście władzy i czeka, aż ktoś z nas coś powie.

– No to ja zacznę – odzywa się dziewczyna z perłową obróżką. – To ciemna i straszna głębia, są w niej potwory, o których właściwie nie chcę mówić... – stwierdza, po czym opowiada nam o potworach, o których nikt z nas nie chce słuchać. W końcu przerywa

jej obowiązkowy grubasek:

– Nie – mówi. – Najgorsze potwory nie mieszkają w rowie, ale go strzegą. Przychodzą, zanim się tam dotrze.

Dziewczyna z obróżką, która twierdziła, że nie chce rozmawiać o potworach, najwyraźniej jednak chciała, bo teraz jest zła, że jej przerwano. Uwaga wszystkich skupia się na grubasku.

– Mów dalej – prosi kapitan. – Jesteśmy tu, żeby słuchać.

– No... potwory nie dopuszczają ludzi do rowu, zabijają każdego, kto się zbliży. Jeśli kogoś nie dopadnie jeden, załatwi go inny.

– Bardzo dobrze – chwali kapitan. – Świetnie powiedziane! Znasz się na podaniach.

– Znaczący legend – mówi papuga. – Mianuj go znaczącym legend.

– To oczywisty wybór – zgadza się kapitan. – Będziesz naszym ekspertem do spraw podań.

Grubasek wpada w panikę.

– Ale ja nic nie wiem. Tylko raz słyszałem, co pan mówił.

– To się ucz. – Kapitan sięga na półkę, o której istnieniu jeszcze przed chwilą nie wiedziałem, chwyta tom grubości obszernego słownika i z hukiem rzuca go na stół przed biedakiem.

– Dziękuję, że się tym z nami podzieliłeś – mówi Carlyle z kąta, strącając wiór drewna z noża na podłogę.

Kapitan kieruje wzrok na dziewczynę z niebieskimi włosami i czeka, aż ona doda coś od siebie. Dziewczyna, odzywając się, patrzy w bok, jakby brak kontaktu wzrokowego był szczytowym aktem buntu.

– Na dole musi być zatopiony skarb albo coś – mówi. – Bo inaczej po co byście tam płynęli?

– O, tak – odpowiada kapitan. – Wszystkie skarby zagubione na morzu dążą do najniższego punktu świata. Złoto, diamenty, szmaragdy i rubiny porwane przez zazdrosną toń są ciągnięte na dno jej wodnymi mackami i lądują w niepoznanych odmętach Głębi Challengeera. Bogactwo godne królewskiego okupu, i to bez zawracania sobie głowy porwaniem króla.

– Porwanie, planowanie, pluralizm, organizm – mówi nawigator. – Organizmy, których nie widziało ludzkie oko, czekają na tego, kto podejmie wyzwanie.

– To kto je podejmie? – pyta chłopak z niedoborem kości policzkowych.

Kapitan kieruje na niego spojrzenie.

– Ponieważ ty zadałeś pytanie, ty wywróżysz odpowiedzi. – Odwraca się do papugi. – Przynieś mu kości.

Papuga frunie przez pomieszczenie, a potem wraca ze skórzanym woreczkiem w dziobie.

– Nazwiemy cię prorokiem i będziesz dla nas czytał z kości – mówi kapitan.

– To – oznajmia papuga – są kości mojego ojca.

– Pożarliśmy go w pewne Boże Narodzenie – dodaje kapitan – kiedy nikt nie chciał być indykiem.

Przełykam ślinę, myśląc o Plastikowej Białej Kuchni. Potem kapitan patrzy na mnie i uświadamiam sobie, że mówili już wszyscy, poza mną. Zastanawiam się nad tym, co

powiedzieli, i czuję, że rośnie we mnie gniew. Kapitan i to jego przekrwione oko. Papuga kołyszająca łbem w oczekiwaniu na to, jaki nonsens dorzucę do tych wszystkich głupot.

– Rów Mariański – mówię – o głębokości prawie jedenastu kilometrów to najgłębsze miejsce na ziemi, położone na południowy zachód od wyspy Guam, której nie ma nawet na waszym globusie.

Kapitan szerzej otwiera oko i wygląda to tak, jakby nie miał powiek.

– Mów dalej.

– Po raz pierwszy zbadany przez Jacques'a Piccarda i porucznika Dona Walsh'a w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku na pokładzie batyskafu Trieste. Nie znaleźli tam potworów ani skarbów. Zresztą nawet gdyby były tam skarby, nie dotarlibyście do nich. Przynajmniej nie bez odpowiednio solidnego dzwonu nurkowego o stalowych ścianach grubości co najmniej piętnastu centymetrów. Ale ponieważ znajdujemy się na statku przedindustrialnym, wątpię, żeby to było możliwe, bo nie macie takich zaawansowanych urządzeń, prawda? Dlatego marnujecie czas nas wszystkich.

Kapitan krzyżuje ręce na piersiach.

– Cóż za anachronizm z twojej strony – mówi. – I wierzysz w to, ponieważ...?

– Ponieważ pisałem o tym referat – odpowiadam. – Dostałem nawet szóstkę.

– Nie sądzę – stwierdza kapitan, po czym woła do Carlyle'a: – Majtku! Ten załogant właśnie dostał jedynkę. Rozkazuję wypalić mu ją na czole.

Prorok chichocze, znawca legend wzdycha, a pozostali czekają, czy okaże się to pustą pogrózką.

– Jesteście wolni – mówi kapitan. – Wszyscy oprócz naszego zuchwałego jedynkowicza.

Wychodzą, szurając nogami. Nawigator rzuca mi współczujące spojrzenie. Carlyle wybiega z pomieszczenia, a już po chwili wraca z żelazem do wypalania piętna, dymiącym i rozgrzanym do czerwoności, jakby czekało za progiem. Dwaj bezimienni oficerowie przyciskają mnie do grodzi i chociaż walczę, nie mogę się uwolnić.

– Wybacz – mówi Carlyle, trzymając rozpalone żelazo, którego żar czuję z odległości pół metra.

Papuga odfruwa, żeby na to nie patrzeć, a kapitan przed wydaniem rozkazu pochyla się nade mną. Czuję woń jego oddechu. Cuchnie kawałkami starego mięsa marynowanego w rumie.

– To nie jest taki świat, jak ci się wydaje – mówi.

– A jaki? – pytam, nie chcąc ulec własnemu strachowi.

– Nie wiesz? To świat śmiechu i świat łez. – Potem unosi opaskę, ukazując paskudny oczodół zatkany pestką brzoskwini. – Ale głównie łez.

Daje znak Carlyle'owi, żeby wystawił mi jedynkę z referatu.

Po napiętnowaniu mnie kapitan robi się łagodny. Wręcz skruszony, choć nigdy wprost nie przeprasza. Siedzi przy moim łóżku i obmywa ranę wodą. Carlyle i papuga zaglądną raz po raz, ale tylko na chwilę. Gdy widzą tam kapitana, wycofują się.

– To wszystko wina papugi – mówi kapitan. – I Carlyle’a. Kiedy mnie tu nie ma, wkładają ci do głowy różne myśli, od których się nakręcasz.

– Pan zawsze tu jest – przypominam.

Nie zwraca na to uwagi i znów obmywa mi czoło.

– Te przeklęte wycieczki na bocianie gniazdo też źle ci robią. Precz z trunkami, do diabła z twoim eliksirem. Zważ moje słowa, od tych piekielnych mikstur zgnijesz od środka.

Nie mówię mu, że to papuga nalegała, żebym miał swój koktajl.

– Chodzisz tam na górę, bo chcesz być taki jak wszyscy – mówi. – Znam się na tych sprawach. Najlepiej wylać to za burzę, kiedy nikt nie patrzy.

– Będę o tym pamiętał – odpowiadam. Myślę o samotnej pannie, która zdobi dziób; o jej prośbie, żebym był jej oczami i uszami na statku. Dochodzę do wniosku, że jeśli kapitan kiedykolwiek będzie chętny do odpowiedzi na pytania, to właśnie teraz, kiedy ma wyrzuty sumienia z powodu mojej krwawej jedyńki. – Kiedy malowałem bukszpryt, widziałem figurę na dziobie. Jest bardzo piękna.

Kapitan kiwa głową.

– Dzieło sztuki, nie ma co – przyznaje.

– Kiedyś marynarze wierzyli, że takie figury chronią statki. Czy pan też w to wierzy?

Kapitan patrzy na mnie z ciekawością, acz nie całkiem podejrzliwie.

– Ona ci to powiedziała?

– Przecież jest z drewna – odpowiadam prędko. – Jak mogłaby cokolwiek mówić?

– No tak. – Kapitan bawi się brodą, po czym stwierdza: – Chroni nas przed wyzwaniem, którym przyjdzie stawić czoło, zanim dotrzemy do celu podróży. Przed potworami, ku którym płyniemy.

– Ma nad nimi władzę?

Kapitan ostrożnie dobiera słowa:

– Patrzy. Widzi rzeczy, których nie dostrzega nikt inny, a jej wizje odbijają się echem w pustych częściach statku, umacniając go przed atakiem. Przynosi szczęście, ale to nie wszystko. Jej spojrzenie potrafi zaczarować przeróżne morskie bestie.

– Cieszę się, że nas chroni – mówię. Wiem, że nie mogę dalej naciskać, bo kapitan mógłby nabrać podejrzeń.

– Bez niej jesteśmy zgubieni – stwierdza, po czym wstaje. – Oczekuję cię rano na apelu. Bez narzekania. – Potem wychodzi, po drodze rzucając mokrą szmatę nawigatorowi, który wyraźnie nie jest zainteresowany pielęgnacją mojej rany.

Głowa boli mnie tak bardzo, jakby ktoś wypalił mi piętno na czole. Trudno mi się przez to skupić na nauce – trudno robić cokolwiek. Ból nadchodzi i mija, a za każdym razem jest trochę silniejszy. Im więcej myślę, tym bardziej boli mnie głowa, a ostatnio mój mózg pracuje na najwyższych obrotach. W kółko biorę prysznic, żeby go schłodzić, tak jak oblewa się wodą przegrzaną maszynę. Zwykle czuję się lepiej po trzeciej czy czwartej kąpieli.

Dziś po kilku prysznicach schodzę na dół i proszę mamę o aspirynę.

– Łykasz za dużo aspiryny – mówi i podaje mi słoik panadolu.

– Panadol jest do kitu – odpowiadam.

– Zbija gorączkę.

– Ja nie mam gorączki. Na czole rośnie mi oko.

Przygląda mi się, próbując ocenić, czy mówię serio, i to mnie wkurza.

– Żartuję.

– Wiem – odpowiada, odwracając się. – Patrzyłam tylko, jak marszczysz czoło. To stąd masz te bóle głowy.

– Więc mogę dostać aspirynę?

– A może ibuprom?

– Dobra. – Zazwyczaj ibuprom robi swoje, chociaż kiedy przestaje działać, mam potwornie zły humor.

Idę do łazienki z butelką mountain dew i łykam trzy pastylki. Jestem w zbyt buntowniczym nastroju, żeby ograniczyć się do sugerowanych dwóch. W lustrze widzę zmarszczki na czole, o których mówiła matka. Próbuję się odprężyć, ale nie mogę. Moje odbicie wygląda na zmartwione. Czy jestem zmartwiony? Nie do końca tak się dziś czuję – ale ostatnio moje uczucia są takie płynne, że przelewają się z jednego w drugie, a ja tego nie zauważam. Teraz uświadamiam sobie, że rzeczywiście się martwię. Martwię się tym, że się martwię.

Mam taki sen. Dyndam z sufitu. Moje stopy wiszą kilka centymetrów nad ziemią. A potem, kiedy patrzę w dół, okazuje się, że w ogóle nie mam stóp. Mój tułów zwęża się i zmienia w wijący się, przypominający robaka kawałek tkanki, jakbym był larwalną wersją samego siebie, zawieszoną nad ciemną ziemią.

Ale na czym zawieszoną? Uświadamiam sobie, że utkwilem w czymś jakby sieci, ale organicznym. W lepkiej i gęstej pajęczynie. Wzdrygam się na samą myśl o tym, co za istota mogłaby ją uprząć.

Mogę ruszać rękami, ale przesunięcie ich choćby o centymetr wymaga tak niewiarygodnej siły, że szkoda wysiłku. Chyba są tu ze mną inni ludzie, ale niewidoczni, za mną, tuż poza zasięgiem wzroku.

Wokół mnie jest ciemno, ale ciemność to niewłaściwe słowo, chodzi raczej o brak światła. Jakby samo pojęcie światła i ciemności jeszcze się nie narodziło, więc wszystko tkwi w uporczywym odcieniu ponurej szarości. Zastanawiam się, czy tak wyglądała pustka, zanim cokolwiek powstało. W tym śnie nie istnieje nawet Plastikowa Biała Kuchnia.



Z bezświatłości wyłania się papuga, kroczy w moim kierunku, ale ma wielkość człowieka. Widok tak dużego ptaka jest przerażający. To pierzasty dinozaur z dziobem, który jednym ruchem mógłby mi odgryźć głowę. Mierzy mnie wzrokiem z tym swoim nigdy nieznikającym uśmiechem i chyba pochwała moją beznadziejną sytuację.

– Jak się czujesz? – pyta.

„Jakbym czekał, aż coś wyssie mi krew”, chcę powiedzieć, ale z moich ust wydostaje się tylko jedno słowo:

– Czekam.

Papuga spogląda za mnie ponad moim ramieniem. Próbuję odwrócić głowę, ale nie mogę dostatecznie nią poruszyć, żeby zobaczyć, na co patrzy ptak.

- Ach, oto i ssawka! – mówi.
- Co? – pytam, bo zbyt późno dociera do mnie, że wolałbym nie poznać wyjaśnienia.
- To jego żądło. Ukłucie będzie jedynym bólem, jaki poczujesz. Potem odpłyniesz, jakbyś zasypiał.

I rzeczywiście czuję ukłucie, silne i bolesne. Nie umiem określić, gdzie konkretnie użądliła mnie niewidoczna istota. W plecy? W udo? W kark? Potem uświadamiam sobie, że wszędzie naraz.

- No proszę, wcale nie było tak źle, prawda?

Zanim moje przerażenie zdąży nabrać mocy, jad zaczyna działać i w jednej chwili jest mi wszystko jedno. Nic mnie nie obchodzi. Wiszę w absolutnym spokoju, powoli pożerany.

Test z przyrody, do którego ten jeden raz w ogóle się nie uczyłem. Uświadamiam sobie, że nie muszę go zdawać, bo wiem więcej niż nauczyciel. O wiele więcej. Wiem o rzeczach, których nie ma w książce. Znam działanie wszystkiego, co biologiczne, aż do poziomu komórkowego. Bo ja to rozgryzłem. Ja wiem, jak działa wszechświat. Dosłownie pękam od wiedzy. Jak jeden człowiek może mieć tak bardzo wypełniony mózg i nie eksploduje mu czaszka? Wreszcie rozumiem, skąd te bóle głowy. Ta wiedza nie jest czymś konkretnym, co mógłbym opisać. Słowa są zupełnie nieskuteczne. Mogę to natomiast narysować. I ostatnio rysuję. Ale muszę uważać, z kim się dzielę tym, co wiem. Nie każdemu zależy na rozpowszechnianiu tych informacji.

– Na test macie czterdzieści minut. Radzę, żebyście mądrze wykorzystali ten czas.

Śmieję się pod nosem. W tym, co powiedział, jest coś śmiesznego, ale nie umiem powiedzieć co.

Gdy tylko dostaję arkusz odpowiedzi i odwracam kartkę z pytaniami, uświadamiam sobie, że słowa na papierze wcale nie są prawdziwym testem. Ten prawdziwy to coś głębszego. Fakt, że trudno mi się skupić na wydrukowanych pytaniach, wyraźnie świadczy o tym, że muszę szukać bardziej znaczących odpowiedzi.

Zaczynam wypełniać kwadraciki moim ołówkiem hb i świat znika. Czas znika. Znajduję wzory ukryte w tej siatce. Klucz odpowiedzi do wszystkiego i nagle to...

– Odkładamy ołówki! Czas minął. Przekażcie arkusze odpowiedzi do przodu.

Nie pamiętam, kiedy minęło czterdzieści minut. Patrę na obie strony mojego arkusza i widzę tam szalone konstelacje, które nie istnieją na niebie, a jednak są prawdziwsze od gwiazd, które oglądamy. Teraz tylko ktoś inny musi połączyć kropki.

Dziewczyna z niebieskimi włosami zostaje mianowana skarbniczką i dostaje skrzynię z listami ładunkowymi zatopionych statków. Jej zadanie polega na tym, żeby je przejrzeć i znaleźć dowody istnienia zaginionego skarbu na podstawie tego, co wymieniono jako ładunek. Nie byłoby tak źle, gdyby nie fakt, że wszystkie kartki są podarte jak konfetti i trzeba je złożyć z powrotem. Dziewczyna pracuje nad tym dniami i nocami.

Grubasek, teraz nazywany przez wszystkich znawcą legend, usiłuje nauczyć się jak najwięcej z tomiszcza, którym obarczył go kapitan. Niestety cała księga napisana jest runami w języku, który, jak sędzę, albo od dawna jest martwy, albo w ogóle nigdy nie istniał.

– To jest piekło na ziemi – oznajmia mi zrozpaczony znawca legend, na co papuga, która zdaje się słyszeć różne kwestie, zanim ktoś je w ogóle wypowie, zauważa, że ponieważ nigdzie wkoło nie widać łądu, należałoby to raczej nazwać „piekłem pod żaglami”.

Dziewczyna z obrózką odpowiada za morale – co dziwne, bo zawsze jest taka ponura.

„Wszyscy umrzemy, i to w bólach”, mówiła już kilka razy, choć za każdym razem znajduje inny sposób, żeby powiedzieć w zasadzie to samo. W kwestii morale to by było tyle.

Chłopak z woreczkiem kości nabrał wprawy we wrózeniu. Nosi w ręku ten skórzany mieczek ze szczątkami ojca papugi, na każdą komendę kapitana gotów je rzucić i w nich czytać.

Chłopak od kości zwierza mi się, że większość przepowiedni zmyśla – ale posługuje się takimi ogólnikami, żeby ktoś, komu bardzo na tym zależy, mógł je zinterpretować jako prawdę.

– Skąd wiesz, że nie zdradzę twojej tajemnicy? – pytam.

Uśmiecha się i mówi:

– Bo równie łatwo mogę przepowiedzieć, że wyrzuci cię za burtę członek załogi, któremu pisane bogactwo i sława.

Co oczywiście oznacza, że za burtę chciałby mnie wyrzucić każdy. Muszę przyznać, gość nie jest głupi.

Nawigator robi to, co robił, odkąd go poznałem. Tworzy mapy nawigacyjne, poszukując sensu oraz drogi, która poprowadzi nas do rowu i z powrotem.

– Wobec ciebie kapitan ma szczególne zamiary – mówi mi nawigator. – Chyba ci się spodobała. – Potem jakimś cudem w czterech krokach przechodzi od „szczególnych zamiarów” do „spuchniętych migdałów” i zaniepokojony zaczyna obmacywać gardło.

– Ty, mój zuchwały jedynkowiczu, będziesz naszym pokładowym artystą – mówi do mnie kapitan. Sama wzmianka o piętnie przypomina mi, że ból nigdy do końca nie mija. Na szczęście na pokładzie nie ma luster, więc tylko to czuję, ale nie widzę. – Twoim zadaniem będzie dokumentacja naszej podróży w obrazach.

– Kapitan woli obrazy od słów – szepce do mnie nawigator – bo nie umie czytać.

Wiem, że powinienem nienawidzić kapitana z całego serca, ale nie nienawidzę. Nie umiem wyjaśnić dlaczego. Przyczyna musi tkwić tak głęboko jak rów, do którego płyniemy – musi kryć się w miejscu, do którego nie dociera żadne światło oprócz tego, jakie przynosimy ze sobą, a ja teraz nie mam nawet iskiej.

Wyglądam za burzę, rozmyślając o głębinach, zastanawiając się, jakie niepojęte tajemnice spoczywają pod nami. Kiedy dostatecznie długo wpatruję się we wzburzony ocean, w przypadkowości fal dostrzegam różne rzeczy. Wszędzie w tej wodzie są oczy, które mnie obserwują, które mnie oceniają.

Papuga także patrzy. Podchodzi do mnie po balustradzie.

– „Gdy długo spoglądasz w bezdeń, spogląda bezdeń także w ciebie”¹ – mówi. – Miejmy nadzieję, że nie znajdzie nic ciekawego.

Pomimo wzgardy kapitana dla orlego gniazda wciąż wspinam się tam dwa razy dziennie na mój koktajl i obcuję z innymi członkami załogi – choć z eliksirem w dłoni niewielu jest już towarzyskich.

Dziś morze przypomina kolejkę górską, wyczynia wszystko oprócz korkociągów i pętli, a statkiem zawsze najgorzej buja na bocianim gnieździe, które przechyla się tam i z powrotem na szczycie grotmasztu jak obciążony czubek metronomu. Choć próbuję trzymać drinka nieruchomo, chlupie w kieliszku i odrobina wylewa się na podłogę, wpływa w ciemne przestrzenie między deskami i znika.

– On jest żywy, wiesz o tym? – mówi podoficer, doświadczony członek załogi odpowiedzialny za armatę, który na całych ramionach ma nieprzyjemne tatuaże. – Jest żywy i czeka, aż ktoś go nakarmi. – Uświadamiam sobie, że głos nie wydobywa się z jego ust, ale z jednej z czaszek narysowanych na jego ramieniu. Tej z kośćmi do gry w miejscach oczu.

– Co jest żywe? – pytam tatuaż. – Statek?

Czaszka kręci głową.

– Ciemny śluz, który trzyma statek w kupie.

– To tylko uszczelnienie – mówię jej, a wtedy wszystkie inne czaszki zaczynają się śmiać.

– Tak to sobie tłumacz – odpowiada czaszka z oczami jak kości do gry – ale kiedy się obudzisz i będzie ci brakowało paru palców u nóg, zrozumiesz, że cię posmakował.

Wychodzę na bukszpryt w środku nocy, unikając członków załogi na wachcie. Celowo zsuwam się z wypolerowanego drąga, a panna – figura dziobowa statku – łapie mnie, tak jak wiedziałem, że to zrobi. Najpierw trzyma mnie za nadgarstki, ale potem przyciąga do siebie i obejmuje drewnianymi ramionami. Choć nic oprócz tych ramion nie chroni mnie przed upadkiem w głębiny, jakimś cudem czuję się tu bezpieczniej niż na pokładzie.

Dziś w nocy morze jest spokojne. Tylko raz po raz fala opryskuje nas lekką słoną mgiełką. Panna trzyma mnie w objęciach, a ja zaczynam jej szeptać rzeczy, których się dowiedziałem.

– Kapitan wierzy, że przynosisz szczęście – mówię. – Że twoje spojrzenie zaczaruje morskie potwory.

– Szczęście? – parska. – Gdzie mi tam do szczęścia, skoro muszę tkwić na zawsze na tym dziobie, znosząc wszystkie krzywdy, na jakie skaże mnie morze? A co do potworów, to nie oczaruje ich nic oprócz pełnego żołądka, tego możesz być pewien.

– Powtarzam tylko, co powiedział.

Uderzamy w fale, statek unosi się wysoko, a potem opada. Panna ściska mnie tak mocno, że nie muszę się już trzymać. Wyciągam dłoń i delikatnie przesuwam po jej opadających włosach z drzewa tekowego.

– Czy masz imię? – pytam.

– Kalliope. Nazwano mnie na cześć muzy poezji. Nigdy jej nie spotkałam, ale podobno jest piękna.

– Ty też.

– Ostrożnie – odpowiada z leciusięnkim uśmiechem – przez fałszywe pochlebstwa mogę cię wypuścić, a gdzie byś wtedy był?

– Byłbym cały mokry – mówię i też się do niej lekko uśmiecham.

– A ty masz jakieś imię? – pyta.

– Caden.

Zastanawia się chwilę.

– Zaczne imię – stwierdza.

– Oznacza ducha bitwy – mówię.

– W jakim języku?

– Nie mam pojęcia.

Śmiejemy się oboje. Ocean też zdaje się śmiać, ale nie drwiąco.

– Ogrzej mnie, Cadenie – szepce głosem niczym łagodne skrzypienie młodej gałązki. – Ja nie mam własnego ciepła, tylko to, które daje mi słońce, a ono jest teraz na drugim końcu świata. Ogrzej mnie.

Zamykam oczy i promieniuję ciepłotą ciała. Tutaj jest tak miło, że nie przeszkadzają mi nawet drzazgi.

– Czy wiesz, dlaczego zostałeś tu zaproszony? – pyta szkolna psycholożka. Nazywa się Dorothy Uppington. Uczniowie bardzo lubią wymawiać jej nazwisko z pierwszą literą imienia.

Wzruszam ramionami.

– Żeby z panią porozmawiać?

Wzdycha, bo już wie, że to będzie jedna z *tych* rozmów.

– Tak, ale czy wiesz, dlaczego przyszedłeś ze mną porozmawiać?

Milczę, bo mam świadomość, że im mniej mówię, tym lepiej kontroluję sytuację. Tylko że nie mogę powstrzymać drżenia kolan, co skutecznie przekreśla jakiekolwiek poczucie kontroli.

– Jesteś tu z powodu testu z przyrody.

– A, to.

Przerywam kontakt wzrokowy, a potem uświadamiam sobie, że nigdy nie należy przerywać kontaktu wzrokowego ze szkolnym psychologiem, bo znajdzie jakieś głębokie psychologiczne uzasadnienie tego, że spuściłeś wzrok. Znowu zmuszam się do spojrzenia jej w oczy.

Psycholożka otwiera teczkę. Mam własną teczkę w jej gabinecie? Kto jeszcze ma do niej dostęp? Czy to się wiąże z wpisem do akt? Co to w ogóle jest wpis do akt? Kiedy przestaje ciągnąć się za człowiekiem? Czy przez całe życie będę musiał oglądać się przez ramię?

Pani D. Uppington (ja też lubię tak mówić) wyjmuje z teczki mój arkusz odpowiedzi z testu z przyrody. Jest na nim zaczernionych więcej kółek niż zazwyczaj.

– To bardzo... twórcza interpretacja testu – mówi.

– Dziękuję.

– Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego to zrobiłeś?

Jest tylko jedna odpowiedź, jakiej może udzielić osoba w takiej sytuacji:

– Wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł.

Wiedziała, że to powiem. Wiem, że wiedziała, a ona wie, że wiem. Dla nas obojga to wszystko jest jak rytualne przedstawienie. Jak japoński teatr kabuki. Naprawdę żal mi jej, że musi przez to ze mną przechodzić.

– Nie tylko pan Guthrie się o ciebie martwi, Caden – mówi tak życzliwym tonem, jak tylko potrafi. – Opuszczasz lekcje. Nie skupiasz uwagi na nauce. Z perspektywy historycznej to do ciebie niepodobne.

Z perspektywy historycznej? Oni mnie studiują jak historię? Czy wypełniają gdzieś arkusze odpowiedzi na mój temat? Czy przedmiot „ja” jest na ocenę, czy tylko na zaliczenie?

– Martwimy się i chcemy ci pomóc, jeśli nam pozwolisz.

Teraz to ja wzdycham. Nie mam cierpliwości do kabuki.

– Przejdźmy do rzeczy. Myśli pani, że biorę narkotyki.

– Tego nie powiedziałam.

– To ja też nie.

Zamyka swoją teczkę i odkłada ją na bok, może na znak, że odtąd nasza rozmowa jest nieformalna i poza protokołem. Nie kupuję tego. Nachyla się nieco bliżej, ale jej biurko rozdziela nas jak pustynia.

– Caden, wiem tylko tyle, że coś jest nie tak. Może chodzić o różne rzeczy i owszem, jedną z nich są narkotyki, ale tylko jedną. Chciałabym usłyszeć od ciebie, co się dzieje, jeżeli zechcesz mi o tym powiedzieć.

„Co się dzieje? Siedzę w ostatnim wagoniku kolejki górskiej na szczycie wzniesienia, a przednie wagony już uległy grawitacji. Słyszę krzyki tych, którzy jadą z przodu, i wiem, że mnie od takiego krzyku dzielą tylko sekundy. Jestem w tym punkcie, kiedy słysząc, jak ze zgrzytem opuszcza się podwozie samolotu, w tym ułamku sekundy, zanim rozum zdąży wyjaśnić, że to tylko podwozie. Skaczę z urwiska i odkrywam, że umiem latać... A potem dociera do mnie, że nie mam gdzie wylądować. Nigdy. Oto, co się dzieje”.

– Więc nic nie powiesz? – pyta pani D. Uppington.

Mocno opieram dłonie na kolanach, naciskam, żeby nogi przestały drżeć, i z powagą patrzę jej w oczy.

– Niech pani posłucha. Miałem zły dzień i wyżyłem się na teście. Wiem, że to było głupie, ale pan Guthrie i tak pomija najgorszą ocenę, więc to nie wpłynie na mój końcowy stopień.

Odchyła się, ma zadowoloną minę, ale próbuje to ukryć.

– Czy przyszło ci to do głowy, zanim oddałeś test, czy dopiero potem?

Nigdy nie byłem pokerzystą, ale teraz blefuję jak najlepsi.

– Proszę pani, naprawdę pani myśli, że bym to zrobił, gdybym myślał, że pogorszę sobie ocenę? Z perspektywy historycznej nie jestem taki głupi.

Pani D. Uppington kupuje to tylko częściowo, ale jest na tyle dobrym psychologiem, żeby wiedzieć, że naciskając mnie, odniosłaby skutek odwrotny do zamierzonego.

– W porządku – mówi.

Ale ja wiem, że to wcale nie jest w porządku.

Potrzeba chodzenia przepęnia mnie coraz bardziej. Chodzę po swoim pokoju, kiedy powinienem odrabiać lekcje. Chodzę po salonie, kiedy powinienem oglądać telewizję.

Normalne popołudniowe programy zastąpiono transmisją na żywo, bo gdzieś w Kansas jakiś dzieciak wpadł do opuszczonej studni. Lecą wywiady z jego zapłakanymi rodzicami, ze strażakami, ratownikami i ekspertami od studni – bo w dzisiejszych czasach są eksperci od wszystkiego. W kółko dają przebitki na obraz z helikoptera, jakbyśmy oglądali pościg samochodowy, chociaż dzieciak w studni nigdzie się nie wybiera.

Przez cały ten czas chodzę, wciągnął mnie ten dramat, ale nie umiem ustać w miejscu.

– Caden, jeśli chcesz oglądać, to siadaj – mówi moja matka, klepiąc dłonią miejsce na kanapie obok niej.

– W szkole cały dzień siedziałem – odpowiadam. – To ostatnie, na co teraz mam ochotę.

Idę na górę, żeby zejść jej z oczu, kładę się na łóżku na całe dziesięć sekund, potem wstaję, żeby pójść do łazienki, choć tak naprawdę wcale nie potrzebuję, potem schodzę na dół, żeby się napić, chociaż wcale nie chce mi się pić, a potem wracam na górę.

– Caden, przestań! – mówi Mackenzie, kiedy mijam jej pokój chyba po raz dziesiąty. – Zaczynam się ciebie bać.

W tej chwili Mackenzie jest uzależniona od gry wideo, w którą nie przestanie grać, dopóki jej nie przejdzie, czyli za jakieś czterdzieści czy pięćdziesiąt godzin. Ja już ją przeszedłem, ale wątpię, żebym teraz miał do tego cierpliwość.

– Pomożesz mi? – pyta.

Patrzę na ekran. Jest tam duża skrzynia skarbów umieszczona w klatce, do której pozornie nie ma żadnego wejścia. Skrzynia połyskuje na złoto-czerwono. Po tym można poznać, że to nie jest pierwsza lepsza skrzynia. Czasami człowiek katuje się, żeby do jakiejś dotrzeć, a w środku znajduje tylko jedną głupią rupię. Ale w czerwono-złoty skrzyniach są prawdziwe skarby.

– W środku jest klucz bossa – mówi Mackenzie. – Przez godzinę szukałam klucza do tej skrzyni, a teraz nie mogę się do niej dostać.

To zabawne, że potrzeba klucza do otwarcia skrzyni, z której wyjmuje się po prostu większy, lepszy klucz.

Mackenzie dalej biega dokoła klatki, jakby po następnym okrążeniu kraty miały zniknąć.

– Spójrz w górę – mówię.

Patrzy i widzi tajne przejście wprost nad głową jej awatara. To takie proste, kiedy zna się już odpowiedź.

– Ale jak tam wejść? – pyta.

– Po prostu odwróć grawitację.

– Jak to się robi?

– Nie znalazłaś dźwigni?

Warczy zdesperowana.

– Pokaż mi!

Ale ja mam dość, bo moja gorączka chodzenia osiągnęła masę krytyczną.

– Mackenzie, nie mogę wszystkiego robić za ciebie. To jak z matematyką: mogę ci pomóc, ale nie podam ci rozwiązania.

Piorunuje mnie wzrokiem z całych sił.

– Gry wideo nie są jak matematyka. Nie próbuj mi wmówić, że są, bo cię znienawidzę!

Zrezygnowana szuka dźwigni antygravitacyjnej, a ja wychodzę. Nie tylko z jej pokoju, ale z domu. Chociaż jest prawie ciemno, chociaż za parę minut kolacja, muszę chodzić. Więc kiedy Mackenzie biega w kółko po świątyniach w grze, ja włóczę się po okolicy, skręcając, gdzie popadnie, być może w poszukiwaniu własnego klucza bossa.

Jakiego trzeba mieć pecha, żeby wpaść do opuszczonej studni? Ciągłe słyszy się takie historie. Dzieciak bawi się z psem gdzieś na polu, a tu bum – spada piętnaście metrów albo i więcej i znika.

Jeżeli ma szczęście, a pies nie jest za głupi, ludzie dowiadują się o tym w porę i spuszczają do studni kogoś bez obojczyków, żeby dzieciaka wyłowić. Wtedy gość bez obojczyków do końca życia wierzy, że był jakiś powód jego przyjścia na świat bez widocznych ramion, a uratowany dzieciak ma okazję przekazać swój materiał genetyczny przyszłym pokoleniom.

Jeżeli nie ma szczęścia, to tam umiera i historia kończy się smutno.

Jakie to musi być uczucie: zostać nagle połkniętym przez ziemię i znaleźć się na głębokości prawie dziesięciu grobów? Jakie myśli przechodzą człowiekowi przez głowę. „Kurczę, ale kicha” to trochę za mało.

Są takie chwile, gdy czuję się jak dzieciak wydzierający się na dnie studni, a mój pies, zamiast sprowadzić pomoc, idzie obsikać drzewa.

- Sama skóra i kości – ocenia mnie moja matka następnego dnia przy kolacji.
- Potrzeba mu więcej mięsa! – To natychmiastowe rozwiązanie ojca, odpowiedź na próby zweganizowania nas przez matkę. – Więcej białka do budowy mięśni.
- Tata nie zauważył, że tylko przesuwam pożywienie po talerzu. Ponieważ jedzenie zawsze było dla mnie czymś oczywistym, traktuje je tak jak oddychanie. Zakłada, że ma miejsce. Ale to mama musi wyrzucać po mnie niedojedzone posiłki.
- Przecież jem – mówię. Co jest prawdą, tyle że nie jem już zbyt dużo. Czasem nie mam cierpliwości, a czasem zapominam.
- Suplementy – rzuca tata. – Skołużę ci koktajle proteinowe.
- Koktajle proteinowe – powtarzam. – Dobrze.
- Moja odpowiedź chyba ich zadowala, tylko że teraz oboje zaczęli zwracać uwagę na moje zwyczaje żywieniowe i obserwują mój talerz, jakby był bombą zegarową.

Nasz statek zrobił się miedziany. To stało się w ciągu nocy. Całe drewno, koja w mojej kajucie, nieliczne meble. Wszystko zmieniło się w zmatowiały metal koloru wytartej jednocentówki.

– Co się dzieje? – pytam, głównie samego siebie, ale odpowiada mi nawigator z drugiego końca kajuty:

– Powiedziałeś, że nasz statek jest zbyt staroświecki do tej misji, a to, co mówisz, ma tutaj znaczenie. Znaczenie, zmaczenie, wtrącenie. Wtrąciłeś się w porządek rzeczy, tyle powiem. Trzeba było zostawić wszystko po staremu. Podobało mi się tu, kiedy statek był z drewna.

Przesuwam palcami po ścianie. Zamiast z gładkich płyt – których można by się spodziewać na metalowym statku – nadal jest zrobiona ze żłobionych desek, ale jakby uległy one zmianie na poziomie cząsteczkowym, jak drewno, które skamieniało i przekształciło się w miedź. Nie ma śrub ani nitów – metalowe deski wciąż spaja ciemna smoła, zdaje się wić w szczelinach.

Wychodzę z kajuty i idę na pokład, gdzie odkrywam, że cały statek jest teraz zrobiony z brązowego metalu, miejscami lśniącego, miejscami matowego, a w kącikach zaczynającego już zielenieć jak to miedź. To wciąż ten sam galeon, ale teraz miedziany. Bardzo to steampunkowe, tylko że bez pary, no i bez punka. Nie wiedziałem, że na świecie jest aż tyle miedzi.

Kapitan uśmiecha się szeroko na mój widok.

– Zobacz, co ci załatwiły twoje myśli – mówi głośno, ruchem ręki wskazując pokład dokoła.

Nie nosi już pirackiego kostiumu. Teraz jego strój to raczej imitacja munduru dziewiętnastowiecznej marynarki: granatowy wełniany płaszcz z wielkimi mosiężnymi guzikami i złożonymi frędzlami na ramionach plus równie idiotyczna czapka.

Zerkam w dół i widzę, że i moje ubranie wygląda po marynarsku, choć jest równie znoszone i wystrzępione jak dotychczas. Pantofle mam z wytartej lakierowanej skóry. Pasiasta koszula przypomina wyblakły słupek przed salonem fryzjerskim.

– Po długim namyśle przeprowadziliśmy unowocześnienie zgodnie z twoimi zaleceniami – mówi kapitan, chociaż nie ma w tym nic nowoczesnego. – Mamy nawet dzwon nurkowy!

Wskazuje idealną replikę filadelfijskiego Dzwonu Wolności, stojącą ciężko na pokładzie. Wycięto w niej bulaj, przez który widzę uwięzionego w środku samotnego marynarza. Słyszę jego tępe dudnienie o metal, gdy błaga, by go wypuścić.

– Widzisz, co zrobiłeś? – mówi papuga z ramienia kapitana. – Widzisz? Widzisz?

Spojrzenia innych marynarzy skierowane są na mnie i nie umiem powiedzieć, czy jest w nich aprobata, czy wzgarda.

Pierwszej nocy po naszej miedzianej transmutacji wyruszam sprawdzić, jak tę przemianę przetrwała Kaliope. Zsuwam się do niej, a jej ramiona obejmują mnie z inną stanowczością. Z surowszą siłą.

– Nie powinieneś był przekazywać kapitanowi tylu swoich myśli – mówi. – Teraz jest tak zimno. Mnie jest tak zimno.

To prawda. Jest teraz znacznie zimniejsza. Gładsza. Twardsza.

– Ogrzej mnie, Caden. A obiecuję, że nigdy nie pozwolę ci spaść.

Ponieważ Kaliope ochlapują słone fale, jej miedziana skóra już zdążyła się zrobić zielona, ale nosi ten kolor majestatycznie, szlachetnie.

– Jesteś teraz... jak Statua Wolności – mówię, ale to jej nie pociesza.

– Naprawdę jestem taka samotna? – pyta.

– Samotna?

– Ta biedna skorupa kobiety po wieczne czasy musi trzymać w górze pochodnię, a tymczasem cały świat robi wokół niej interesy – mówi smutno Kaliope. – Nie myślałeś nigdy o tym, jak samotna jest dziewczyna na piedestale?

Wypełniam puste ulice w sąsiedztwie swoją obecnością. Jest sobota podczas ferii wiosennych, więc mam tyle czasu, ile tylko chcę. Po południu pójde z kolegami do kina, ale rano mam na chodzenie.

Dziś zaczynam grę. Znaki powiedzą mi, co mam robić.

Nakaz skrętu w lewo!

Ostro skręcam w lewo i przechodzę przez jezdnię.

Stop!

Zatrzymuję się i liczę do dziesięciu, zanim znowu ruszę.

Strefa parkowania piętnastominutowego

Siedzę na krawężniku przez piętnaście minut – rzucam sobie wyzwanie, żeby nie drgnąć przez cały ten czas.

Znaki drogowe robią się zbyt monotonne, więc rozszerzam zakres na inne rzeczy. Reklama na przystanku autobusowym pyta: „Nie chcesz whoppera?”. Nie chcę, ale idę do najbliższego Burger Kinga i kupuję go tak czy inaczej. Nie pamiętam, czy go zjadam. Może po prostu zostawiam go gdzieś po drodze.

„Pora wymienić telefon? Już dziś odwiedź najbliższy salon T-Mobile!”.

Najbliższy salon jest dość daleko, ale idę tam, a potem pozwalam, żeby sprzedawca przez dwadzieścia minut próbował namówić mnie na telefon, którego nie zamierzam kupić.

Jest tyle różnych znaków! Chodzę po okolicy aż do zmierzchu. Do kina nie docieram. Nie pamiętam, kiedy to przestaje być grą.

Nie pamiętam, kiedy zaczynam wierzyć, że znaki wydają mi polecenia.



Nie wszystkie pająki tkają idealne sieci. Czarne wdowy – nie. W naszym garażu były czarne wdowy, w każdym razie przed dezynsekcją. Ale nawet jeśli już ich nie ma, wrócą szybciej niż termity. Czarne wdowy łatwo rozpoznać. Na brzuchu mają czerwoną klepsydrę. Są twarde i błyszczące – wyglądają prawie jak plastikowe pająki na Halloween. Wcale nie są tak zabójcze, jak się ludziom wydaje. Bez antytoksyny w najgorszym razie można stracić rękę albo nogę. Do zabicia dorosłego człowieka potrzebne są trzy czy cztery ugryzienia. Rzecz w tym, że te pająki są nieśmiałe. Nie gryzą łatwo; wolą, żeby zostawić je w spokoju. To samotnicy. Jak na ironię agresywny jest natomiast pustelnik brunatny, on rzuca się na człowieka. Jego jad jest zabójczy.

Zawsze wiem, kiedy w garażu zamieszka czarna wdowa – dzięki pajęczynie. Pajęczyny czarnych wdów są nieporządne. Pozbawione wzoru. Jakby odpowiedzialny za sieci mechanizm w ich małym mózgu był zepsuty. Brak im zdolności inżynierskich potrzebnych do stworzenia perfekcyjnych pajęczyn do łapania owadów. A może po prostu im się nie chce. Może lubią tę przypadkowość. Może linie, które rysują, mają dla nich sens, niezrozumiały dla reszty pajęczego świata.

Z tego powodu mam dla nich więcej współczucia niż zwykle, kiedy rozgniatam je butem.

– Nie mogę się opanować – mówię Maxowi, kiedy pracujemy u mnie w salonie nad referatem do szkoły.

– Co to ma znaczyć? Że jesteś szczęśliwy czy coś takiego? – Nawet nie chce mu się podnieść wzroku znad prezentacji w PowerPointcie, którą przygotowuję na moim komputerze.

Nie potrafię usiąść wygodnie na krześle. Zastanawiam się, czy naprawdę wyglądam na szczęśliwego, czy on po prostu jest tak beznadziejnie niespostrzegawczy.

– Miałeś kiedyś wrażenie, że opuściłeś własne ciało? – pytam.

– Co ty brałeś?

– Zadałem ci łatwe pytanie. Dlaczego tak trudno ci odpowiedzieć?

– Nie jest mi trudno, po prostu zachowujesz się jak dziwak.

– Może ze mną jest wszystko w porządku, a cała reszta ludzi to dziwacy. Pomyślałeś o tym?

– Nieważne. – Wreszcie na mnie patrzy. – Pomożesz mi czy mam wszystko robić sam? Ty tu jesteś artystą, to ty powinieneś robić prezentację.

– Medium cyfrowe to nie dla mnie – odpowiadam. Potem po raz pierwszy skupiam się na ekranie. – To o czym ten referat?

– Żartujesz, prawda?

– Jasne, że żartuję. – Ale nie żartuję i to mnie martwi.

Max rusza myszką, jakby była żywa. Może jest. Klika, przesuwa i upuszcza. Konstruuje fikcyjny scenariusz trzęsienia ziemi w Miami. To na lekcję przyrody. Wreszcie sobie przypomniałem. Wiem, że po ostatnim teście powinienem traktować to serio, ale moje myśli ciągle gdzieś odpływają. Wybraliśmy Miami, bo tamtejsze wieżowce zaprojektowano tak, żeby znosiły huragany, a nie trzęsienia ziemi. W naszej prezentacji szklane wieże padają jedna po drugiej. Megazniszczenie. Powinniśmy dostać szóstkę.

Ale to mi przypomina o trzęsieniu ziemi w Chinach, które boję się wywołać, jeśli będę o nim za dużo myślał.

– Czy siedem i pół wywołałoby tyle zniszczeń? – pyta.

Patrzę, jak jego ręka nadal przesuwa myszkę, ale chwilami mam wrażenie, że to moja ręka, a nie jego. Czuję, jak moje palce klikają przyciskiem. To wytrąca mnie z równowagi.

– Nie do końca jestem w sobie – mówię. Chciałem to tylko pomyśleć, ale wypowiedziałem na głos.

– Weź się zamknij z tymi dziwactwami, dobra?

Ale nie mogę przestać. Nie wiem, czy chcę.

– Jestem tak jakby... dokoła. Jestem w komputerze. Jestem w ścianach.

Patrzy na mnie i kręci głową.

– Jestem nawet w tobie – dodaję. – Wiem, co myślisz, bo nie jestem już do końca sobą. Jestem częściowo w twojej głowie.

– To o czym teraz myślę?

– O lodach – odpowiadam natychmiast. – Masz ochotę na lody. Konkretnie miętowe z czekoladą.

– Pudło. Myślałem o tym, jak fajnie bujałyby się cycki Kaitlin Hick podczas trzęsienia o sile siedmiu i pół stopnia.

– Nie, mylisz się – mówię. – To ja o tym myślałem. Zaszczepiłem tę myśl w twojej głowie.

Max wychodzi parę minut później, w zasadzie wycofuje się przez drzwi frontowe, jakby tu był pies, który ugryzie go w tyłek, jeśli się odwróci.

– Skończę referat sam – mówi. – Nie ma sprawy. Sam się tym zajmę.

Potem znika, zanim jeszcze zdążę się pożegnać.

Po kolacji, na którą nie miałem apetytu, tata woła mnie tym swoim tonem typu „musimy porozmawiać”. Mam ochotę zwiać, ale tego nie robię. Chcę chodzić po pokoju dziennym, jednak zmuszam się, żeby usiąść na kanapie. I tak podskakują mi kolana, jakbym trzymał stopy na miniaturowych trampolinach.

– Napisałem e-mail do trenera z prośbą o grafik zawodów – mówi ojciec. – Okazało się, że w drużynie nie ma żadnego Cadena Boscha.

Wiedziałem, że kiedyś do tego dojdzie.

– No i? – odpowiadam.

Mój ojciec z rozdrażnieniem wypuszcza powietrze, tak że mógłby w ten sposób zdmuchnąć świece na torcie.

– Jedna rzecz, że nas okłamałeś, ale to temat na osobną rozmowę.

– Dobrze, mogę iść?

– Nie. Moje pytanie brzmi: dlaczego? I dokąd chodzisz po szkole? Co robisz?

– To już trzy pytania.

– Nie pyskuj.

Wzruszam ramionami.

– Chodzę sobie – odpowiadam szczerze.

– Dokąd?

– Tak po okolicy.

– Codziennie? Godzinami?

– Tak. Godzinami. – Potwierdzają to poranione stopy, ale jemu nie o to chodzi.

Przeczesa palcami włosy, wyobrażając sobie, że stawiają jakikolwiek opór.

– To nie w twoim stylu, Caden.

Wstaję i zaczynam krzyczeć. Nawet nie miałem takiego zamiaru, ale tak wychodzi.

– Od kiedy chodzenie to przestępstwo?!

– Nie mówię tylko o chodzeniu. Ale o twoim zachowaniu. Twoim myśleniu.

– O co mnie oskarżasz?!

– O nic! To nie jest przesłuchanie!

– Nie załapałem się do drużyny, dobra?! Wykreślili mnie, ale nie chciałem was rozczarować, więc teraz spaceruję! Zadowolony?!

– Nie o to chodzi!

Ale niczego innego się nie doczeka. Ruszam do drzwi.

– Dokąd idziesz?

– Na spacer. Chyba że mam szlaban, bo nie dostałem się do drużyny. – Wychodzę, zanim zdąży powiedzieć coś jeszcze.

Parę lat temu w drodze do szkoły tata nietypowo ześwirował. Nietypowo, bo kiedy mój tata świruje, zawsze jest to równie przewidywalne jak tabela podatkowa, ale tym razem chodziło o coś nowego. Mackenzie siedziała z tyłu, a ja z przodu obok niego. Odkąd zjechał z podjazdu, był roztrzęsiony, jakby wypił za dużo kawy. Myślałem, że ma problem w pracy, dopóki nie westchnął nerwowo i powiedział:

– Coś jest nie tak.

Nie odezwałem się, po prostu czekałem, aż to wyjaśni, bo on zawsze wyjaśnia, kiedy powie coś prowokacyjnego. Ale Mackenzie nie ma tyle cierpliwości.

– Co jest nie tak i z czym? – zapytała.

– Nic – odparł tata. – Nie wiem. – Był taki rozkojarzony, że nie zauważył żółtego światła i musiał wdepnąć hamulec, żeby nie wpakować się na skrzyżowanie na czerwonym. Niespokojnie rozejrzał się po samochodach dokoła i powiedział: – Po prostu mam dziś kłopoty z jeżdżeniem.

Zacząłem się martwić, że może ma zawał, wylew albo coś takiego, ale zanim wyraziłem swój niepokój, zauważyłem jakiś przedmiot obok moich stóp, tuż przy plecaku. Metaliczny, o dziwnym kształcie, ale wydawał się niezwykle tylko ze względu na lokalizację. Była to normalna rzecz, ale zazwyczaj nie widuje się jej na podłodze. Dopiero gdy ją podniosłem, zrozumiałem, co to takiego.

– Tato?

Zerknął na mnie, zobaczył, co mam w ręku, i olśniony parsknął śmiechem, w którym roztopił się cały jego niepokój.

– No tak, to wszystko wyjaśnia, prawda?

Mackenzie nachyliła się z tylnego siedzenia.

– Co to?

Pokazałem jej przedmiot.

– Lusterko wsteczne – powiedziałem.

Tata zjechał na pobocze, żeby przyzwyczaić się do myśli, że musi jeździć bez możliwości natychmiastowego zobaczenia, co znajduje się za nim.

Pamiętam, że spojrzałem na kawałek materiału przylepnego na szybie, do którego powinno być przymocowane lusterko, i pokręciłem głową, jakby ojciec był zupełnie niekumaty.

– Jak mogłeś nie zauważyć, że go nie ma?

– Prowadzenie samochodu to coś automatycznego – odparł. – Nie myśli się o takich rzeczach. Wiedziałem tylko tyle, że czuję się... upośledzony.

Wtedy tego nie rozumiałem, ale to uczucie – świadomość, że coś jest nie tak, ale bez możliwości zidentyfikowania, o co chodzi – poznałem teraz doskonale. Różnica polega na tym, że mnie nie udało się znaleźć czegoś tak prostego i oczywistego jak lusterko leżące u moich stóp.

Wpatruję się w pracę domową i nie potrafię unieść palca, żeby ją zacząć. Zupełnie jakby długopis ważył tysiąc ton. Albo może był pod prądem. Właśnie – jest pod prądem – a jeśli go dotknę, zginę. Albo papier rozetnie mi tętnicę. Skaleczenia papierem są najgorsze. Mam uzasadniony powód, żeby nie odrobić pracy. Strach przed śmiercią. Ale najważniejsze jest to, że mój umysł nie chce się nią zająć. Jest gdzie indziej.

– Tato?

Zbliża się „ta pora roku”, więc mój ojciec siedzi z laptopem przy stole w kuchni, spięty i rozkojarzony nowym kodeksem podatkowym oraz chaotycznym zbiorem rachunków jakiegoś klienta.

– Tak, Caden?

– W szkole jest taki chłopak, który chce mnie zabić.

Patrzy na mnie, we mnie, przeze mnie. Nie cierpię, kiedy to robi. Zerka znowu na swojego laptopa, oddycha głęboko i zamyka go. Ciekawe, czy w ten sposób chce coś przede mną ukryć. Nie, niemożliwe. Co miałyby ukrywać? To wariactwo. A jednak...

– Czy to ten sam, co poprzednio?

– Nie – mówię. – Ktoś inny.

– Ktoś inny.

– Tak.

– Inny chłopak.

– Tak.

– I sądzisz, że chce cię zabić.

– Zabić mnie. Tak.

Tata zdejmuje okulary i ściska palcami nasadę nosa.

– Dobrze. Porozmawiajmy o tym. Porozmawiajmy o twoich odczuciach...

– Skąd wiesz, że to tylko odczucie? Skąd wiesz, że już czegoś nie zrobił? Czegoś niedobrego!

Znowu oddycha głęboko.

– Co on zrobił, Caden?

Zaczynam mówić głośniej. Nie mogę się powstrzymać.

– Nie chodzi o to, co zrobił, ale co dopiero zrobi! Umieję to w nim wyczytać! Ja wiem! Ja wiem!

– W porządku, uspokój się.

– Czy ty mnie słuchasz?

Tata wstaje. Może wreszcie potraktował sprawę odpowiednio poważnie.

– Caden, twoja matka i ja się martwimy.

– No i dobrze, no nie? Powinniście się martwić. On na was też może napaść.

– Nie o niego – mówi mój ojciec. – O ciebie. Rozumiesz?

Mama zachodzi mnie od tyłu, aż się wzdrygam. Jest z nią moja siostra.

Spojrzenia rodziców spotykają się i to jest jak telepatia. Czuję, że ich myśli przenikają przeze mnie: od taty do mamy i znowu do taty. Mentalny ping-pong przez

moją duszę.

Mama zwraca się do mojej siostry:

– Idź na górę.

– Nie, chcę zostać tutaj. – Do tej skargi siostra dodaje odpowiednią minę, ale mama nie chce o tym słyszeć.

– Nie dyskutuj ze mną. Idź!

Moja siostra garbi się i z tupotem wchodzi po schodach, wyolbrzymiając każdy krok.

Zostałem sam z rodzicami.

– Co się dzieje? – pyta mama.

– Pamiętasz, co ci powiedziałem? O chłopaku ze szkoły? – mówi tata, uświadamiając mi jasno i wyraźnie, że żadnemu z nich nie mogę nic powiedzieć w zaufaniu.

Podaję jej szczegóły, a ona waży je nieco inaczej niż tata.

– Może powinniśmy to sprawdzić. Sami dowiedzieć się czegoś o tym chłopcu.

– No i właśnie o tym mówię. Sprawdzić! – Czuję odrobinę ulgi.

Tata otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale znów je zamyka, zastanawiając się nad właściwą reakcją.

– Dobrze – mówi. – Popieram należyłą staranność, ale...

Nie kończy tego „ale”. Zamiast tego idzie do salonu i klęka przed regałem.

– Gdzie jest ostatni pamiątkowy album szkolny? – pyta. – Obejrzymy sobie tego chłopaka.

Teraz, kiedy mi wierzą, czuję ulgę. Tylko że właściwie nie. Bo wiem, że mi nie wierzą. Robią tylko dobrą minę, żeby mnie uspokoić. Żebym poczuł, że stoją po mojej stronie. Ale nie stoją. Są jak pani D. Uppington i nauczyciele, i inni uczniowie, którzy patrzą na mnie ze złymi zamiarami. Jakby to wcale nie byli moi rodzice, ale tylko ich maski, a ja nie wiem, co naprawdę jest pod spodem. Wiem, że już o niczym im nie mogę mówić.

To, co na statku wcześniej miałem za szczury, wcale nimi nie jest. Chociaż wolałbym, żeby było.

– Utrapienie z nimi – skarży się Carlyle, usiłując wygnać je z zakamarków i zmyć z pokładu. Uciekają przed mydlinami. Nie lubią być mokre, ani zresztą czyste. – Kiedy już myślisz, że sobie poradziłeś, pojawiają się nowe.

Na niektórych statkach jest plaga gryzoni. Na innych – karaluchów. Na naszym jest plaga mózgów z wolnego wybiegu. Najmniejsze mają wielkość orzecha włoskiego, a największe – pięści.

– Te diabelstwa uciekają z głów marynarzy, kiedy oni śpią albo nie uważają, a potem dostają wścieklizny. – Carlyle sięga mopem w kierunku skulonej gromadki. Mózgi rozbiegają się na fioletowych nóżkach dendrytów. – Kiedy przyjdzie pora zanurzenia – mówi do mnie – muszę się upewnić, że na pokładzie nie ma ani jednego mózgu, żeby pokrzyżować nam plany.

– Skoro to mózgi załogi, dlaczego są takie małe? – pytam.

Carlyle wzdycha ze smutkiem.

– Albo za mało ich używali i zaczęły zanikać, albo za dużo i się wypaliły. – Kręci głową. – Co za strata...

Zanurza mopa w wiadrze z mydlinami, a potem rozlewa je po ciemnych zakamarkach, wykurzając nieszczęsne mózgi z kryjówek i splukując je do otworów ściekowych, które prowadzą do morza.

Znajduje mały mózg, który przywarł do sznurków szczotki, i uderza nią o barierkę, żeby go wytrząsnąć.

– One się nigdy nie kończą. Ale moja robota polega na tym, żeby wywalić je ze statku, zanim się rozmnożą.

– No a... co się dzieje z bezmózgimi marynarzami? – pytam.

– O, kapitan znajduje coś, czym można wypełnić im głowy, a potem wesoło ich odsyła.

Ale mnie jakoś nie wydaje się to zbyt wesołe.

Jest środek nocy. Stoję nad Kaliope na czubku dzioba i wypełnia mnie paskudne uczucie wyczekiwania. Mniej więcej takie jak na pięć minut, zanim orientujesz się, że będziesz wymiotować.

Na horyzoncie widać burzę. Błyskawice rozświetlają odległe chmury nieregularnymi wybuchami, ale znajdujemy się jeszcze za daleko, żeby słyszeć grzmoty. Morze jest zbyt spienione, bym dzisiaj zsunął się w ramiona Kaliope. Żebym ją usłyszał, musi przekrzykiwać ryk fal.

– Kapitan nie całkiem się myli, myśląc, że jestem magiczna – wyznaje. – Widzę rzeczy, których nie widzi nikt inny.

– Rzeczy w morzu? – pytam. – Rzeczy pod falami?

– Nie. Wzrok kieruję ku horyzontowi. Widzę przyszłość w gwiazdach, które po nim suną. Nie jedną, lecz także wszystkie możliwe przyszłości naraz, i nie wiem, która jest prawdziwa. To przekleństwo: widzieć wszystko, co może być, ale nigdy nie wiedzieć, co będzie.

– Jak możesz cokolwiek widzieć w gwiazdach? – pytam. – Te gwiazdy są zupełnie nie w porządku.

– Nieprawda – odpowiada. – Gwiazdy są w porządku. To wszystko inne jest nie tak.

Max i Shelby nie przychodzą już na nasze sesje projektowania gry. Max w ogóle do mnie nie przychodzi, chociaż jeszcze niedawno był tu jego drugi dom. Unika mnie nawet w szkole.

Z kolei Shelby w szkole stara się nawiązywać rozmowę, ale mam wątpliwości co do jej intencji. Gdyby rzeczywiście chciała ze mną rozmawiać, nie byłoby to takie wymuszone. Co ona tak naprawdę knuje? Co mówi o mnie Maxowi pod moją nieobecność? Na pewno znaleźli sobie innego artystę do pracy nad grą. Zaskoczą mnie tym lada chwila. A może w ogóle mi nie powiedzą.

Shelby zachodzi mnie niespodziewanie i chce rozmawiać. Zaczyna od pogawędki. Shelby więcej mówi, niż słucha, co zwykle mi odpowiada, ale ostatnio słuchanie idzie mi słabo. Głównie staram się kiwać głową w odpowiednich momentach, a kiedy wymagana jest odpowiedź, zwykle mówię: „Przepraszam, możesz powtórzyć?”.

Ale tym razem Shelby tego nie kupuje. Sadza mnie w stołówce i zmusza, żebym patrzył jej w oczy.

– Caden, co się z tobą dzieje?

– Widzę, że to pytanie miesiąca. Może to z tobą coś się dzieje.

Nachyla się do mnie i milknie.

– Słuchaj, ja znam te sprawy. Mój brat zaczął pić w dziesiątej klasie i to praktycznie go zniszczyło. Może byłabym taka sama jak on, ale zobaczyłam, czym to się kończy.

Odsuwam się.

– Ja nie piję, dobra? Wiesz, może od czasu do czasu piwo na imprezie, ale to wszystko. Nie upijam się.

– Cokolwiek robisz, możesz mi o tym powiedzieć. Zrozumiem. Max też, on po prostu nie wie, jak ci to powiedzieć.

Nagle wszystkie moje słowa tną Shelby ostrymi spółgłoskami.

– Nic mi nie jest! Ja nic nie robię. Nie palę cracku, nie wciągam ritalinu, nie zasysam gazu z puszek po bitej śmietanie i nie daję sobie w żyłę płynu do rur.

– W porządku – odpowiada Shelby, która w ogóle mi nie wierzy. – Kiedy będziesz miał ochotę o tym pogadać, możesz na mnie liczyć.

W drugiej klasie znałem jednego takiego chłopaka. Kiedy się wkurzał, walił głową o ścianę albo stół – cokolwiek było blisko i nadawało się do walenia. Nam wydawało się to zabawne, więc staraliśmy się go wkurzać jak najczęściej, tylko po to, żeby patrzeć, jak tak robi. Ja też miałem to na sumieniu. Wiecie, nauczycielka przemieszczała go po klasie, z nadzieją że znajdzie miejsce, w którym będzie czuł się dobrze. W końcu wylądował obok mnie. Pamiętam, że raz, kiedy robił zadanie z matematyki, złapałem jego ołówek i nacisnąłem na tyle mocno, żeby złamać czubek. Wkurzył się, ale niewystarczająco. Wbił we mnie wzrok, a potem poszedł zatemperować ołówek. Kiedy wrócił, odczekałem minutę, a potem szarpnąłem jego kartkę, tak że ołówek zostawił na niej smugę. Wkurzył się, ale jeszcze za mało. Wobec tego odczekałem minutę, a potem kopnąłem w jego biurko na tyle mocno, żeby podręcznik zleciał na podłogę. Okazało się, że do trzech razy sztuka. Popatrzył na mnie szalonym wzrokiem i pamiętam, jak pomyślałem, że przesadziłem. Teraz się na mnie rzuci i to będzie moja wina. Ale on zaczął walić głową w biurko. Wszyscy się śmiali, a nauczycielka musiała się z nim siłować, żeby przestał.

Chodzi o to, że nigdy nie widzieliśmy w nim osoby, a tylko obiekt żartów. Potem zobaczyłem go na placu zabaw. Bawił się sam. Wydawał się dość zadowolony i przyszło mi do głowy, że dziwne zachowanie pozbawiło go kolegów. Do tego stopnia, że nie wiedział, że może być inaczej.

Chciałem podejść i pobawić się z nim, ale się bałem. Nie wiem czego. Może tego, że to walenie głową jest zaraźliwe. Albo ten brak kolegów. Szkoda, że nie wiem, gdzie teraz jest, bo powiedziałbym mu, że rozumiem, co wtedy czuł. I rozumiem, jak łatwo nagle zostać na placu zabaw samemu.

Nigdy nie zrywałem się ze szkoły. Za opuszczanie szkoły bez pozwolenia grozi zostanie po lekcjach albo coś jeszcze gorszego. Ja nie jestem z tych. Ale jaki teraz mam wybór? Tam są znaki. Wszędzie, wokół mnie. Wiem, że to się stanie. Wiem, że będzie źle. Nie wiem, co to będzie ani skąd przyjdzie, ale wiem, że przyniesie nieszczęście, ból i łyzy. Straszne. Straszne. Jest ich teraz wielu. Uczniów ze złymi zamiarami. Mijam ich na korytarzu. Zaczęło się od jednego, ale rozeszło się jak zaraza. Jak grzybica. Przechodząc z klasy do klasy, wysyłają sobie tajne sygnały. Knują – a ponieważ ja o tym wiem, jestem celem. Pierwszym z wielu. A może to nie uczniowie. Może nauczyciele. Pewności nie ma.

Ale wiem, że wszystko się uspokoi, jeśli nie będzie mnie w centrum wydarzeń. Cokolwiek planują, nie dojdzie do tego, jeśli sobie pójdę. Jeśli pójdę, mogę wszystkich uratować.

Dzwoni dzwonek. Spadam z klasy. Nawet nie wiem, jaka to była lekcja. Nauczyciel mówił dziś po cirquijsku. Dziś dźwięki i głosy tłumi płynny strach, tak wszechogarniający, że mógłbym zniknąć w jego wodach i nikt by się nie zorientował, mógłbym zatonać w głębiach jakiegoś bezdenne rowu.

Nogi siłą przyzwyczajenia chcą mnie zaprowadzić na następną lekcję, ale teraz potężniejsza moc zmusza je, żeby kierowały się do wyjścia ze szkoły, a moje myśli pędzą przede mną jak płonący człowiek.

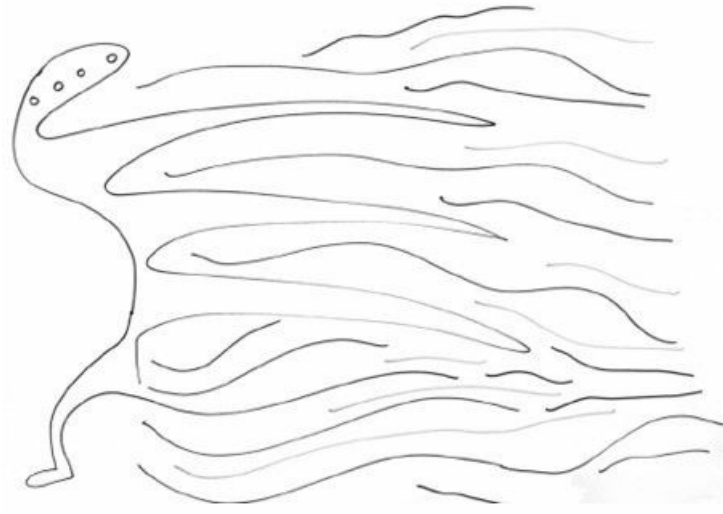
– Halo! – woła jakiś nauczyciel, ale to bezsilny, nieudolny protest. Wychodzę i nikt mnie nie zatrzyma.

Przebiegam przez jezdnię. Wyją klaksony. Nie przejadą mnie. Mocą umysłu owijam samochody wokół swojego ciała. Słyszycie, jak piszczą opony? To moja robota.

Po przeciwnej stronie ulicy znajduje się ciąg sklepów. Restauracje, sklep zoologiczny, cukiernia z pączkami. Jestem wolny, ale nie jestem. Bo czuję, że podąża za mną kwaśna chmura. Coś złego. Coś złego. Nie w szkole – nie, co ja sobie myślałem? W ogóle nie chodziło o szkołę. Chodziło o dom! To tam się to stanie! Mojej matce albo mojemu ojcu, albo mojej siostrze. Uwięzi ich pożar. Zastrzeli ich snajper. Ktoś straci kontrolę nad samochodem i wjedzie w nasz salon, tylko że to nie będzie wypadek. Albo będzie. Nie mam pewności, ale jestem pewien, że to się stanie.

Muszę ich ostrzec, zanim będzie za późno, ale kiedy wyjmuję komórkę, bateria jest rozładowana. Rozładowali mi baterię! Nie chcą, żebym ostrzegł rodzinę!

Biegnę w jedną stronę, potem w drugą, nie wiedząc, co robić, aż wreszcie jestem na rogu ulicy i błagam każdego przechodnia o pożyczenie komórki. Mrozi mnie ich wzrok – ich martwe spojrzenia. Ignorują mnie albo szybko mijają, bo może widzą stalowy kolec przerażenia, który przesywa moją czaszkę i wbija się aż do mojej duszy.



Moja panika ustała. Nieznośne uczucie, że stanie się coś strasznego, przygasło, choć nie do końca minęło. Rodzice nie wiedzą, że wyszedłem ze szkoły wcześniej. Szkoła wysłała elektroniczne nagranie informujące, że „Kaden Busz” opuścił co najmniej jedną lekcję, bo syntezytor mowy nie potrafi wymówić mojego nazwiska. Skasowałem to nagranie z poczty głosowej.

Leżę na łóżku, usiłując dostrzec jakiś sens w chaosie, przyglądając się tajemniczej popielniczce, w której mieszczą się resztki mojego życia.

To nie tak, że panuję nad tymi uczuciami. To nie tak, że chcę myśleć te myśli. One po prostu są, jak szpetne, niechciane prezenty urodzinowe, których nie można zwrócić.

W mojej głowie są myśli, ale właściwie nie mam wrażenia, że należą do mnie. Są prawie jak głosy. Mówią mi różne rzeczy. Dzisiaj, kiedy patrzę przez okno mojego pokoju, myślęgłosy mówią mi, że ludzie w przejeżdżającym samochodzie chcą mi zrobić krzywdę. Że sąsiad, który ogląda wąż od zraszacza, wcale nie szuka, skąd cieknie woda. Syczące zraszacze to tak naprawdę węże w przebraniu, a on je tresuje, żeby zjadły wszystkie zwierzęta w okolicy – co ma swój pokrętny sens, bo słyszałem, jak skarżył się na szczekanie psów. Myślęgłosy dostarczają mi też rozrywki, bo nigdy nie wiem, co powiedzą. Czasami mnie rozśmieszają, a ludzie zastanawiają się, z czego się śmieję, ale nie chcę im tego powiedzieć.

Myślęgłosy mówią mi, że powinienem zrobić różne rzeczy. „Idź wyrwać głowice zraszaczy sąsiada. Zabij węże”. Ale ja ich nie posłucham. Nie będę niszczył cudzej własności. Wiem, że naprawdę to nie są węże.

„Widzisz tego hydraulika, który mieszka przy twojej ulicy? – mówią myślęgłosy. – Tak naprawdę to terrorysta, robi bomby rurowe. Wsiądź do jego pikapa i nim odjedź. Zjedź nim w przepaść”. Ale tego też nie zrobię. Myślęgłosy mówią różne rzeczy, ale nie zmuszą mnie do niczego, czego sam nie chcę zrobić. Nie powstrzymuje ich to jednak przed dręczeniem mnie, bo każą mi myśleć o robieniu tych strasznych rzeczy.

– Caden, nie śpisz?

Podnoszę głowę i w drzwiach mojego pokoju widzę mamę. Na dworze jest ciemno. Kiedy to się stało?

– Która godzina?

– Prawie północ. Dlaczego jeszcze nie poszedłeś spać?

– Myślę sobie o różnych rzeczach.

– Ostatnio często to robisz.

Wzruszam ramionami.

– Mam o czym.

Gasi światło.

– Prześpij się. Cokolwiek chodzi ci po głowie, rano będzie wyglądać jaśniej.

– Tak. Rano jaśniej – powtarzam, chociaż wiem, że dalej będzie równie mętno.

Potem matka waha się na progu. Jestem ciekaw, czy sobie pójdzie, jeśli udam, że zasnąłem, ale zostaje.

- Twój ojciec i ja uważamy, że może byłoby dobrze, gdybyś z kimś porozmawiał.
 - Nie chcę z nikim rozmawiać.
 - Wiem. To też jest część problemu. Ale może łatwiej ci będzie porozmawiać z kimś innym. Nie ze mną ani z ojcem. Z kimś nowym.
 - Z psychiatrą?
 - Z terapeutą.
- Nie patrzę na nią. Nie chcę prowadzić tej rozmowy.
- Dobra, wszystko jedno.

Silniki samochodowe nie są wcale takie skomplikowane. Tak wyglądają, kiedy mało się o nich wie – te wszystkie rury, kable i zawory – ale od chwili wynalezienia silnik spalinowy w zasadzie niewiele się zmienił.

Kłopoty mojego ojca z samochodami nie kończą się na odpadających lusterkach. On nie wie o nich praktycznie nic. Jego świat to matematyka i liczby; auta nie są dla niego. Dajcie mu kalkulator, a potrafi zmienić świat, ale zawsze kiedy zepsuje się samochód i mechanik pyta, w czym problem, ojciec zwykle odpowiada: „Zepsuło się”.

Przemysł motoryzacyjny uwielbia ludzi takich jak mój ojciec, bo dzięki nim zarabia mnóstwo pieniędzy na naprawach, które być może są potrzebne, a być może nie. Ojca potwornie to denerwuje, ale usprawiedliwia sytuację, mówiąc: „Żyjemy w gospodarce usługowej. Wszyscy musimy jakoś ją napędzać”.

Nie żeby producenci samochodów byli szczególnie pomocni. Myślałby kto, że przy dzisiejszej technice samochody będą diagnozować się same, ale nie, na desce rozdzielczej jest tylko kretyńska lampka „sprawdź silnik”, która zapala się zawsze, kiedy coś jest nie tak – co dowodzi, że auta są bardziej organiczne, niż nam się wydaje. Widać, że wzorowano je na ludzkim mózgu.

Istnieje wiele sposobów na zapalenie lampki „sprawdź mózg”, ale wiecie, co jest porąbane?

Kierowca jej nie widzi. To tak, jakby lampka była umieszczona w uchwycie do napojów na tylnym siedzeniu, pod pustą puszką coli, która stoi tam od miesiąca. Nie widzi jej nikt oprócz pasażerów – i to też tylko pod warunkiem, że naprawdę jej szukają, albo dopiero wtedy, kiedy robi się tak jasna i tak gorąca, że stapia puszkę, a potem zapala się od niej cały samochód.

– Trzeba cię jeszcze wiele nauczyć – mówi kapitan, przechadzając się po przerobionym na miedź pokładzie z dłońmi złączonymi za plecami.

Porządny wełniany mundur, w którym teraz chodzi, zaczyna wyglądać na nim niemal tak naturalnie jak wcześniej strój pirata. Nawet nosi się teraz inaczej. Bardziej po królewsku. Szata czyni człowieka.

Krążąc po pokładzie, sprawdza, czy wszyscy są zajęci swoimi trywialnymi zadaniami. Dziś moim zadaniem jest być jego cieniem. Patrzyć i się uczyć.

– Podróże odkrywcze wymagają czegoś więcej niż tylko praktycznej znajomości zagadnień morskich – poucza. – Wymagają intuicji. Impulsywności. Równie często aktów szaleństwa co aktów wiary. Łapiesz?

– Tak, panie kapitanie – odpowiadam.

– Zła odpowiedź – burczy. – Łapanie jest niebezpieczne. Można złapać gripę. – Potem wskazuje na pajęczynową drabinkę sznurową na grotmaszcie. – Dołącz do mnie na drabince. – Pnie się w górę, a ja zaraz za nim.

– Czy idziemy na bocianie gniazdo? – pytam.

– W żadnym razie – odpowiada urażony tą sugestią. – Tylko na żagle. – Wspinamy się dostatecznie wysoko, żeby dotrzeć do grotu. – Pokażę ci pewien sekret – mówi.

Wyjmuje nóż z płaszcza i rozcina żagiel. Powstaje trzydziestocentymetrowa szpara. Przeciska się przez nią wiatr i dziura rozwiera się jak otwarte oko.

– Po co pan to zrobił? – pytam.

– Przyjrzyj się – mówi kapitan.

Patrząc na uszkodzony żagiel i... widzę, że powoli się naprawia. Goi się jak błona, aż w końcu w miejscu rozcięcia zostaje tylko blizna w odcieniu nieco ciemniejszego beżu niż reszta płótna.

– Statek jest bardziej żywy, niż myślisz, mały. Czuje ból. Cierpi, ale potrafi także leczyć swoje rany.

Trzymam się kurczowo sznurowej drabinki i przechodzi mnie dreszcz, który nie ma nic wspólnego z szalejącym wiatrem.

– Czy to ból Kaliope? – pytam.

Kapitan kieruje na mnie swoje oko.

– Nie wiem. Jakim cudem znasz jej imię?

Uświadamiam sobie mój błąd – ale może to ten rodzaj szaleństwa, który kapitan pochwała.

– Załoga gada – mówię. Co jest prawdą, więc nie można powiedzieć, że naprawdę kłamie. Mimo to kapitan jest podejrzliwy.

– To ważne, żeby wiedzieć, czy ona czuje ból statku. Na takie pytanie chciałbym poznać odpowiedź.

– Będę o tym pamiętał – mówię.

Zastanawiam się, czy właśnie udzielił mi zgody na rozmowę z Kaliope, czy próbuje złapać mnie w pułapkę za to, że już z nią rozmawiałem.

63 Ludzie, których nie znam, w miejscach, których nie widzę

– Czuję wszystko – mówi mi Kaliope, kiedy pewnej nocy spoczywam w jej metalicznych ramionach, zawieszony nad spokojnym morzem. – Czuję nie tylko żagle, ale też kadłub. Nie tylko statek, ale też morze. Nie tylko morze, ale też niebo. I nie tylko niebo, ale też gwiazdy. Czuję wszystko.

– Jak to możliwe?

– Nie oczekuję, że zrozumiesz.

A jednak rozumiem.

– Ja też mam połączenia – mówię jej. – Czasami czuję wnętrza ludzi wokół mnie. Wydaje mi się, że wiem, co myślą. A jeśli nie co, to przynajmniej jak. Są takie chwile, kiedy jestem pewien, że łączy mnie więź z ludźmi na drugim końcu świata. Z ludźmi, których nigdy nie poznałem. To, co robię, ma na nich wpływ. Ruszam się w lewo, a oni w prawo. Wspinam się, a oni spadają z budynku. Wiem, że to wszystko prawda, ale nigdy nie udowodnię, co się dzieje z ludźmi, których nie znam, w miejscach, których nie widzę.

– I jak się z tym czujesz?

– Jednocześnie cudownie i okropnie.

Przechyla głowę, żeby spojrzeć mi w oczy, zamiast patrzeć na wprost w morze. Ten ruch jest trudniejszy niż zgięcie ramion, żeby mnie objąć. Słyszę napięty jęk wyginanej miedzi.

– W takim razie wcale nie tak bardzo się różnimy – mówi.

I po raz pierwszy wiem, że naprawdę przebiłem się przez jej samotność. A ona przebiła się przez moją.

Doktor ma stopień z psychologii uzyskany na Uniwersytecie Amerykańskim, którego nazwa wydaje mi się trochę zbyt szablonowa, żeby to była prawda. Dyplom oprawiony w ramkę wisi dumnie w poczekalni nad doniczką z fikusem, którego liście są z kolei trochę zbyt zielone, żeby były prawdziwe.

– Chciałbym, żebyś miał poczucie, że możesz ze mną porozmawiać o wszystkim – mówi ze spokojem w głosie i umyślnie powolną intonacją doktor od gadania. Tak pewnie mówiłby ślimak, gdyby ślimaki umiały mówić. – Wszystko, co tu powiesz albo zrobisz, zachowam w absolutnej tajemnicy, chyba że będziesz chciał, żebym się tym podzielił.

Brzmi to tak, jakby odczytywał mi odwrotność praw zatrzymanego.

– Jasne. W tajemnicy. Rozumiem.

Rozumiem, ale w ogóle w to nie wierzę. Jak ufać terapeutce, kiedy nawet kwiatek w jego poczekalni jest kłamstwem?

To właśnie tam są teraz moi rodzice. Siedzą w poczekalni, kartkują numery „Psychology Today” i „FamilyFun” i rozmawiają o mnie. Przez pierwsze kilka minut byli tu w gabinecie z doktorem od gadania i ze mną. Myślałem, że obrzucą go całą litanią rzeczy, które się ostatnio działy, ale czuli się bardzo skrepowani, gdy próbowali rozmawiać o mnie z obcym człowiekiem.

– Zachowanie Cadena jest – mój ojciec z trudem dobierał słowa – nietypowe.

I on, i mama wyraźnie odetchnęli z ulgą, kiedy doktor poprosił ich, żeby wyszli.



– No dobrze – mówi teraz doktor od gadania, gdy zostaliśmy sami. – Nietypowe. Zaczniemy od tego.

Wiem, że muszę się trzymać. Mam wrażenie, że całe moje życie zależy od tego, czy

będę się trzymał. Ten człowiek mnie nie zna. Dowie się tylko tego, co ja mu powiem.

– Niech pan posłucha – mówię. – Moi rodzice chcą dobrze i wiem, że myślą, że mi pomagają, ale to jest ich problem, nie mój. Są totalnie zestresowani i nadopiekuńczy. Sam pan ich widział, no nie? Są tacy nerwowi, że sam się przy nich robię nerwowy.

– Tak, widzę, że jesteś zaniepokojony.

Usiłuję przestać mówić przy użyciu rąk i nie odrywać pięt od podłogi. Udaje mi się to tylko częściowo.

– Powiedz mi – mówi doktor – czy miewasz trudności z zasypianiem?

– Nie – odpowiadam. To prawda. Nie mam trudności z zasypianiem, po prostu nie chce mi się spać. W ogóle.

– A jak w szkole?

– Szkoła jak szkoła.

Boleśnie długo milczy. Nie mogę tego znieść. Zaczynam bawić się rzeczami w zasięgu zabawy. Wyciągam rękę w kierunku małego kaktusa, który stoi na stole obok mnie, żeby sprawdzić, czy on też jest sztuczny, ale jest prawdziwy, więc kłuję się w palec. Doktor od gadania podaje mi chusteczkę.

– Może zrobimy kilka ćwiczeń relaksacyjnych? – proponuje, ale wiem, że to tylko brzmi jak propozycja. – Odchyl głowę i zamknij oczy.

– Dlaczego?

– Poczekam, aż będziesz gotowy.

Niechętnie odchylam głowę i zmuszam się do opuszczenia powiek.

– Powiedz mi, Caden, co widzisz, kiedy zamykasz oczy?

Gwałtownie znowu je otwieram.

– Co to za kretyńskie pytanie?

– To tylko pytanie.

– A co mam widzieć?

– Nic konkretnego.

– No więc to właśnie widzę. Nic konkretnego. – Stoję. Nie pamiętam, żebym wstawał. Nie przypominam sobie, kiedy zacząłem chodzić po gabinecie.

Sesja ciągnie się całą wieczność jak tortura, ale naprawdę trwa jeszcze tylko dwadzieścia minut. Nie przeprowadzamy ćwiczeń relaksacyjnych. Nie odpowiadam na to jego pytanie. Nie zamykam oczu ze strachu, że będę musiał mu powiedzieć – powiedzieć sobie – co tam widzę. Zamiast tego gramy w szachy, tylko że nie mam cierpliwości, żeby myśleć nad ruchami, więc celowo wykonuję same złe, żeby szybko skończyć partię.

Gdy pora już iść, mówi moim rodzicom, że powinniśmy zaplanować sesje co tydzień i że być może – tylko być może – powinni rozważyć zapisanie mnie również do kogoś upoważnionego do wypisywania recept. Wiedziałem, że to oszust.

Co widzę, kiedy zamknę oczy? Czasem jest tam ciemność, która przekracza wszystko, co potrafię opisać. Czasem cudowna, a czasem przerażająca, i rzadko wiem z góry, jaka będzie. Gdy jest cudowna, chcę w niej mieszkać, w tym miejscu, gdzie gwiazdy tylko znaczą rozległą, nieosiągalną skorupę, tak jak wierzący w dawnych czasach. Powierzchnię wnętrza olbrzymiej powieki – a kiedy ją odchylam, jest tam ciemność, która naprawdę ciągnie się wiecznie – ale to wcale nie jest ciemność. Po prostu nasze oczy nie widzą tego typu światła. Gdybyśmy je zobaczyli, oślepiłoby nas, dlatego powieka nas chroni. Zamiast tego widzimy gwiazdy – jedyną oznakę światła, do którego nigdy nie dołączymy.

A jednak ja się tam udaję.

Przeciskam się poza gwiazdy w tamto ciemne światło i nie wyobrażacie sobie, jakie to uczucie. Aksamit i lukrecja pieszczą każdy zmysł; roztapiają się w płyn, w którym nurkujesz; a on odparowuje w powietrze, którym oddychasz. I szybujesz! Nie potrzebujesz skrzydeł, bo dobrowolnie cię podtrzymuje – z własnej woli, która rezonuje z twoją – i czujesz, że nie tylko możesz zrobić cokolwiek, ale też być czymkolwiek. Że jesteś wszystkim. Poruszasz się przez wszystko, a bicie twojego serca staje się pulsem wszystkiego, co żyje, wszystkiego naraz, a cisza między uderzeniami to bezruch rzeczy, które istnieją, ale nie żyją. Kamienia. Piasku. Deszczu. I uświadamiasz sobie, że to wszystko jest potrzebne. Musi istnieć cisza, żeby istniał puls. A ty jesteś i jednym, i drugim: obecnością i brakiem. I jest to wiedza tak wspaniała, że nie potrafisz zachować jej dla siebie, zmusza cię, żeby się nią dzielić – ale nie masz słów, żeby ją opisać, a bez słów, bez sposobu podzielenia się tym uczuciem, ono cię niszczy, bo twój umysł nie jest dostatecznie duży, żeby pomieścić to, co próbujesz do niego wcisnąć...

...ale nie zawsze jest tak.

Czasami ciemność po drugiej stronie wcale nie jest cudowna, czasami to rzeczywiście absolutny brak światła. Szarpiąca, chciwa smoła, która ciągnie cię w dół. Toniesz, ale nie toniesz. Zmienia cię w ołów, żebyś szybciej zatapiał się w jej lepkich objęciach. Ograbia cię z nadziei, a nawet ze wspomnienia o nadziei. Sprawia, że wydaje ci się, że zawsze tak się czułeś, że nie ma innej drogi niż tylko w dół, a tam powoli, chciwie trawi twoją wolę, destyluje z niej hebanowe paliwo koszmarów.

I znasz tę ciemność czarniejszą niż rozpacz, znasz równie dobrze jak szybowanie w przestworzach. Bo w tym i każdym wszechświecie jest równowaga. Nie można mieć jednego, nie mierząc się z drugim. I czasem wydaje ci się, że to zniesiesz, bo radość jest warta rozpacz, a czasem wiesz, że nie dasz rady, i jak ty w ogóle mogłeś sobie wyobrazić, że dasz? I oto ten taniec: siła i słabość, pewność i żal.

Co widzę, kiedy zamknę oczy? Widzę dalej niż ciemność, i jest to coś nieopisanie wielkiego zarówno nade mną, jak i w dole.

Ale teraz mam oczy otwarte.

I stoję w drzwiach frontowych, ani w domu, ani poza nim, w połowie drogi między dwoma miejscami. Przypominam sobie, jak powiedziałem Maxowi, że nie jestem w sobie. Teraz to coś więcej. Nie widzę różnicy między tym, co jest mną, a tym, co nie jest. Nie wiem, jak wytłumaczyć to uczucie. Jestem jak elektryczność w ścianach. Nie – więcej! Jestem w liniach wysokiego napięcia przechodzących przez okolicę. Przemierzam się przez wszystko dokoła z szybkością pioruna. Dociera do mnie, że nie istnieje już „ja”. Tylko zbiorowe „my”, i to mi zapiera dech w piersiach.

Czy wiecie, co to za uczucie: być wolnym od siebie i tym przerażonym? Czujesz się jednocześnie niepokonany, ale i wzięty na cel, jakby świat – jakby cały wszechświat – nie chciał, abyś doznawał tego oszałamiającego oświecenia. I wiesz, że istnieją siły, które pragną stłamsić twojego ducha, gdy ten pęcznieje jak gaz wypełniający każdą dostępną przestrzeń. Teraz głosy są donośne i dudnią ci w głowie – niemal tak donośne, jak głos twojej matki, kiedy po raz trzeci woła cię na dół na kolację. Wiesz, że to po raz trzeci, chociaż nie pamiętasz dwóch poprzednich. Chociaż nie pamiętasz nawet, kiedy poszedłeś na górę do swojego pokoju.

Więc siadasz przy stole w kuchni, grzebiesz w jedzeniu na talerzu i nakładasz je do ust tylko wtedy, gdy ktoś przypomni ci, że nic nie jesz. Ale to nie jedzenia jesteś głodny. Może dlatego, że ty to już nie ty. Jesteś wszystkim dokoła. Twoje ciało wydaje się teraz pustą skorupą, więc jaki sens je karmić? Masz ważniejsze rzeczy do zrobienia. I mówisz sobie, że twoi koledzy przestali cię rozumieć, bo boją się twojej wspaniałości. Boją się prawie tak bardzo jak ty.

Kapitan zbiera nas o świcie wokół stołu w sali map. Burza wciąż majaczy w oddali, ani trochę bliżej niż zeszłej nocy albo tej przedostatniej. Cofa się, kiedy się zbliżamy.

Na spotkaniach w sprawie misji zawsze obecni są ci sami członkowie załogi: ja, nawigator, chłopak od kości, dziewczyna z perłową obróżką, niebieskowłosa oraz pyzaty znawca legend. Każde z nas usiłuje błyszczyć w powierzonym zadaniu. Ja i nawigator mamy łatwo – moich rysunków i jego map nikt nie kwestionuje. Pozostali, cóż, ściemniają i jakoś im idzie. Dziewczyna z obróżką, nasza mroczna i nieszczęśliwa oficerka do spraw morale, nauczyła się symulować pozytywne komentarze, kiedy kapitan ma na nią oko. Chłopak od kości wyczytuje z nich, cokolwiek jego zdaniem kapitan chciałby usłyszeć, a niebieskowłosa twierdzi, że na poszatkowanych listach przewozowych zatopionych statków znalazła wszystko, od złotych dublonów po skrzynie z diamentami.

Za to znawca legend wykazuje niebezpieczną tendencję do szczerości.

– Nie dam rady – mówi kapitanowi podczas spotkania. – Nic nie rozumiem z runów w tej książce. To nie ma rąk i nóg.

Kapitan puchnie niczym gąbka w wodzie.

– Nie obchodzą nas ręce i nogi, ale ciało pomiędzy! – Potem woła Carlyle’a, który czaił się w kącie, jak zawsze podczas tych spotkań. – Przeciągnąć go pod kilem.

Znawca legend protestuje, na sam dźwięk polecenia zaczyna hiperwentylować, a wtedy nie wiadomo skąd na ramię kapitana sfruwa papuga.

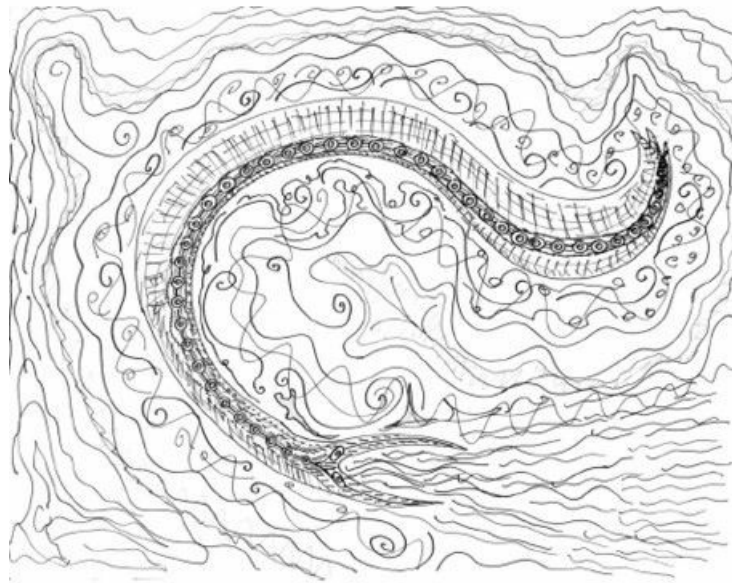
– Armatę! – mówi. – Niech przeczyści armatę!

Kapitan strąca papugę, której wypada przy tym kilka jaskrawych piór, ale ona nie daje za wygraną.

– Armatę! Armatę!

– Przepraszam, panie kapitanie – odzywa się Carlyle – ale może ptak ma rację. Po przeciągnięciu pod kilem chłopak do niczego nie będzie się nadawał albo i nie przeżyje. Za to armatę trzeba przeczyścić, skoro mamy walczyć z czekającymi nas potworami.

Kapitan kieruje oko na Carlyle’a, jego wzrok płonie z oburzenia taką niesubordynacją – marny majtek śmiał skrytykować jego rozkaz. Ale powstrzymuje gniew i macha ręką.



– Zrób, jak chcesz – mówi. – Byleby odcierpiał za swoją niezaradność.

Papuga, która przycupnęła teraz na wiszącej lampie, patrzy na mnie i w reakcji na uwagę kapitana smutno kręci głową. Odwracam wzrok, nie wiedząc, co to znaczy być w centrum uwagi papugi i jak zareaguje na to kapitan.

Żeby wyciągnąć krzyczącego i wierzgającego znawcę legend, potrzeba Carlyle'a i dwóch innych krzepkich członków załogi, a ja zastanawiam się, dlaczego perspektywa armaty przeraża go tak samo jak przeciągnięcie pod kilem. Kiedy znawca legend znika, kapitan wraca do porządku spotkania.

– Dziś jest doprawdy doniosły dzień – mówi – ponieważ przetestujemy dzwon nurkowy i przekonamy się, czy wiedza Cadena o eksploracji głębin jest prawdziwa.

Mam mdłości i nie wiążą się one z kołysaniem statku.

– Ale... to niewłaściwy dzwon – mówię, czując się mały i bezsilny.

– Trzeba było o tym myśleć, zanim go zaproponowałeś – warczy niebieskowłosa dziewczyna.

– Wszyscy mamy przerąbane – stwierdza nasza oficerka do spraw morale.

Jest tak: znasz odpowiedź na każde pytanie. Twoja głowa jest tak wypełniona odpowiedziami, że aż pęka. Zaraz eksploduje i zaleje wszystkich zabójczym promieniowaniem. Twoje życie na setki lat zostanie ogłoszone strefą radioaktywną, jeżeli nie uda ci się spuścić trochę ciśnienia, pokazując prawdę o tym, co wiesz, komukolwiek, kto zgodzi się posłuchać. Widzisz linie, połączenia między wszystkimi rzeczami.

I musisz się tym podzielić.

Więc chodzisz po ulicach, obrzucasz ludzi potokiem przypadkowych słów, wiedząc, że nie ma w nich nic przypadkowego. Patrzą na ciebie dziwnie i nawet w ich spojrzaniach widzisz połączenia między tobą, nimi i resztą świata.

– Widzę twoje wnętrze – mówisz kobiecie z siatką z supermarketu. – Masz robaka w sercu, ale możesz go wyrzucić.

Patrzy na ciebie, a potem się odwraca, śpieszy się do samochodu, przestraszona tym, co od ciebie usłyszała. A ty czujesz się dobrze. I nie.

Czujesz ból w dole, więc patrzysz na swoje stopy. Jesteś boso. Cały czas tak chodziłeś, dlatego teraz są pełne pęcherzy, podrapane i zakrwawione. Nie pamiętasz, żebyś zdejmował buty, ale musiałeś to zrobić. W tym również jest znaczenie. Ma znaczenie to, jak twoje ciało styka się z ziemią, każe grawitacji przytrzymać cię i wszystkich innych. I nagle wiesz, że jeśli włożysz buty, świat puści i wszyscy odlecą w kosmos, a to wszystko z powodu cienkiej warstwy gumy, która przerwie twoją więź z podłożem. Właśnie ty jesteś dźwignią antygrawitacyjną świata. Chociaż to cudowna świadomość, rozmach tej prawdy cię przeraża, bo to znaczy, że masz wielką władzę. A robak, którego widziałeś w sercu tamtej kobiety, jakimś cudem przeniósł się w ciebie. To, co czujesz, to nie bicie serca, ale robak, który przeżera się przez ciebie, a ty nie możesz się go pozbyć.

Obok supermarketu jest biuro podróży, walczące o życie w epoce, kiedy wszystkie podróże rezerwuje się w internecie. Przeciskasz się przez drzwi.

– Niech mi pani pomoże – mówisz. – Ten robak. Ten robak. On wie, co ja wiem, i chce mnie zabić.

Ale kobieta w spodniemie bezpardonowo wypycha cię za drzwi, krzycząc:

– Wynoś się albo wezwę policję!

Z jakiegoś powodu to cię rozśmiesza, a twoje stopy krwawią i z tego też się śmiejesz. Na parkingu stoi bmw z rozbitym reflektorem i to z kolei doprowadza cię do płaczu. Opierasz się o ścianę, osuwasz na ziemię, a twoja dusza wypełnia się łzami. Myślisz o Jonaszu, który po przeżyciu częściowego strawienia przez wieloryba zalał się łzami na szczycie góry, kiedy chroniący go przed słońcem krzew rycynusowy został pożarty przez robaka i usechł. Przez tego samego robaka. Rozumiesz łzy Jonasza. Rozumiesz to, że gdy słońce paliło go w głowę, był tak zrozpaczony, że chciał umrzeć.

– Błagam – mówisz do byle kogo wokół siebie. – Błagam, sprawcie, żeby to się skończyło. Niech to się już skończy. – Aż wreszcie klęka przy tobie ktoś ze sklepu

z kartkami okolicznościowymi, kobieta dużo miłsza niż wiedźma z biura podróży.

– Czy jest ktoś, do kogo mogę zadzwonić? – pyta życzliwie. Ale myśl, że zadzwoniłaby do twoich rodziców, by po ciebie przyjechali, wystarczy, żebyś podniósł się na nogi.

– Nie, wszystko w porządku – odpowiadasz i odchodzisz. Mówisz sobie, że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko znajdziesz drogę do domu. Tutaj nie strawi cię żaden wieloryb. To, co cię zżera, pracuje od środka.

Apel. Niebo jest białe, odległy horyzont – szary i migocze bladymi błyskawicami, nie tylko na wprost, ale też we wszystkich kierunkach. Kapitan chodzi tam i z powrotem po górnym pokładzie, patrzy w dół na załogę, nawija o znaczeniu misji i o znaczeniu właśnie tego dnia.

– Dziś dzwon nurkowy marynarza Cadena zostanie poddany próbie i raz na zawsze ustalimy sposób naszego zanurzenia. – Wygląda bardzo autorytatywnie, zwłaszcza teraz, w mundurze z granatowej wełny z mosiężnymi guzikami, ale autorytet i rozsądek to dwie różne rzeczy.

– To nie jest batyskaf! – wołam. – Nie zadziała! Nie to miałem na myśli, kiedy mówiłem o dzwonie nurkowym!

– Twoje myśli są bez znaczenia.

Żeby unieść do barierki załóżnie niedobraną do roli Dzwon Wolności, potrzeba kilkunastu członków załogi. Potem na komendę kapitana zostaje wyrzucony za burłę. Tonie jak kamień, a sznur – nadgryziony przez wściekłe mózgi – pęka, więc dzwon bezpowrotnie zapada się w głębiny. Pojedyncza bańka powietrza wypływa na powierzchnię jak beknięcie.

Kapitan oznajmia:

– Test się powiódł!

– Co? Niby jak się powiódł?! – krzyczę.

Kapitan rusza do mnie powoli, z rozwagą, jego obcasy stukają na pokrytym miedzią pokładzie.

– Ten test – mówi – miał obalić twoją teorię dotyczącą sposobu dotarcia na dno rowu. – Następnie krzyczy: – myliłeś się, mały! A im prędzej zaakceptujesz, jak kompletna i przytłaczająca była to pomyłka, tym prędzej będziesz przydatny dla mnie i dla tej misji. – Potem odchodzi szybkim krokiem, bardzo zadowolony z siebie.

Dopiero gdy już go nie ma, papuga ląduje na moim ramieniu – co robi rzadko – i mówi:

– Musimy porozmawiać.

Twój ojciec stoi ci na drodze do drzwi domu.

– Dokąd idziesz?

– Wychodzę.

– Znowu? – Jest dużo bardziej stanowczy, niż kiedy pytał cię ostatnio, i nie schodzi ci z drogi. – Caden, od tego chodzenia masz stopy całe w bąblach.

– To kupię sobie lepsze buty.

Wiesz, że nie zrozumie, dlaczego musisz chodzić. To dzięki temu ruchowi przez świat nie eksplodujesz. To dzięki niemu świat jest bezpieczny. Dzięki niemu robak jest spokojny.

Tylko że teraz to nie robak. Dziś to ośmiornica, która na mackach zamiast ssawek ma oczy. Porusza się w tobie, w twoim brzuchu. Przesuwa się w twoich narządach, rozpaczliwie chce się usadzić wygodnie. Ale nie powiesz o tym rodzicom. Stwierdziliby, że to tylko gazy.

– Pójdę z tobą – mówi ojciec.

– Nie! Nie rób tego. Nie możesz! – Przepychasz się obok niego i wychodzisz. Jesteś na ulicy. Dzisiaj masz buty i uświadamiasz sobie, że noszenie butów wcale nie powstrzymuje grawitacji przed dociskaniem przedmiotów do ziemi. To było głupie. Skąd ci w ogóle przyszło do głowy? Ale wiesz, że jeśli nie będziesz chodzić, gdzieś stanie się coś strasznego, a ty jutro obejrzyysz to w wiadomościach. Wiesz to z całą pewnością.

Trzy przecznice od domu oglądasz się przez ramię i widzisz samochód ojca, który śledzi cię powoli jak srebrny rekin. Ha! I oni myślą, że to ty masz paranoję. Z twoimi rodzicami jest coś bardzo nie w porządku, skoro muszą cię śledzić, kiedy chodzisz.

Udajesz, że nie widzisz samochodu. Po prostu idziesz dalej przed siebie długo po zmroku. Nie zatrzymujesz się, nie rozmawiasz z ludźmi. Pozwalasz ojcu śledzić się po całej okolicy, a potem z powrotem do domu.

Budzę się i widzę, że papuga obserwuje mnie z nóg łóżka. Aż się krztuszę. Papuga doskakuje bliżej. Czuję jej ostre pazury na piersi. Nie wbija ich jednak. Stąpa ostrożnie po moim porwanym prześcieradle, a wreszcie staje i zdrowym okiem patrzy w moje oczy – raz w jedno, raz w drugie.

– Martwię się o kapitana – mówi. – Martwię, martwię.

– Dlaczego to mój problem?

Nawigator porusza się przez sen. Papuga czeka, aż się uspokoi, a potem nachyla się do mnie. Czuję zapach pestek słonecznika w jej oddechu.

– Martwię się, że twoje dobro nie leży kapitanowi na sercu – szepce.

– Od kiedy ty się przejmujesz moim dobrem?

– Za kulisami, za kulisami, jestem twoim największym orędownikiem za kulisami. Jak myślisz, dlaczego trafiłeś do wewnętrznego kręgu kapitana? Dlaczego nie zostałeś przykuty łańcuchem do dzwonu nurkowego, kiedy poszedł na dno?

– Dzięki tobie?

– Powiedzmy, że mam wpływy.

Nie wiem, czy jej wierzyć, ale jestem skłonny dopuścić do siebie myśl, że nie jest moim wrogiem. A przynajmniej nie największym wrogiem.

– Dlaczego mi to mówisz? – pytam.

– Może zajść potrzeba... – Zaczyna nerwowo kołysać głową, tak że jej dziób zakreśla ósemki przed moją twarzą.

– Jaka potrzeba?

Zaczyna chodzić po moim torsie. Łaskocze.

– Paskudna sprawa, paskudna sprawa. – Uspokaja się, chwilę milczy, a potem patrzy swoim okiem w moje lewe oko. – Jeśli kapitan okaże się niegodny zaufania załogi, muszę wiedzieć, że mogę na ciebie liczyć.

– Liczyć na co?

Wtedy przysuwa dziób do mojego ucha.

– Że go zabijesz, oczywiście.

Leżysz na swoim łóżku. Nie masz koszuli. Gorączka bez gorączki rozpala twój mózg. Na dworze pada deszcz, jakby był koniec świata.

– Zło – mamroczesz. – Coś złego. W szkole stanie się coś złego, bo mnie tam nie ma.

Twoja mama masuje ci plecy, jak wtedy, gdy byłeś mały.

– A kiedy tam byłeś, coś złego działo się w domu.

Nie rozumie.

– Nie miałem racji, że coś stanie się w domu – mówisz jej. – Ale teraz mam. Wiem to. Po prostu to wiem.

Obracasz głowę, żeby na nią popatrzeć. Ma czerwone oczy. Chcesz sobie wmówić, że to nie od płaczu. To z niewyspania. Nie spała. Twój tata też nie. Ty też nie. Nie spaliście od dwóch dni. Może od trzech. Oboje nie chodzą do pracy. Opiekują się tobą na zmianę. Chcesz być sam, ale boisz się być sam, ale boisz się nie być sam. Słuchają cię, lecz cię nie słyszą, a głosy mówią ci, że twoi rodzice są częścią problemu. „To nie są twoi prawdziwi rodzice, prawda? – mówią głosy. – To oszuści. Twoich prawdziwych rodziców zjadł nosorożec”. Wiesz, że to z *Jakubka i brzoskwini olbrzymki* – twojej ulubionej książki z dzieciństwa – ale to wszystko takie pogmatwane, a głosy przekonujące, więc nie wiesz, co jest prawdziwe, a co nie. Wiesz, że głosy nie szepczą ci do uszu, ale też nie do końca znajdują się w twojej głowie. Zdają się wołać z innego miejsca, pod które przypadkowo się podłączyłeś, jak telefon komórkowy, który wychwycił rozmowę w innym języku – ale jakimś cudem je rozumiesz. Majaczą na granicy twojej świadomości, jak coś, co słyszy się tuż przed przebudzeniem, zanim sen zapadnie się pod miazdzącym ciężarem świata rzeczywistego. A co by było, gdyby po przebudzeniu ten sen nie zniknął? Gdybyś stracił zdolność odróżniania jednego od drugiego?

Głosy nie są prawdziwe, ale bardzo dobrze idzie im sprawianie, że o tym zapominasz.

– Mówią mi, że jeśli nie powstrzymam tego, co ma się stać, będzie koniec świata.

– Kto ci mówi? – pyta twoja matka.

Ale ty nie odpowiadasz. Nie chcesz, żeby twoi rodzice wiedzieli o głosach, więc tylko jęczysz i myślisz o tych wszystkich filmach, w których jedna osoba zostaje wybrana do uratowania świata. W takich filmach zawsze mówią: „Jesteś naszą jedyną nadzieją”. A co by było, gdyby ci bohaterowie nigdy nie zmierzyli się ze swoim przeznaczeniem? Gdyby tylko leżeli w łóżku, a matki masowały im plecy? Gdyby nie zrobili nic? Co to byłoby za film?

Kapitan wzywa mnie do swojego gabinetu. Jesteśmy tylko my dwaj. Papugi nigdzie nie widać. Ostatnio widziałem ją na dole w kambuzie, skakała z ramienia na ramię i zaglądała marynarzom w uszy, żeby upewnić się, że wciąż mają mózgi. Teraz puszcza do mnie oko, gdy tylko mnie zauważy, w ten sposób przypominając o naszej tajnej rozmowie.

– Czy ty mi ufasz, Cadenie? – pyta kapitan.

Jeśli skłamię, zorientuje się, dlatego mówię prawdę.

– Nie – mówię.

Moja odpowiedź wywołuje jego uśmiech.

– Dobry chłopiec. To znaczy, że się uczysz. Jestem z ciebie dumny. Bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

Tym zbija mnie z tropu.

– Myślałem, że pan mnie nienawidzi.

– Skądże znowu! – odpowiada. – Próby, którym cię poddaję, są po to, żeby odsiać plewy. Żeby cię oczyścić. Zapamiętaj to sobie, mały, w tobie nasza największa nadzieja na tę misję. Liczę tylko na ciebie.

Nie wiem, jak na to zareagować. Zastanawiam się, czy sprzedaje to wszystkim członkom załogi, ale z jakiegoś powodu czuję, że ze mną jest szczerzy.

– Mówiąc poważnie, bardzo się martwię sprawami na moim statku, mały. Nie oceanem za burta, ale falami na pokładzie. – Nachyla się do mnie. – Wiem, że mówi do ciebie. Kaliope. Mówi ci rzeczy, jakich nie mówi nikomu innemu. To dowód, że jesteś wyjątkowy. Że jesteś wybrańcem.

Nie odzywam się. Przynajmniej dopóki nie dowiem się, dokąd to zmierza.

– Jeśli ona coś wie, powie właśnie tobie.

Wtedy uświadamiam sobie, że może nareszcie mam nieco władzy.

– Jeśli coś mi mówi, to w zaufaniu. Dlaczego miałbym je zawieść i powtórzyć to panu?

– Jestem twoim kapitanem! – Gdy nie odpowiadam, warczy i zaczyna chodzić za biurkiem tam i z powrotem. – Albo może słuchasz się papugi. – Wali pięścią w gródź. – Tego buntowniczego ptaszyska! Sieje bunt wśród załogi, nawet kiedy siedzi mi na ramieniu.

Potem chwytą mnie i przygląda mi się uważnie zdrowym okiem, tak samo jak wcześniej papuga.

– Czy Kaliope mówi, że będzie bunt? Czy mówi, że ptak wygra?

Zachowuję spokój.

– Zapytam ją – odpowiadam.

Oddycha z ulgą.

– Dobry chłopak. Wiedziałem, że jesteś lojalny. – Potem szepce: – Kiedy przyjdzie pora, pozwolę ci czynić honory.

– Jakie honory?

Uśmiecha się.
– Honory zabicia papugi.

Kiedy byłem młodszy, patrząc na banknoty jednodolarowe, zawsze miałem dziwne wrażenie, że Waszyngton się we mnie wpatruje. To było zabawne i trochę upiorne. Zresztą nie tylko Waszyngton. Hamilton oceniał mnie w myślach z tym swoim wiecznym uśmieszkiem. Najgorszy był Jackson. To jego niepokojąco wysokie czoło, to wyniosłe spojrzenie oskarżające mnie, że niemądrze wydaję pieniądze. Tylko Franklin był przyjazny, ale jego widywałem rzadko.

Może to powinien być znak, że coś jest ze mną poważnie nie w porządku. A może każdemu przychodzą do głowy takie dziwne, zwariowane rzeczy. To znaczy ja wcale nie wierzyłem, że oni naprawdę na mnie patrzą – to po prostu śmieszna myśl, którą bawiłem się bez szczególnego powodu. Nie powstrzymywała mnie od posługiwania się pieniędzmi. Przynajmniej jeszcze do niedawna.

Kiedy coś idzie źle, zawsze szukamy oznak, które przegapiliśmy. Zachowujemy się jak detektywi usiłujący wyjaśnić morderstwo, bo może, jeśli odkryjemy poszlaki, odzyskamy nieco kontroli nad sytuacją. Jasne, nie cofniemy tego, co się stało, ale jeśli uda nam się połączyć ze sobą dość wskazówek, udowodnimy, że koszmar, który nas spotkał, dałoby się powstrzymać, gdybyśmy tylko byli wystarczająco mądrzy. Chyba lepiej wierzyć we własną głupotę niż w to, że nawet wszystkie poszlaki świata nic by nie zmieniły.

– Jedziemy na wycieczkę – mówi ci ojciec. Wiesz, że płakał.

– Jaką wycieczkę? Rejs?

– Jeśli chcesz – odpowiada. – Ale musimy już jechać. Statek odpływa niedługo.

Nie pamiętasz, kiedy ostatnio spałeś. Bezsensowność to jeszcze za mało. To jest antysensowność. Wirusowy brak snu tak bardzo zaraźliwy, że zbudziłby nawet zmarłego, gdybyś podszedł dostatecznie blisko. Naprawdę w to wierzysz. Boisz się tego. Każda myśl pojawiająca się w twojej głowie staje się prawdą, której trzeba się bać.

Głosy wciąż mówią, ale one też nie spały, więc teraz mamrocą bez sensu. Wychwytyjesz za to uczucia kryjące się za ich bełkotem. To nie są dobre uczucia. Pełne złych wróżb, gorzkich przestróg oraz sugestii twojego znaczenia dla wszechświata.

Nie chcesz jechać na tę wycieczkę. Chcesz zostać tutaj i chronić siostrę. Wysłała z koleżankami. Jest poza domem. Ale musisz tu być, kiedy wróci. A potem patrzysz w przekrwione oczy rodziców i widzisz, że oni też chcą ją chronić. I że to przed tobą potrzebuje ochrony.

Siedzisz teraz w samochodzie. Twoi rodzice rozmawiają, ale ich słowa są równie pogmatwane co głosy w środku, a choć wiesz, że samochód to tylko stara dobra rodzinna honda, rodzice na przednich fotelach wydają się coraz odleglejsi. Nagle znajdujesz się na tylnym siedzeniu limuzyny i ktoś wysysa z niej tlen. Nie możesz oddychać. Próbujesz otworzyć drzwi i wyskoczyć na autostradę, ale ani drgną. Ktoś włączył w drzwiach rodzicielską blokadę bezpieczeństwa. Przeklinasz i wrzeszczysz, mówisz najgorsze rzeczy. Wszystko, byle tylko stanęli i cię wypuścili, ale oni nie chcą. Próbują cię uspokoić. Wywołujesz taki kocioł, że twój ojciec ledwo może prowadzić, i zastanawiasz się, czy tą straszną rzeczą, której się boisz, jest wypadek samochodowy, w którym wszyscy zginiecie, i może właśnie ty go spowodujesz, więc zamiast próbować uciec, łapiasz się za głowę.

Zjeżdżacie ze stromego wzniesienia. Nagle samochód nie jest już limuzyną, ale windą obitą miękkim materiałem, a ty jedziesz w dół po zboczu czarnej piramidy, do jej ukrytych czeluści – głęboko, głęboko pod ziemię.

Pojazd zatrzymuje się na parkingu u stóp wzgórza. Napis przed wejściem brzmi szpital seaview, ale to kłamstwo. Wszystko jest kłamstwem.

Pięć minut później twoi rodzice siedzą naprzeciwko kobiety o policzkach wiewiórki, noszącej okulary zbyt małe w stosunku do jej twarzy. Wypełniają papiery, ale ty się tym nie przejmujesz, bo tak naprawdę cię tam nie ma. Patrzysz z odległości, z której nikt cię nie dotknie.

Żeby nie chodzić tam i z powrotem, skupiasz się na akwarium. Płynnej oazie pośród pustyni niewygodnych biurowych krzesel. Skrzydlica, błazenek, anemon. Ocean, skondensowany i uwięziony.

Jakieś małe dziecko bębni dłonią w szkło. Ryby uciekają, uderzają nosami w niewidzialną barierę, w której zamyka się ich świat. Znasz to uczucie. Bycie dręczonym przez coś niezrozumiałego i nieporównywalnie większego niż ty. Znasz to

uczucie, że chcesz uciec, ale ograniczają cię wymiary twojego osobistego wszechświata.

Matka woła chłopca po hiszpańsku. Kiedy ten nie przychodzi, sama go odciąga, a ty zaczynasz się zastanawiać: „Czy jestem na zewnątrz, czy wewnątrz tego akwarium?”. Bo reguły dotyczące „tutaj” i „tam” nie mają już w twojej głowie wyraźnego miejsca. W równym stopniu jesteś otaczającymi cię przedmiotami co samym sobą. Może znajdujesz się z nimi w akwarium. Ryby mogą być potworami, a ty płyniesz łodzią skazaną na zgubę – na przykład pirackim statkiem – nieświadom skali i głębi niebezpieczeństw, ku którym sunie. Trzymasz się tego, bo choćby było przerażające, jest lepsze niż alternatywa. Wiesz, że możesz uczynić ten statek równie prawdziwym jak wszystko inne, bo nie ma już różnicy między myślą a rzeczywistością.

Jestem w pułapce spisku spisków. Z jednej strony papuga i ja planujemy bunt. Nie tyle słowami, ile spojrzeniami. Skinieniami głów. Ukradkowymi mrugnięciami jednym zdrowym okiem. Moje rysunki kipią od tajnych komunikatów dla papugi. A przynajmniej jej się tak wydaje.

Z drugiej strony kapitan i ja planujemy koniec papugi. On też mruga do mnie zdrowym okiem i przyozdabia ściany swej kajuty – jak to nazywa – „znamiennymi wizjami kapitańskiego triumfu”.

– Nie mów nikomu o tajnym znaczeniu swoich dzieł – szepce do mnie. – Nakarmimy papugą bestie w głębinach, tak jak pokazują twoje rysunki, i nikt się nie zorientuje.

Wiem, że te dwa plany spotkają się jak materia i antymateria, unicestwiając mnie wskutek wybuchu, ale nie widzę wyjścia. Nie da się tego zatrzymać. Zbliża się tak samo jak bestie strzegące tajemnic Głębi Challengeera.

Szpitalne papiery podpisane. Pakt z diabłem zawarty. Ta pani z tymi policzkami, w małych okularach, patrzy na ciebie z fałszywą, ale wyćwiczoną życzliwością.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – mówi, a ty oglądasz się za siebie, sądząc, że może zwraca się do kogoś innego. Ty i rodzice zostajecie zaprowadzeni do innego skrzydła szpitala. Wspecjalizowanego skrzydła. Twoi rodzice obejmują się nawzajem. Są jednym stworzeniem o czterech płaczących oczach.

Uważasz, że ci to nie przeszkadza, bo nadal obserwujesz wszystko z dystansu, aż wreszcie nadchodzi chwila, kiedy rodzice ruszają do drzwi, i wtedy uświadamiasz sobie, że żaden dystans nie istnieje. Jesteś tutaj i zaraz zostaniesz przeraźliwie sam. Za moment przeciągną cię pod kilem, wszystkie przecucia zlewają się w jedno i wiesz z całą pewnością, bez cienia wątpliwości, że jeśli cię tu zostawią, coś strasznego spotka ciebie, twoich rodziców, twoją siostrę, twoich kolegów, ale przede wszystkim ciebie.

Więc wpadasz w panikę. Nigdy nie miałeś skłonności do przemocy, ale teraz twoje życie zależy od tego, czy się stąd uwolnisz. Los całego świata zależy od tego, żebyś był gdziekolwiek, byle nie tu.

Ale oni są sprytni. Przebiegli. Znikąd rzucają się na ciebie krzepy mężczyźni w pastelowych szpitalnych uniformach. Łapią cię i trzymają.

– Nie! – krzyczysz. – Będę grzeczny! Przeszanę to robić! – Nie wiesz nawet, co „to” jest, ale czymkolwiek jest, przestaniesz, jeżeli dzięki temu cię tu nie zostawią.

Słyszając twoje błagania, rodzice przystają przy drzwiach, jakby wahali się i mogli zmienić zdanie – ale między tobą a nimi staje pielęgniarka w pasteloworóżowym uniformie.

– Im dłużej państwo zostaną – mówi twoim rodzicom – tym będzie mu trudniej, a nam ciężiej będzie wykonywać naszą pracę.

– Zabijają mnie! – krzyczysz. – Zabijają mnie! – I wystarczy, że słyszysz te słowa, żeby stały się prawdą, ale twoi rodzice odwracają się i uciekają przez serię drzwi, które otwierają się i zamykają jak śluzy wodne, wychodzą w noc, która jakby nastąpiła po dniu zaledwie kilka sekund temu. Teraz myślisz sobie, że może miałeś rację. Może to wcale nie twoi rodzice, tylko oszuści.

Adrenalina sprawia, że jesteś silniejszy od trzymających cię trzech pastelowych mężczyzn. Prawie. Ostatecznie wciągają cię do jakiegoś pokoju, rzucają na łóżko i czujesz ostre ukłucie w tyłek. Obracasz się w samą porę, żeby zobaczyć, że pielęgniarka wyciąga igłę, już po wstrzyknięciu zabójczej dawki. Po kilku sekundach ręce i nogi masz przypięte miękkimi pasami, a zastrzyk zaczyna działać.

– Odpocznij, skarbie, wszystko będzie dobrze – mówi pielęgniarka. – To ci dobrze zrobi.

Potem trucizna, którą wstrzyknęli ci w tyłek, dociera do mózgu i twój mózg rozciąga się jak plama ropy na powierzchni oceanu.

I po raz pierwszy odkrywasz Plastikową Białą Kuchnię. Miejsce, do którego będziesz wracał wielokrotnie. Bramę do wszystkich miejsc, w których nie chcesz być.

Mam taki sen. Leżę na plaży gdzieś, gdzie nie mówią po angielsku – albo jeśli mówią, to tylko dlatego, że przyjeżdża tam wielu amerykańskich turystów, żeby wydawać pieniądze, których nie mają, na rzeczy, których nie potrzebują, i spiec się na raka pod bezlitosnym słońcem.

Dla mnie słońce jest jednak litościwe. Jest litościwe dla nas wszystkich – dla mojej mamy, mojego taty i mojej siostry. Daje nam ciepło i światło, nie grożąc konsekwencjami. Krem z filtrem nie jest konieczny.

Tutaj wszystkie odgłosy to odgłosy radości. Śmiech. Zabawy dzieci. Głosy targujących się plażowych handlarzy, którzy sprzedają swoje lśniące artykuły z taką charyzmą, że ludzie nie mogą im się oprzeć. Szczęśliwi turyści odchodzą udekorowani srebrem i złotem, ich nowa biżuteria brzęczy przy każdym kroku jak dzwonki na Boże Narodzenie.

Moja siostra bawi się w łagodnych turkusowych falach, szukając muszelek. Syk piany rozbijającej się o jej kostki przypomina ciche westchnienie, jak gdyby samo morze znalazło trwałe ukojenie.

Moi rodzice idą plażą, trzymając się za ręce. Ojciec ma na głowie ulubioną słomkową białą fedorę, zarezerwowaną wyłącznie na wakacje w tropikach, bo gdzie indziej wygląda idiotycznie. Nie ma rozmów o rachunkach i podatkach, liczb do ogarnięcia. Mama szczęśliwie stąpa boso, bo bez względu na to, jak mocno grzeje słońce, piasek pozostaje chłodny. Dziś nie musi nikomu czyścić zębów. Oboje spacerują powolnym krokiem, który pokazuje, że idą bez celu.

Jeśli o mnie chodzi, siedzę w piasku, kiwając palcami stóp, i cieszę się jego ziarnistością, kiedy przesypuje się między nimi. W rękę trzymam wysoką zroszoną szklankę chłodnego napoju. Promienie słoneczne padają na kropelki wody na ściance, odbijając się od nich jak w kalejdoskopie. Siedzę tak na plaży i nie robię absolutnie nic. Nie myślę absolutnie o niczym. Wystarczy mi życie tą chwilą.

W tym miejscu nie ma żadnej kuchni, z wyjątkiem grilla na otwartym powietrzu nieco dalej na plaży, gdzie przyrządzają krewetki. Zapach jest przyjemny; to jak zmysłowe kadzidło palone w ofierze Bogu Wiecznych Wakacji.

W tym miejscu nie ma żadnego statku oprócz smukłego jachtu wyścigowego, który żegluje po zatoce gnany zefirem na zamówienie, pchającym tę łódź w kierunku jeszcze bardziej egzotycznym niż ten.

Wydaje się, że na całym świecie wszystko jest w porządku...

...i smutne jest to, że wiem, że to sen. Wiem, że wkrótce musi się skończyć, a kiedy to się stanie, zostanę rzucony na jawę, w miejsce, w którym albo ja będę pęknięty, albo pęknięty będzie świat. Dlatego przeklinam tę idealną plażę i ten chłodny napój gaszący pragnienie, który czuję w dłoni, ale nigdy, przenigdy nie mogę unieść go do ust.

Świadomość staje się pojęciem względnym, kiedy nafaszerują cię lekami psychoaktywnymi. To nie kwestia albo-albo. To coś takiego, jakby wybuchła supernowa interfejsu między snem a jawą, a kosmiczne odłamki pochłonęły wszystko dokoła. Nie zachowało się nic oprócz trwałego poczucia bycia *gdzie indziej*. Bycia w miejscu, gdzie czas nie jest prostą, przewidywalną linią, ale raczej zasupłaną sznurówką małego dziecka, w miejscu, gdzie przestrzeń wybrzusza się i wykręca jak czterowymiarowe zwierciadło w gabinecie luster, a każdy jest przerażającym klaunem. Jesteś pozbawioną twarzy figurką, która spada przez świat cienia i materii w czołówce *Strefy zmroku*, a z twojej podłużnej głowy sypią się watowate myśli.

Rod Serling musiał mieć poważną psychozę, kiedy wymyślił ten serial.

Czasami uświadamiasz sobie, że leżysz na łóżku w szpitalu. Czasami jesteś przekonany, że to Plastikowa Biała Kuchnia. A kiedy indziej masz pewność, że zostałeś przyszyty do wydętych żagli statku. Zawroty głowy są prawdziwe, niektóre twarze też, ale spróbuj tylko wykombinować które i jak wyglądają naprawdę. Mówią ci, że „skrępowano cię” tylko tamtej pierwszej nocy, kiedy wykazywałeś agresję, ale wydaje ci się, że wciąż jesteś przywiązany do wydętego łóżka.

Ludzie przychodzą i odchodzą, mówią do ciebie i słyszysz, że odpowiadasz, ale nie czujesz, żeby twoje usta układały słowa. Nie czujesz też palców u stóp czy rąk.

– Jak się czujesz?

Często cię o to pytają. Albo może tylko raz, a reszta to po prostu echo.

– Jak posolony ślimak – słyszysz własny spowolniony lekarstwami bełkot. – Chyba się zsikałem.

– Nie przejmuj się. My się tym zajmiemy.

Myślisz, że może włożą ci taką pieluchę dla dorosłych, a potem przychodzi ci do głowy, że może już to zrobili, ale nie umiesz tego stwierdzić i nie chcesz się dowiadywać. Chcesz się wycofać do swojej skorupy, zwinąć się, zwinąć, zwinąć, ale uświadamiasz sobie, że jej nie masz. Jeśli jesteś ślimakiem, to takim nagim. Nie masz absolutnie żadnej ochrony.

Przez cały ten czas głosy w twojej głowie wciąż do ciebie mówią, ale są zbyt narąbane, żeby miały na ciebie wpływ, i stwierdzasz, że to w sumie niewiele się różni od chemioterapii na raka. Bombardują całe ciało świństwami, licząc na to, że załatwią tym chorobę, pozostawiając resztę przy życiu. Pytanie brzmi: czy zatrucie głosów je zabije czy tylko bardzo, bardzo wkurzy?

– Dziś – mówi kapitan swoim najbardziej władczym tonem – podzielę się z wami opowieścią na temat tych wód, której nie musi potwierdzać znawca legend, bo znam ją na pamięć.

Papuga, już znużona, robi spory krok w bok, być może nie chcąc utożsamiać się z niczym, co on powie.

– Historia zaczyna się od wielkiego kapitana imieniem Ahab – ogłasza kapitan – a kończy się na innym kapitanie, imieniem Nemo.

I chociaż wiem, że ryzykuję odcisnięcie kolejnego piętna na czole, albo i coś gorszego, mówię:

– Przepraszam, ale nie wydaje mi się, żeby te dwie fikcyjne postacie kiedyś się spotkały.

– Spotkały się, chłopcze! – odpowiada kapitan z większą cierpliwością, niż się spodziewałem. – Ci mężczyźni byli wręcz serdecznymi przyjaciółmi, i między innymi w tym cały szkopuł. Ale to historia mniej o nich, a bardziej o ich wielkich Nemezjach.

Myślę, czy nie zwrócić uwagi, że liczba mnoga od „nemezis” chyba jednak nie brzmi „nemezje”, ale uznaję, że lepiej sobie odpuścić, dopóki los mi sprzyja.

– „Nautilus”, ów tajemniczy okręt podwodny, który niósł kapitana Nemo przez dwadzieścia tysięcy mil, albo i więcej, bez przerwy atakowała gigantyczna kałamarnica, grożąc pociągnięciem go na dno. Kiedy „Nautilus” przed nią uciekał, napotkał „Pequoda” i jego kapitana Ahaba, który ścigał białego wieloryba. Doszło do zderzenia i „Pequod” zatonął. – Potem patrzy na mnie i mówi drwiąco: – Ty mi zaraz powiesz, że to wieloryb przypieczętował los statku i jego kapitana, ale Melville był w błędzie. Jego wersja to wymysł Izmaela, który przysiągł dochować tajemnicy kapitana.

Papuga gwizdże albo z obrzydzeniem, albo z uznaniem dla godnej lycry elastyczności tej opowiastki.

– Tak czy owak – ciągnie kapitan – Nemo uratował Ahaba z morza i wystarczyło jedno spojrzenie, by obaj kapitanowie zrozumieli, że są podobnie myślącymi ludźmi, więc odpłynęli łodzią podwodną, znaleźli Morze Zieleni i żyli długo i szczęśliwie. – Zawiesza głos, być może oczekując oklasków, ale nie dostaje ich, więc mówi dalej: – Ich bestie nie przypadły sobie jednak do gustu w podobny sposób. – Kapitan rozchyła ramiona i wybałusza oczy. – Wielkie były, ten biały wieloryb i ta gigantyczna kałamarnica. Groteskowe wybryki natury, ale przeciwnego sortu. Kałamarnica czująca i dziwna, atramentową ciemnością siejąca zamęt w morzu dokoła. Ośmioramienne monstrum, bestia zrodzona z chaosu, przecząca wszelkiej logice. Z kolei wieloryb to sam rozum i ład. Jego wspaniały mózg, zdolny do echolokacji, potrafił obliczać przestrzeń i odległość. Wiedział wszystko, co warto wiedzieć, o świecie, który zamieszkiwał, podczas gdy kałamarnica nie widziała nic poza swoją chmurą atramentu. Naturalnie nienawidziły się nawzajem.

Następnie uderza pięścią w stół tak mocno, że wszyscy się wzdrygamy, a papuga

macha skrzydłami i aż gubi parę piór.

– Wielkim ludziom morza nie wolno porzucać swoich bestii – oznajmia kapitan. – Teraz, za sprawą tych dwóch mężczyzn, którzy zaniedbali swoją powinność, ich Nemezje są skazane na to, by toczyć wojnę przeciwko sobie aż do końca świata, a z każdym mijającym rokiem robią się coraz bardziej zagniewane! – Przez chwilę mierzy nas wszystkich wzrokiem, po czym dodaje: – Jakież pytania?

Patrzemy po sobie nawzajem. Wiadomo, że pytań jest wiele, ale nikt z nas nie chce ich zadać. W końcu chłopiec od kości nieśmiało unosi dłoń, a kiedy zostaje wywołany, mówi:

– He?

Kapitan bierze głęboki wdech, a potem opróżnia płuca pełnym irytacji westchnieniem, które jest jak wichura.

– Morał tej historii jest taki, że nie wolno nam uwolnić się od naszych bestii. O nie, musimy porzucić na tym świecie wszystko inne, ale nie nasze bestie. Tak jak z nimi walczyliśmy, tak też musimy je żywić, oddać się samotności i nieszczęściu bez nadziei na ucieczkę.

Dziewczyna z perłową obrózką kiwa głową z aprobatą.

– Rozumiem to.

Ale mnie to tak bardzo uwiera, że nie mogę się powstrzymać przed wyrażeniem sprzeciwu.

– To nie w porządku!

Wszystkie oczy kierują się na mnie. Już widzę minusa wypalanego obok mojej jedyńki.

– Rozwiń – warczy kapitan.

Wiem, że to ostrzeżenie, ale nie zamierzam go słuchać.

– Skoro ci kapitanowie znaleźli sposób, żeby pozbyć się swoich potworów, zasługują na spokój, który znaleźli. Zasługują na rozwiązanie. A bestie... cóż, zasługują na siebie nawzajem.

Nikt się nie porusza. Nikt oprócz papugi, która się iska. Mam nieodparte wrażenie, że jest ze mnie dumna po tym, co powiedziałem. To irytujące, że mi na tym zależy.

Jeśli do tej pory kapitan miał cierpliwość, teraz mu się skończyła. Wygląda jak wulkan, który zaraz wybuchnie.

– Jak zwykle, marynarzu Bosch, twoja zuchwałość ustępuje tylko twojej ignorancji.

I wtedy z pomocą przychodzi mi nawigator.

– Ignorancja, dekadencja, demobil, Czarnobyl. Niech pan nie wybucha, panie kapitanie, załoga nie zniesie promieniowania.

Kapitan rozważa jego słowa, po czym postanawia spuścić ciśnienie swojego gniewu, uwalniając je bezpiecznie w postaci kolejnego westchnienia niczym wichura.

– Opinie są jak burze piaskowe, marynarzu Bosch – mówi. – Na morzu nie ma dla nich miejsca. – Potem wykręca mi nos jak niegrzecznemu dziecku i nas wypuszcza.

Gdy tylko wychodzimy z sali map i wracamy na pokład, nawigator zaczyna mnie besztać.

– Kiedy ty się nauczysz? Albo idziesz krok w krok za kapitanem, albo idziesz na spacer po desce. Z której, jako że jest miedziana, nie da się dobrze odbić, żeby ładnie

zanurkować.



Uświadamiam sobie, że choć widziałem ludzi skaczących z bocianiego gniazda, deski na tym statku nie dostrzegłem. Ale teraz, kiedy patrzę przez otwarty pokład, oto jest, sterczy bezczelnie nad burtą niczym wyciągnięty środkowy palec. Nie dziwi mnie, że się pojawiła, gdy o niej wspomniano. Nauczyłem się, że nic nie powinno mnie tu dziwić.

Przed zejściem pod pokład zwraca się do mnie niebieskowłosa dziewczyna. Mam wrażenie, że ilekroć stawiam się kapitanowi, zyskuję z jej strony większy szacunek.

– Założę się, że nasz kapitan też ma okropną bestię – mówi. – Myślisz, że kiedyś się na nią natkniemy?

Podnoszę wzrok i widzę, jak papuga frunie z sali map i przysiada wysoko na fokmaszcie.

– Myślę, że już się natknęliśmy – odpowiadam.

W środku nocy porywają mnie członkowie załogi, których nie znam, i każą mi czyścić armatę. To z pewnością kara za odpyskiwanie kapitanowi. Usiłuję się opierać, ale moje kończyny zrobiły się gumowe dokładnie tak samo, jak statek zrobił się miedziany. Ręce i nogi wyginają mi się w dziwnych kierunkach, nie wspierają mnie, gdy próbuję stanąć, i nie pomagają, gdy próbuję walczyć. Macham ramionami na moich prześladowców jak makaronem.

Schodzimy do ciemnego włazu, gdzie czeka potężna armata.

– Każdy musi wyczyścić armatę przynajmniej raz podczas rejsu – słyszę. – Zrobisz to, czy ci się podoba, czy nie.

Jest ciemno, ponuro, cuchnie smarem i prochem. Kule armatnie usypano w piramidki, a pośrodku stoi armata, niemożliwie ciężka – miedziane deski uginają się pod jej ciężarem. Czarny wlot lufy wygląda jeszcze groźniej niż oko kapitana.

– Czyż nie piękna? – odzywa się podoficer, ten siwy muskularny zawodowy marynarz pokryty tatuażami łypiących szkieletów.

Obok armaty stoją wiadro z pastą i szmata. Zanurzam szmatę w paście i zaczynam szorować lufę, ale podoficer się śmieje.

– Nie tak, głupcze. – Potem chwytą mnie silnymi rękoma i podnosi. – To nie z zewnątrz trzeba ją wyczyścić.

Znowu słyszę śmiech i przez moment wydaje mi się, że w pomieszczeniu kryją się inni ludzie – ale to śmiech czaszek na jego tatuażach.

– Wepchnij go! – krzyczą. – Wsadzaj go! Ładuj go!

– Nie! Przestań! – wołam, ale mój protest jest na nic. Zostaję wepchnięty głową naprzód do lufy armaty, zsuwam się w dół jej zimnego, szorstkiego gardła. Ciasno. Klaustrofobicznie. Ledwie oddycham. Próbuję się wiercić, ale podoficer krzyczy na mnie:

– Nie ruszaj się! Przy najmniejszym ruchu może wypalić!

– Jak mam czyścić, skoro nie mogę się ruszać?

– To już twój problem.

On i jego tatuaże śmieją się długo i donośnie – potem zapada cisza... Nagle podoficer zaczyna walić w lufę armaty żelaznym prętem. W równym rytmie tak głośnym, że rezonuje mi w czaszce.

Brzdęk! Brzdęk! Brzdęk! Brzdęk!

– Nie ruszaj się, proszę! – krzyczą wytatuowane czaszki. – Albo będziesz to musiał powtarzać.

Wydaje się, że mija wieczność, a potem rytm uderzania się zmienia.

B-b-b-bum! B-b-b-bum! B-b-b-bum!

Nieprzerwana perkusyjna symfonia sprawia, że mój mózg ma ochotę wylać się uszami i uciec – i uświadamiam sobie, że na pewno właśnie tak się to dzieje! To w ten sposób mózgi wygania się z głów marynarzy! Ale ja nie chcę być kolejnym bezrozumnym marynarzem. Nie chcę, żeby Carlyle zmył mój zbuntowany mózg mopem

do morza.

Szczęk-szczęk brzdęk! Szczęk-szczęk brzdęk! Szczęk-szczęk brzdęk!

Rytm uderzeń przechodzi cały cykl zmian jeszcze dwukrotnie, za każdym razem coraz głośniej, aż wreszcie cały świat jest hałasem, zęby dzwonią mi w czaszce i wiem, że nikt tego nie zatrzyma. Jestem sam w lufie armaty i nikt mnie nie uratuje.

Twoi rodzice przychodzą raz dziennie w godzinach odwiedzin jak dwa roboty na trybiki. Spotykacie się w świetlicy i każdego dnia targujesz się i błagasz, żeby cię stąd zabrali.

– Tu są wariaci! – mówisz ściszym głosem, żeby ci, których masz na myśli, cię nie usłyszeli. – Nie jestem jednym z ich! To nie jest miejsce dla mnie!

I choć rodzice nie mówią tego na głos, odpowiedź widzisz w ich oczach. „Owszem, jesteś, i owszem, jest”. Nienawidzisz ich za to.

– Gdybyś tutaj nie trafił – upiera się ojciec – tylko by ci się pogorszyło. Wiemy, że to trudne, ale wiemy, że jesteś dzielny.

Wcale nie czujesz się dzielny i nie ufasz rodzicom na tyle, żeby wierzyć im na słowo.

– Są dobre wiadomości – mówią ci. – Twój rezonans magnetyczny jest czysty. To znaczy, że nie masz guza mózgu ani nic podobnego.

Dopóki o tym nie wspomnieli, nie przyszło ci do głowy, że mógłbyś go mieć. A teraz, gdy już to zostało powiedziane, nie wierzysz wynikom.

– Nie było tak źle, prawda? Na rezonansie?

– Było głośno – odpowiadasz. Na samą myśl znowu zaczynają dzwonić ci zęby.

Twoi rodzice przychodzą i odchodzą, przychodzą i odchodzą. Tylko dzięki temu jesteś w stanie śledzić upływ dni. I rozmawiają o tobie, kiedy myślą, że nie słuchasz – jakby to twój słuch ucierpiał, a nie umysł. Ale i tak słyszysz ich z drugiej strony sali.

– On ma teraz coś takiego w oczach – mówią. – Nie umiem tego opisać. Nie mogę w nie patrzeć.

I prawie chce ci się śmiać, bo oni nie widzą tego, co ty widzisz, kiedy patrzysz w *ich* oczy. W oczy wszystkich ludzi. Widzisz prawdy, których nikt inny nie dostrzega. Spiski i powiązania tak poskręcane i lepkie jak sieć czarnej wdowy. Widzisz demony w oczach świata, a świat w twoich widzi dół bez dna.

Czasami nie możesz się dostać do swojej głowy. Możesz chodzić dokoła, możesz walić nią w ściany, ale nie możesz dostać się do środka.

– To nic złego – mówi ci doktor Poirot. – Bo w tej chwili rzeczy, które są w środku, niezbyt ci służą, prawda?

– Niezbyt mi służą – powtarzasz. A może to on powtarza po tobie? Nigdy nie jesteś tego pewien, bo związki przyczynowo-skutkowe stały się równie chwiejne jak sam czas.

Doktor Poirot ma szklane oko. Wiesz o tym tylko dlatego, że powiedział ci współlokator, ale teraz, gdy się przyglądasz, widzisz, że jest trochę mniejsze i nie śledzi ruchów równie dobrze jak drugie. Doktor Poirot nosi jaskrawe hawajskie koszule. Mówi, że to po to, by pacjenci czuli się swobodniej. Doktor Poirot wymawia swoje nazwisko Pua-RO. „Jak ten detektyw u Agathy Christie – powiedział ci kiedyś. – Pewnie jesteś za młody, żeby kojarzyć tę postać. Czasy się zmieniają, czasy się zmieniają”.

Doktor Poirot ma ściągawkę, która mówi mu o tobie wszystko. Nawet takie rzeczy, których nie wiesz sam. Jak w ogóle można komuś takiemu zaufać?

– Zapomnij o kłopotach świata zewnętrznego. Teraz twoim zadaniem jest odpoczynek – stwierdza, przerzucając strony twojego życia.

– Moim zadaniem jest odpoczynek – powtarzasz jak echo i jesteś na siebie wściekły, że potrafisz być tylko echem. Nie wiesz, czy to lekarstwa cię do tego zmuszają, czy twój nawalający mózg.

– Twój mózg jest teraz w gipsie – mówi doktor. – Myśl o tym w ten sposób. Złamałeś go sobie i teraz jest w gipsie.

Pytasz, czy możesz dostać jakieś rzeczy z domu, ale nie wiesz, o co prosić. Masz własne ubrania, ale zabronione są paski czy biżuteria. Wolno mieć książki, ale żadnych ostrych ołówków ani długopisów. Niczego, czego można użyć jako broni przeciwko innym albo samemu sobie. Przybory do pisania są dozwolone w świetlicy, ale pod stałym nadzorem pastelowych.

Później tego ranka, w świetlicy, śniadanie razem z porannymi proszkami wraca ci dalekosiężnym rzygiem. Bez żadnego ostrzeżenia rozlewa się po całym stoliku z puzzlami jak biała morska piana.

Dziewczyna, która chyba przy tym stoliku spędza całe życie, dostaje szału.

– Zrobiłeś to specjalnie! – krzyczy permanentna puzzlowiczka. – Wiem, że specjalnie!

Ma niebieskie włosy z blond odrostami. Domyślasz się, że po tych odrostach można dokładnie ocenić, jak długo tu jest. Kiedy wymiotujesz na jej puzzle, rzuca się na ciebie – z całej siły przyciska cię do ściany, a ty jesteś tak nafaszerowany lekami, że nie możesz się bronić. Masz teraz paskudnego siniaka na ramieniu, ale i ten ból jest stepiony, tak jak wszystko inne w twoim układzie nerwowym.

Pastelowa persona prędko obezwładnia permanentną puzzlowiczkę, zanim ta zdąży ci wydrapać oczy, a kolejna wyprowadza cię ze świetlicy. Pastelowe osoby zawsze są w pobliżu i od razu reagują, kiedy ktoś zaczyna się źle zachowywać, a jeśli robi się

bardzo niedobrze, są też ubrani na czarno ochroniarze, ale wątpisz, żeby mieli broń, bo ktoś zdesperowany za łatwo mógłby im ją wyrwać.

Opuszczając świetlicę, słyszysz płacz puzzłowiczki. Też chce ci się płakać z żalu za jej utraconym krajobrazem, ale zamiast tego się śmiejesz, przez co czujesz się jeszcze gorzej, więc śmiejesz się jeszcze głośniej.

Znowu jesteś w Plastikowej Białej Kuchni. Wokół ciebie są kształty, które czasem mają sens, a czasem nie. Potwory o podłych zamiarach noszą stale zmieniające się maski. Głosy dołączają bełkotliwym chórem, a ty nie umiesz stwierdzić, z jakiego kierunku dochodzą ani z jakiego wymiaru – jednego z trzech standardowych albo tego dostępnego wyłącznie przez tę część twojej głowy, która ciągle boli.

Tej nocy się pocisz. W kuchni jest za gorąco. I od tego jeszcze bardziej boli cię głowa.

– Mam guza mózgu – mówisz bezcielesnej masce, przy której unosi się tabliczka z klipsem.

– Nie, nie masz – odpowiada.

– Jest nieoperacyjny – upierasz się. Nie umiesz stwierdzić, czy maska to kobieta, czy mężczyzna. To chyba celowe.

– Ani rezonans magnetyczny, ani tomografia nie wykazały niczego niewłaściwego – mówi maska, zerkając na tabliczkę z klipsem, a ty nie dyskutujesz, bo nie chcesz, żeby wepchnęli cię z powrotem do armaty.

Masce wyrastają ręce – a może miała je od początku, ale do tej pory były niewidzialne. Czujesz ucisk na prawym ramieniu, a gdy na nie patrzysz, całe leży w zagłębieniu gilotyny.

– Nie ruszaj się, zmierzę ci tylko ciśnienie – mówi maska jego-jej.

Gilotyna opada. Patrzysz, jak twoje ramię miota się na podłodze niczym pstrąg w łódce. Jęczysz, a maska mówi:

– Za mały. Wrzucamy z powrotem, tak?

Ciska twoje ramię przez otwarte okno, którego jeszcze przed chwilą tam nie było. A jednak kiedy sprawdzasz, ramię wciąż masz przytwierdzone do ciała.

– Skurczowe wciąż wysokie. Damy ci więcej klonidyny – mówi maska. – A jak nie podziła, przekłujemy ci głowę jak balon.

Część z tych słów pada naprawdę. Część nie. Ty jednak słyszysz je wszystkie tak samo i nie wiesz, które wypowiedziane są na głos, a które przesyłane ci telepatycznie.

– Obejrzyjmy sobie tego siniaka. Boli? Ale jesteś kruchy... – On-ona patrzy na fioletową plamę, którą zafundowała ci niebieskowłosa dziewczyna od puzzli. – Mmm... Kruchutki – mówi on-ona albo nie mówi. – Doskonale! Cała nasza wołowina powinna być miękka jak masło. – Potem cię zostawia, żebyś powoli dusił się we własnym sosie.

Nie wiesz, co to takiego, czym karmią dzieciaki w nagich ścianach tej instytucji. Może kurczak? Gulasz wołowy? Jedyne, co potrafisz wyraźnie rozpoznać, to galaretka. Jest jej dużo. Wmieszano w nią małe kawałki brzoskwini lub ananasa, zawisły w roztrzęsionej przezroczyściej czerwieni. Utożsamiasz się z ich losem. Zwłaszcza kiedy działają leki. Są takie chwile, kiedy świat wokół ciebie jest z żelatyny i nawet najmniejszy ruch wymaga tak ogromnej siły woli, że właściwie szkoda zachodu.

Egzystujesz od posiłku do posiłku, mimo że jedzenie nic już nie znaczy, bo ani nie odczuwasz głodu, ani nie czujesz smaku. Taki jest efekt uboczny twojego magicznego medycznego koktajlu.

– To tylko chwilowe – mówi doktor Poirot. – To tylko chwilowe.

Co w zasadzie niewiele dla ciebie znaczy, bo czas przestał iść naprzód. Nie porusza się już też na boki. Teraz obraca się w kółko jak małe dziecko, które chce, żeby zakręciło mu się w głowie.

Uczysz się odmierzać czas sesjami terapeutycznymi.

Trzy razy dziennie na godzinę zaganiają cię do kręgu i zmuszają, żebyś słuchał rzeczy tak okropnych, że nie umiesz wyrzucić ich z głowy. Dziewczyna opisuje w drastycznych szczegółach, jak wielokrotnie gwałcił ją przyrodni brat, a potem próbowała podciąć sobie żyły. Chłopak tłumaczy krok po kroku, jak to jest ładować w żyłę heroinę i sprzedawać się na ulicy, żeby zarobić na następną działkę. Demony tych dzieciaków są straszliwe, chcesz się odwrócić, zakryć uszy, uciec, ale zmuszają cię do słuchania, bo to „działa terapeutycznie”. Zastanawiasz się, co za kretyn uznał za dobry pomysł torturowanie popaprzanych dzieci przez zmuszanie ich do słuchania nawzajem o swoich koszmarach.

Opowiadasz o tym swoim rodzicom i ku twojemu zaskoczeniu są równie wściekli jak ty.

– Mój syn ma piętnaście lat! – mówi twój ojciec do szefowej pastelowych. – Narazicie go na koszmary, na jakie nie powinno być narażone żadne dziecko, a zwłaszcza chore. I wy to nazywacie terapią?

Brawo, tato. To pierwszy znak, że może jednak nie jesteś oszustem.

Skargi twoich rodziców przynoszą skutki. Grupę terapeutyczną przejmuje nowy „moderator”, żeby opanować sytuację i nie dopuścić do tego, by terapeutyczne rodeo zbyt traumatycznie działało na młode umysły łatwo ulegające wpływom.

– Nie jestem tu po to, żeby prać wam mózgi – mówi nam moderator. – Tylko po to, żebyście mogli powiedzieć, co wam leży na sercu.

Nazywa się Carlyle.

– Twoje sny mnie martwią – mówi kapitan. – Cuchną złościwością i wywrotowymi zamiarami.

Siedzimy w jego gabinecie, tylko my dwaj. Pali tłącą się fajkę nabitą wodorostami zebranych z oceanu. Żerdź papugi jest pusta.

– Ale sny pomagają zrozumieć – zauważam.

Kapitan nachyla się bliżej. Ostry dym z jego fajki gryzie mnie w oczy.

– Nie te.

Ciągle czekam, aż papuga wyrazi swoje zdanie, zapominając, że nie ma jej w pomieszczeniu. Tak bardzo już przywykłem do tego, że kapitan i papuga tworzą zespół, że jest mi nieswojo.

– Zamaskowane demony w snach o białej kuchni, o których mówisz, grożą zaprzepaszczeniem wszystkiego, na co pracowaliśmy – mówi kapitan – a wtedy cała nasza podróż pójdzie na marne.

Zastanawiam się, czy papugę spotkał ten sam los, co jej ojca, i czy wbrew własnej woli odwiedziła kambuz, który bynajmniej nie jest tak jasny i sterylny jak kuchnia w moich snach. Czy poszła pod topór? Często wydawało mi się, że chciałbym, żeby papuga zniknęła, ale za myślą o jej nieobecności idą złe przeczucia.

Kapitan nie mógł się jej pozbyć, bo kapitan i ja jesteśmy w zмовie. Dopóki jestem kluczową częścią planów i jego, i papugi, oboje są bezpieczni tak długo, jak długo nie wykonam ruchu w żadną stronę. Są chwile, kiedy chciałbym, żeby oboje przeżyli. Kiedy indziej życzę sobie ich śmierci. Ale żyję w strachu przed tym, że zostanie tylko jedno.

– Posłuchaj mnie uważnie – poucza kapitan. – Nie wolno ci chodzić do białej kuchni. Zamknij oczy na jasność jej światła. Opieraj się przed tym miejscem całym swoim jestestwem. Wszystko zależy od tego, żebyś został tu z nami. Ze mną.

Nie tyle śpisz, ile pożyczasz osiem godzin od śmierci. Kiedy siła działania leków osiąga maksimum, nie możesz się dostać do swojej głowy, nie możesz też śnić. Pewnie w najwcześniejszych godzinach rannych, tuż przed przebudzeniem, wsuniesz się w swój nieprzytomny umysł, ale zdecydowanie za szybko się zbudzisz.

Z czasem poznajesz prawidłowości osobistego bombardowania chemią. Drętwota, brak skupienia, sztuczne uczucie spokoju, kiedy leki trafiają do organizmu. Narastająca paranoja i niepokój, kiedy słabną. Im gorzej się czujesz, tym łatwiej ci się dostać na zdradliwe wody własnych myśli. Im większe zagrożenie z zewnątrz, tym bardziej za nimi tęsknisz, jakbyś przywykł do straszliwych macek, które chcą cię wciągnąć w swoje miażdżące objęcia.

Czasami rozumiesz, dlaczego potrzebny ci koktajl. Kiedy indziej nie możesz uwierzyć, że w ogóle przyszło ci to do głowy. I tak to idzie, przyływa i odpływa jak fala, zarazem toksyczna i lecznicza.

Podczas przyływu wierzysz w mury tego miejsca. Podczas odpływu zaczynasz wierzyć w inne rzeczy.

– Kiedy chemia twojego mózgu zacznie się stabilizować – mówi doktor Poirot – coraz łatwiej będzie ci odróżnić, co jest prawdziwe, a co nie.

Nie jesteś do końca przekonany, czy to dobrze.

– Całymi dniami patrzy na mapy – mówi ci Carlyle, ten gość od terapii. – Nazywamy go nawigatorem.

Chłopak przy stole w rogu świetlicy wpatruje się szeroko otwartymi oczami w mapę Europy. Nie możesz się nie zainteresować.

– Dlaczego trzymasz ją do góry nogami? – pytasz go.

Nie podnosi wzroku znad mapy.

– Trzeba rozbić znajome schematy, żeby zobaczyć to, co jest tam naprawdę. – To w sumie ma sens. Sam przez to przeszedłeś, więc wiesz, o czym mówi.

Zielonym markerem starannie rysuje linie między miastami, jakby dokładnie wiedział, co robi. Mapa jest dziką pajęczyną zieleni.

– Rozwiąż schemat, a to rozwiąże wszystko – mówi, a ty czujesz dreszcz, bo tak bardzo przypomina ci ciebie samego.

Siadasz naprzeciwko niego. Jest starszy. Ma z siedemnaście lat. Rzadka bródka, która bardzo chce się uzewnętrznić, ale zostało jej jeszcze pół roku, zanim stanie się faktem.

Wreszcie chłopak podnosi wzrok i wpatruje się w ciebie równie intensywnie, jak zgłębiał mapę.

– Jestem Hal – mówi i wyciąga rękę, żebyś ją uścisnął, ale opuszcza, zanim zdążysz to zrobić.

– Skrót od Haldol?

– Sprytne. Skrót od Harold, ale tak mnie określili rodzice. Nie jestem bardziej Haroldem niż Setem, egipskim bogiem chaosu. Tu szybki wtręt, że właśnie na drugie mam Seth.

Bawi się markerem trzymanym w palcach, mamrocząc słowa, które rymują się z „szybki”, i to jakimś cudem każe mu postawić pisak na Wiedniu.

– Mozart! – mówi. – Skrzypce były jego ulubionym instrumentem. To tutaj umarł w nędzy. – Przyciska marker do punktu oznaczającego stolicę Austrii. Zielony tusz krwawi na przedmieścia. – To tutaj się zacznie. Myślałem, że to wczoraj znalazłem ten punkt, ale się myliłem. Dzisiaj mam rację.

– Co się zacznie? – pytasz.

– Czy to ma znaczenie? – Potem mamrocze: – Znaczenie, znacznik, zauszniak, kapelusznik! Szalony Kapelusznik!

Zrywa się z krzesła i pyta najbliższą pastelową personę, czy można włączyć *Alicję w Krainie Czarów* – tę dziwną wersję z Johnnym Deppem – bo ten film ma w sobie coś ważnego i on natychmiast musi go obejrzeć.

– Tej wersji nie mamy – mówi pastelowa. – Może być kreskówka Disneya?

Hal zdegustowany macha ręką.

– Dlaczego wszyscy tutaj są tacy beużyteczni? – pyta, a potem patrzy na ciebie. – Wyłączając moje obecne towarzystwo.

Dobrze ci z tym, że choć raz wyłączono cię ze zbioru ludzi beużytecznych.

Wybierają Hala na twojego współlokatora. Poprzedni, którego imię i twarz już zapomniałeś, został zwolniony dziś rano. Hal wprowadził się, zanim łóżko wystygło.

– Chyba wam się układa – mówi do ciebie pastelowa persona. – Hal z nikim nie był w stanie mieszkać, ale ciebie lubi. Nawet logiczne.

Nie jesteś pewien, czy to komplement, czy obelga.

Hal pojawia się z wypchaną teczką map wyrwanych z atlasów i podwędzonych z automobilklubu aaa.

– Matka czasami przynosi mi nowe – mówi. – Każda kolejna to krok we właściwym kierunku.

Na liniach wyrysowanych między miastami napisał różne tajemnicze rzeczy. Wygłasza też ni z gruszki, ni z pietruszki głębokie myśli z takim przekonaniem, że chciałbyś je zapisać i powiesić na ścianie, ale przybory do pisania są dozwolone tylko w świetlicy.

– Człowiek często gubi się w technologicznym, fizjologicznym, astrologicznym braku logicznej egzystencji, którą można opisać jako całą masę niczego lekko przyprawioną wyraźną nutką szkockiej – mówi Hal.

Chciałbyś móc to zapamiętać, żeby potem powtórzyć rodzicom i pokazać, że ty też masz głębokie myśli – ale ostatnio nie jest nawet tak, że słowa wlatują ci jednym uchem, a wylatują drugim; one się dosłownie teleportują, omijając przestrzeń pomiędzy.

Hal mówi o matematyce, liczbach doskonałych i złotym środku. Ty mówisz mu o niewidocznych liniach znaczenia, które rozciągają się, przeszywają i oplatają ludzi w twoim życiu. To go ekscytuje, sprawiając, że i ty się ekscytujesz.

– Ty rozumiesz! – woła. – Ty widzisz szeroką perspektywę!

I choć twoja szeroka perspektywa nie jest taka sama jak jego, wygląda na to, że zgrabnie się na siebie nakładają, jak fragmenty partytury, niezrozumiałe dla kogoś, kto nie umie czytać nut, dopóki wszystkie instrumenty nie zaczną grać.

– Twoje rysunki to mapa – mówi ci. – Linie i krzywe, w których są zawarte kontynenty znaczenia, punkty handlu i kultury. Szlaki wymiany i podróży w każdej krzywej. – Przesuwa palcem po liniach twojego najnowszego dzieła przyklepionego do ściany. – To, co my postrzegamy jako sztukę, wszechświat postrzega jako wskazówki – oznajmia.

Dokąd jednak te wskazówki prowadzą – tego obaj nie jesteście pewni.

Podczas lunchu bezmyślnie opróżniasz talerz. Wpatrujesz się w niego i przez kilka chwil jesteś na igrzyskach olimpijskich. Jesteś dyskobolem. Obracasz się, obracasz, walcząc z chemicznie wywołaną gęstością powietrza, a potem ciskasz talerzem, przekonany, że zdobędziesz złoty medal. Talerz uderza w ścianę, ale nie rozbija się, bo jest plastikowy. Wtedy uświadamiasz sobie, że to wcale nie igrzyska. Cóż za rozczarowanie. Pastelowi, przekonani, że to napad agresji, natychmiast doskakują do ciebie z obu stron, żeby powstrzymać kolejny.

– Nie da się w ten sposób zburzyć ścian – mówi ci spokojnie Hal z drugiego stolika w jadalni. – Ani stłuc okien. Próbowałem. Próbowałem, przypiekałem, okłamałem i rozwiązałem. Nie pozwalają nam mieć nawet sznurówek. Sznurówek! To dlatego, że wiedzą, jak bardzo nienawidzę kapci.

Odkąd wyszedłem z armaty właściwie bez szwanku, inni marynarze patrzą na mnie z podziwem.

– Ten chłopak jest wyjątkowy – mówi kapitan.

– Wyjątkowy jest, wyjątkowy – odpowiada papuga.

Oboje udają, zgrywają życzliwych wobec siebie, ale tylko po to, żeby ostateczna zdrada była jeszcze słodsza. Chociaż nie ufam żadnemu z nich, wiem, że będę musiał wybrać którąś ze stron.

– Bądź moim drugim okiem – mówi kapitan – a doczekasz się bogactw i przygód, jakich sobie nie wyobrażasz.

– Bądź *moim* drugim okiem – mówi papuga – a zapewnię ci coś, czego nigdy nie da ci kapitan. Drogę ucieczki z tego statku.

Nie umiem się zdecydować, która propozycja jest lepsza, bo nie wiem, która niewiadoma jest bardziej przerażająca: przygoda z kapitanem czy życie na lądzie.

Próbuję podzielić się dylematem z Carlyle'em, ale ponieważ nie orientuję się, wobec kogo naprawdę jest lojalny, muszę tak obudować pytanie, żeby nie dać mu powodów do podejrzeń.

– Jeśli dwie równie niebezpieczne istoty jednocześnie zaatakują statek z przeciwnych stron – pytam – w jaki sposób wybrać, którą zastrzelić, skoro mamy tylko jedną armatę?

– Ja się na tym nie znam – odpowiada Carlyle. – Na szczęście to nie ja tu podejmuję decyzje.

– Ale gdybyś podejmował...

Przerywa szorowanie pokładu i zastanawia się przez chwilę.

– Gdybym ja podejmował decyzje, byłoby tu znacznie lepiej – mówi. Po czym dodaje: – Albo znacznie gorzej.

Doprowadza mnie do szału, że Carlyle unika zajęcia stanowiska na jakikolwiek temat. Nawet własny.

– Jeśli szukasz wizji i mądrości, wiesz, do kogo się zwrócić – mówi. Potem patrzy w stronę dziobu, tym spojrzeniem dopełniając myśl.

Kaliope nie ma dla mnie odpowiedzi na dylemat o dwóch bestiach.

– Moja domena to przyszłość, a nie hipotezy – odpowiada, niemal urażona tym pytaniem. – W tej sprawie musisz liczyć na siebie.

O mały włos nie mówię jej prawdy, ale potem uświadamiam sobie, że ma rację. Nawet jeśli powiem, że prawdziwe bestie to kapitan i papuga, jej odpowiedź pozostanie taka sama. Tylko ja mogę zdecydować. Nie ma innego sposobu.

Burza wciąż wisi na horyzoncie, ale my się nie zbliżamy, a kapitan jest coraz bardziej zdesperowany.

– Prąd oceanu jest niczym ruchoma bieżnia pod naszym kilem – mówi. – Pcha nas do tyłu z taką samą siłą, z jaką wiatr pcha nas naprzód. Żeglujemy wspaniałym statkiem, a jednak stoimy w miejscu.

– Potrzebny nam silniejszy wiatr – mówię.

– Albo lżejszy statek – sugeruje, świdrując mnie złym okiem. Wciąż przypisuje mi odpowiedzialność za to, że statek stał się miedziany. Potem łagodnieje i łapie mnie za ramię. – Ale jesteśmy teraz solidniejsi niż drewno, a ta blada zieleń to lepszy kamuflaż przeciwko niebu i morzu. Chroni nas przed baczynym wzrokiem obmierzłych bestii.

Dzisiaj jesteś w szpitalu. A przynajmniej dziś rano. W tej godzinie. W tej minucie. Gdzie będziesz za trzy minuty, nie wie nikt. Zacząłeś jednak zauważać, że z każdym mijającym dniem poczucie, że jesteś poza sobą, stopniowo zaczyna słabnąć. Została osiągnięta masa krytyczna, a teraz twoja dusza zapada się sama w sobie. Wróciłeś do naczynia swojego ciała.

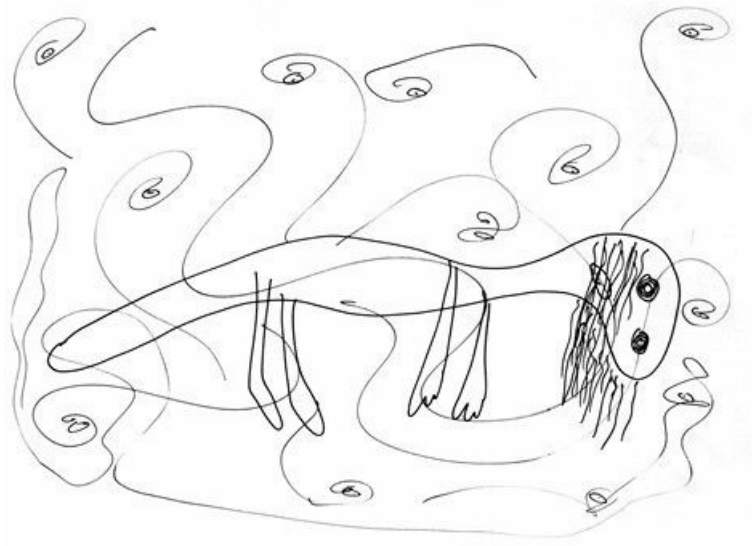
Tylko jeden. Tylko ty. Tylko jednostka.

Ja.

Nie wiem, kiedy to się dzieje. To zupełnie jak ruch wskazówki godzinowej, zbyt powolny, żeby go zobaczyć gołym okiem, ale wystarczy na chwilę odwrócić wzrok, a wskazówka magicznie przeskakuje z jednej cyfry na drugą.

Jestem tutaj, w Plastikowej Białej Kuchni, ale nie tak białej, jak ją zapamiętałem, a stół, na którym leżę, zmiękł, stając się łóżkiem. Moje ciało jest jak z kauczuku, a mózg niczym guma do żucia. Od światła nade mną bolą mnie oczy. Co wszyscy tak rozpaczliwie chcą zobaczyć, że potrzeba im aż tyle światła? I dlaczego wciąż czuję się tak, jakbym zaraz miał zostać zjedzony?

Nikt nie przychodzi i nic się nie dzieje przez całą, całą wieczność. A potem uświadamiam sobie, że po drugiej stronie pomieszczenia jest przełącznik światła. Mogę je zgasić. Mogę, ale nie mogę, bo jestem kawałkiem ananasa w galaretkce. Nic mnie nie zmotywuje, żeby wstać z tego łóżka, oprócz pilnej potrzeby pójścia do ubikacji. Ponieważ w tej chwili jej nie odczuwam, nie mogę się ruszyć. Najwidoczniej Hal też nie. Nie wiem, czy śpi, czy po prostu ugrzązł w tej samej galaretkce po drugiej stronie sali. Przysypiam i budzę się, i właściwie nie widzę różnicy. Potem ziemia zaczyna podę mną falować, więc się odprężam, wiedząc, że wkrótce znów będę na morzu, gdzie moje istnienie ma sens, nawet jeśli nie ma go nic innego.



W jaki sposób wyjaśnić bycie *tam* i bycie *tu* jednocześnie?

To trochę jak te chwile, kiedy myślisz o czymś ważnym, co pozostawiło po sobie silne wspomnienie. Może twój zwycięski gol w meczu pucharowym? Albo to, gdy potrącił cię samochód, kiedy jechałeś na rowerze. Bez względu na to, czy wspomnienie jest dobre, czy złe, raz po raz od nowa przeżywasz je w myślach – i czasem, kiedy znowu tam trafiasz, powrót do rzeczywistości powoduje szok. Musisz sobie przypominać, że nie jesteś już tam.

A teraz wyobraź sobie coś takiego na stałe – że nigdy nie masz pewności, czy jesteś tutaj, czy tam, czy może gdzieś pomiędzy. Jedyne rzecz pozwalająca ci ocenić, co jest prawdziwe, to twój umysł... więc co się dzieje, gdy umysł staje się patologicznym kłamcą?

Kiedy robi się bardzo źle, pojawiają się głosy i halucynacje wzrokowe – ale w „byciu tam” nie o głosy chodzi ani o widzenie różnych rzeczy. Chodzi o wiarę w różne rzeczy. O widzenie jednej rzeczywistości i wiarę, że jest ona czymś zupełnie innym.

Don Kichot – ten słynny literacki szaleniec – walczył z wiatrakami. Ludzie myślą, że kiedy na nie patrzył, widział olbrzymy, ale ci z nas, którzy byli w tej sytuacji, znają prawdę. Widział wiatraki tak jak każdy – ale *wierzył*, że to olbrzymy.

Najstraszniejsze ze wszystkiego jest to, że nigdy nie wiesz, w co nagle zaczniesz wierzyć.

Razem z moimi rodzicami przychodzi z wizytą Shelby. Powoli przedziera się ku mnie przez galaretkę. To niesamowite, że w ogóle może się w niej poruszać.

– Odwiedzałam cię już wcześniej, pamiętasz? Wiesz, kim jestem?

Chcę być zły, że mnie o to pyta, ale nie potrafię czuć gniewu. Nie czuję nic.

– Nie i tak – odpowiadam. – Nie, nie pamiętam, ale tak, wiem, kim jesteś.

– Ostatnio totalnie nie kontaktowałeś.

– A teraz kontaktuję?

– Wszystko jest względne.

Siedzę i nic nie mówię. Dla Shelby to chyba krępujące. Ja tego nie czuję. Ja czuję się cierpliwy. Mogę czekać wiecznie.

– Przepraszam – mówi.

– Spoko.

– Przepraszam za to, że myślałam, że ty... no, wiesz.

– Że ja co?

– Że bierzesz.

– A, to. – Przywołuję skrawki naszej ostatniej rozmowy w szkole. Wydaje się, że od tamtej pory kilka razy minęło całe życie. – Bo brałem – mówię. – A Bóg był moim dilerem.

Ona nie łąpie.

– Tripowałem na chemii własnego mózgu. Moje dragi od razu były w środku.

Kiwa głową, że niby mniej więcej rozumie, a potem zmienia temat. To mi pasuje.

– No więc dalej pracujemy z Maxem nad tą grą.

– To dobrze.

– Kiedy wyjdiesz, pokażemy ci, co mamy.

– To dobrze.

Teraz ma łzy w oczach.

– Bądź silny, Caden.

– Dobrze, Shelby. Będę silny.

Moi rodzice chyba zostają chyba na partię *Apples to Apples*, ale gra chyba nie idzie zbyt dobrze.

Dziewczyna stoi na tle olbrzymiego okna widokowego, które ciągnie się od sufitu do podłogi, od ściany do ściany, w szpitalnym pomieszczeniu nazywanym Salonem Vista. Zaprojektowano go tak, żeby dawał pacjentom poczucie swobody i otwartej przestrzeni pośród klaustrofobicznej sterylności. To nie działa.

Dziewczyna jest tam niemal zawsze. Stoi niczym monolit i wygląda przez to wielkie okno. Ciemna sylwetka na tle jasnego świata zewnętrznego, wiecznie patrząca naprzód.

Prawie boję się do niej podejść. Na początku kiedy ją widywałem, trzymałem się z daleka – ale w tej chwili poczucie bycia kawałkiem ananasa zakrzepłego w galaretkę nie jest aż tak silne jak czasem. Jestem tutaj – nie Gdzie Indziej – i postanawiam wykorzystać ten fakt. Ruszenie przed siebie i podejście do niej wymaga ode mnie ogromnej siły woli. Po kilku chwilach jestem na tyle blisko, żeby widziała mnie kątem oka.

Nie robi żadnego ruchu, nijak nie reaguje na moją obecność. Nie potrafię określić jej pochodzenia. Ma aksamitne brązowe włosy i skórę o głębokiej barwie polerowanego dębu. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak długo sztywno stał w bezruchu. Zastanawiam się, czy to przez jej leki, czy po prostu tak ma. To mnie fascynuje.

– Co tam jest? – ośmielałam się zapytać.

– Wszystko, co nie jest tu – mówi chłodno, z lekkim akcentem. Ten akcent wystarczy, żebym stwierdził, że pochodzi z Indii albo może z Pakistanu. Za oknem widać pofalowane wzgórza oraz ciąg domów na zboczu, które rozświetlają się jak sznurek lampek na Boże Narodzenie. Za wzgórzami jest morze.

– Widziałam jastrzębia, który zanurkował i odleciał z małym króliczkiem – mówi.

– No cóż – odpowiadam – takich rzeczy nie widuje się codziennie.

– Czułam, jak umiera – mówi i dotyka swojego ciała w miejscu, gdzie pewnie ma wątrobę. – Czułam tutaj – potem unosi dłoń i dotyka policzka – i tutaj.

Przez moment milczy, a potem:

– Doktor Poirot mówi mi, że te rzeczy nie są prawdziwe. I że kiedy mi się polepszy, zrozumiem to. Wierzysz mu? Bo ja nie.

Nie odpowiadam, bo nie wiem, czy mogę wierzyć w cokolwiek, co mówi papuga.

– Jastrząb był moją nadzieją, a królik moją duszą.

– To bardzo poetyckie.

Nareszcie odwraca się, żeby na mnie spojrzeć. W jej ciemnych oczach płonie gniew.

– To nie miało być poetyckie. Tylko prawdziwe. Pracujesz dla Poirota, prawda? On cię tu przysłał. Jesteś jego oczami.

– Poirot może się gonić – odpowiadam. – Jestem tu, bo... – Nie umiem się zmusić do dokończenia tej myśli, więc ona kończy ją za mnie:

– Bo musisz. Tak jak ja.

– No. Dokładnie. – W końcu doszliśmy do porozumienia. Nie do końca jest komfortowe, ale to już lepsze niż skrepowanie.

– Inni o mnie mówią, prawda? – pyta, znów kierując wzrok w stronę horyzontu. –

Wiem, że tak. Mówią straszne rzeczy za moimi plecami. Wszyscy.

Wzruszam ramionami.

Większość pacjentów niczego tu nie zauważa, o ile nie ingeruje to w ich poczucie przestrzeni osobistej. Oczywiście dla niektórych przestrzeń osobista może się rozciągać między Ziemią a Księżycem.

– Nigdy nie słyszałem, żeby coś mówili – odpowiadam.

– Ale jeśli usłyszysz, to mi powiesz? Czy mogę ci ufać?

– Ja sam nie mogę sobie ufać – mówię.

To sprawia, że się uśmiecha.

– Przyznając, że nie możesz sobie ufać, stajesz się tym bardziej godny zaufania. – Znów się do mnie odwraca. Jej wzrok bada moją twarz, porusza się w górę i w dół, a potem z boku na bok, jakby sprawdzała odległość między moimi uszami. – Jestem Callie – mówi.

– Caden.

I zostaję z nią, wyglądam przez okno, czekając, żeby jastrzębie zabiły króliki.

Kiedyś bałem się śmierci. Teraz boję się nieżycia. To różnica. Idziemy przez życie, planując przyszłość, ale czasami ta przyszłość nigdy nie nadchodzi. Chodzi o przyszłość osobistą. Konkretnie o moją.

Są takie chwile, kiedy wyobrażam sobie, jak ludzie, którzy mnie znają, wspominając mnie za dziesięć lat, mówią rzeczy w stylu: „ależ on miał potencjał” albo „jaka szkoda”.

Myślę o tym wszystkim, co chcę robić i kim chcę być. Rewolucyjnym artystą. Przedsiębiorcą. Uznany projektantem gier. „Ach, jaki on miał potencjał” – smętnym głosem lamentują duchy przyszłości, kręcąc głowami.

Strach przed nieżyciem to dogłębny, trwały lęk przed patrzeniem, jak twój potencjał ulega rozkładowi i zmienia się w nieodwracalne rozczarowanie, gdy „powinno być” zostaje zgniecione przez to, co jest. Czasami myślę, że łatwiej byłoby umrzeć niż zmierzyć się z czymś takim, bo znacznie wyżej ceni się „co mogło być” niż „co powinno być”. Martwe dzieci stawia się na piedestale, a te chore psychicznie zamiata się pod dywan.

W gabinecie Poirota wisi plakat motywacyjny. Przedstawia biegacza olimpijskiego przerywającego wstęgę na mecie wyścigu. Podpis brzmi: „Może nie będziesz pierwszy, może nie będziesz ostatni, ale przekroczysz linię mety”. Przypomina mi się drużyna lekkoatletyczna, do której tak naprawdę nigdy nie należałem. Ten plakat to kłamstwo. Nie można przekroczyć linii mety, jeśli odpadnie się przed pierwszymi zawodami.

– Przemawia do ciebie? – pyta Poirot, kiedy przyłapuje mnie na przyglądaniu się plakatowi.

– Gdyby do mnie przemawiał, pewnie zmieniłby mi pan leki – odpowiadam.

Poirot śmieje się pod nosem i pyta, jak sobie radzę, a ja mówię, że wszystko jest do kitu. Przeprasza, ale nie robi nic, żeby było mniej kitowo.

Każe mi wypełnić formularz, który wydaje się bardziej niż bezsensowny.

– To dla ubezpieczyciela – mówi. – Oni kochają papierologię. – Ale jeśli spojrzeć na moją teczkę, leżącą przed nim na biurku, papierologia jest też jego fetyszem.

– Twoi rodzice mówią, że jesteś artystą.

– Chyba tak.

– Poprosiłem, żeby przywieźli ci trochę artykułów plastycznych. Oczywiście nie zezwolimy na nic niebezpiecznego. Personel oceni, czego możesz użyć. Na pewno będziesz miał okazję wyrazić się twórczo.

– Ale mi fajnie.

Przyjmuje moją reakcję jak nieprzyjemny zapach w powietrzu i coś notuje. Podejrzewam, że poskutkuje to korektą mojego koktajlu. Oprócz okazjonalnej dawki haldolu biorę teraz cztery proszki dwa razy dziennie. Jeden, żeby wyłączyć moje myśli, a drugi, żeby wyłączyć moje działania. Trzeci, żeby zapobiec skutkom ubocznym dwóch pierwszych. I czwarty, żeby ten trzeci nie czuł się samotny. Rezultat jest taki, że mój mózg łąduje gdzieś na orbicie za Saturnem, gdzie nie będzie nikomu przeszkadzał, zwłaszcza mnie.

Jakoś sobie nie wyobrażam, żeby biegacz aż tak daleko stąd mógł w najbliższym czasie przekroczyć linię mety.

– Koncentrowałam się na moich nogach – mówi mi Kaliope, trzymając mnie w znajomym zimnym uścisku nad oceanem.

Mam siniaki od jej twardych miedzianych dłoni, które zrobiły się jeszcze zieleńsze niż reszta statku. To, co zaczęło się jako ślady oksydacji w kącikach oczu i fałdach opadających miedzianych włosów, rozeszło się po całym jej ciele, tak że teraz jej połysk zmatowiał w bladą zgodę na los.

– Przecież nie masz nóg – przypominam.

– Myślę, że już mam. Nogi i stopy. Palce u nóg i paznokcie. Sprawiała to moja koncentracja. – Potem szepce: – Nie możesz mówić o tym nikomu, zwłaszcza kapitanowi. Nie pochwałałby tego.

– On się ciebie boi – przypominam.

– On się boi wszystkiego, czego nie jest w stanie kontrolować. I nie cofnie się przed odrąbaniem mi nóg, jeśli uzna, że to mnie powstrzyma przed odejściem od niego. – Porusza się, ale jej uścisk nie słabnie. – Jeśli mam stopy, to są osadzone za mną w forpiku. Znajdź to miejsce tuż pod głównym pokładem, gdzie prawa i lewa burta spotykają się, żeby utworzyć dziób. Znajdź je, powiedz mi, czy mam nogi i czy możesz je uwolnić.

– Callie nie stoi przed oknem, bo lubi, ale dlatego, że ma potrzebę.

Dowiaduję się o tym od dziewczyny z niebieskimi włosami – permanentnej puzzłowiczki, która swojej nowej, wolnej od rzygów układanki z krajobrazem strzeże jak skarbu. Lubi się do mnie odzywać tylko wtedy, kiedy ma do powiedzenia coś podłego o innych.

– Została moją nową współlokatorką i uwierz, jest totalnie porąbana. Myśli, że kiedy nie patrzy, świat na zewnątrz znika.

Przyglądam się niebieskowłosej dziewczynie, gdy próbuje wcisnąć puzzla w miejsce, gdzie wyraźnie nie pasuje. Potem dwa razy dotyka nosa, próbuje ułożyć tego samego puzzla w tym samym miejscu, a potem znów dotyka nosa dwa razy. Dopiero po trzykrotnym powtórzeniu tego schematu przechodzi do innego kawałka układanki.

– Ona nie myśli, że świat znika – wyjaśniam. – Ona się tego boi. To różnica, wiesz. Właśnie tego strachu próbuje uniknąć.

– Tak czy inaczej idiotyzm.

Chcę na nią napaść. Powiedzieć jej, że sama jest idiotką. Może przewrócić stół, żeby puzzle poleciały na wszystkie strony. Ale tego nie robię – bo tu nie chodzi o idiotyczność. Przypuszczam, że Callie jest genialna. I może niebieskowłosa też jest. Nie, tu nie chodzi o inteligencję, ale o lusterko wsteczne na podłodze. O tę durną, bezużyteczną lampkę „sprawdź silnik”, a jedyni ludzie wykwalifikowani, żeby zajrzeć pod maskę, nie mogą tego draństwa otworzyć.

Nie, nie napadam na nią. Zamiast tego pytam:

– A ty boisz się, że co się stanie, jeżeli dwa razy nie dotkniesz nosa?

Wbija we mnie wzrok, jakbym ją spoliczkował, ale widzi, że nie naśmiewam się z niej, że zadaję to pytanie na serio. Naprawdę chcę to wiedzieć.

Patrzy w dół na puzzle, ale nie próbuje układać kolejnych fragmentów.

– Jeżeli nie dotknę – mówi cicho – to czuję się tak, jakbym spadała. Jeżeli nie dotknę, to serce zaczyna bić mi tak szybko, że boję się, że wybuchnie. Jeżeli nie dotknę, nie mogę oddychać, jakby ktoś wyssał powietrze. – Potem zawstydzona dwa razy dotyka nosa i próbuje dołożyć następnego puzzla.

– Nie jesteś dziwadłem – szepczę do niej.

– Wcale nie mówiłam, że jestem.

Wstaję, żeby odejść, ale łapie mnie za nadgarstek i ściska, zmuszając, żebym otworzył dłoń. Potem wpycha w nią jednego puzzla. Niebieskiego. To kawałek nieba. Nie ma żadnych cech charakterystycznych, które wskazywałyby na to, w jakim punkcie nieba powinien się znajdować. Takie kawałki najtrudniej umiejscowić.

– Możesz pożyczyć – mówi. – Tylko przynieś z powrotem, zanim skończę układać, dobra? – Potem dodaje: – Ja się właśnie tak nazywam. Jak niebo. Skye. Głupie imię, co?

I chociaż tego puzzla do niczego nie potrzebuję, biorę go i dziękuję jej – bo wiem, że nie chodzi tu o to, że dla mnie jest bezużyteczny, ale o to, że zdecydowała się z nim

rozstać.

– Zaopiekuję się nim – obiecuję.

Kiwa głową, a potem wraca do rytuału układania puzzli.

– Callie cię lubi – mówi. – Nie zmarnuj tego, nie bądź dziwakiem.

Hal rzadko ma gości. A jeśli już, to tylko matkę. Matka Hala jest bardzo piękną kobietą. Trudno uwierzyć, że ma tyle lat, żeby mieć siedemnastoletniego syna. Kiedy się pojawia, wygląda, jakby właśnie wyszła od fryzjera, ale myślę, że po prostu zawsze tak wygląda.

Nie tylko wyróżnia się spośród innych rodziców, lecz także się od nich odseparowuje. Pokrywa się zabezpieczającą aurą, jakby nosiła skafander ochronny, którego nikt nie widzi. To miejsce nie ma na nią wpływu. Głębokie, szalone sentencje Hala jej nie ruszają.

W czasie ostatniej wizyty słyszę, że skarży się na natrętą muchę wabioną chyba przez jej perfumy.

– Muchy to okropna tajna policja, która rozrywa nas jak padlinę – mówi matce Hal. – Nasze myśli są tylko skórą.

Niewzruszona syczy colę light i komentuje pogodę. Jest „nietypowo chłodno jak na tę porę roku”. Nie przypominam sobie nawet, jaką mamy teraz porę roku, oprócz tego, że na pewno nie zimą, bo tylko wtedy nie może być „nietypowo chłodno”.

Paznokcie matki Hala są za długie, żeby cokolwiek skutecznie mogła robić dłońmi, i zawsze pomalowane tak precyzyjnie, że odwracają uwagę od jej klatki piersiowej, nad którą, jak nad renesansową rzeźbą, wyraźnie napracowali się mistrzowie w swojej sztuce.

Kiedyś spytałem Hala, czym ona się zajmuje.

– Jest kolekcjonerką – powiedział, ale nie chciał rozwinąć myśli.

Nie wychowała go. Robili to dziadkowie, dopóki żyli, a potem trafił do rodziny zastępczej.

– Uznano ją za niewydolną wychowawczo matkę, chociaż codziennie robi kardio na siłowni – powiedział mi kiedyś Hal. A także, że pierwszą mapą, którą pomazał, była mapa stanu. Narysował linie między wszystkimi miejscami, w których mieszkał. Te wzory były dla niego bardzo uderzające.

Kiedy matka Hala z nim siedzi, mówi krótkimi, wyćwiczonymi hasłami. Zadaje pytania jak prowadząca talk-show i podaje mu wiadomości jak spikerka. Stuka paznokciami o stół z taką zawziętością, że po chwili w całej świetlicy słyszę tylko ten dźwięk i muszę wyjść, bo czuję, że jej paznokcie wbijają mi się w mózg, a potem zaczynam wierzyć, że jest tak naprawdę, i resztę dnia mam zepsuta.

Pięknym ludziom często wiele się wybacza – i może ona idzie przez życie właśnie w taki sposób, ale ja nie wybaczam jej niczego – a przecież nawet nie wiem, jakie inne straszne rzeczy zrobiła oprócz wykazania się brakiem rodzicielskiej sprawności. Najbardziej jednak wścieka mnie w niej to, że ma czelność sprawiać, że bardziej doceniam własnych rodziców.

Mój ojciec ma irytujący nawyk mówienia tych samych słów, kiedy dzieje się coś złego. „To również przeminie” – pociesza. Wkurza mnie, że zawsze ma rację. Jeszcze bardziej wkurza mnie to, że kiedy rzeczywiście przemija, on później mi o tym przypomina zadowolonym z siebie „a nie mówiłem”.

Przestał tak do mnie mówić, bo mama wytknęła mu, że to oklepane. Możliwe, ale teraz sam tak mówię do siebie. Choćbym czuł się nie wiem jak źle, zmuszam się, żeby to powiedzieć, nawet jeśli nie jestem jeszcze gotów w to wierzyć. „To również przeminie”. Niesamowite, ile takie drobiazgi mogą zmienić.

To tak jak w tej starej reklamie Nike. *Just do it*. Po prostu to zrób. Mama lubi opowiadać, że po urodzeniu Mackenzie bardzo przytyła, a perspektywa ćwiczeń tak bardzo ją onieśmielała, że nie wiedziała, od czego zacząć, dlatego tylko jadła i robiła się jeszcze grubsza. W końcu zaczęła sobie mówić: *Just do it* – i to była jej magiczna mantra, która pozwoliła wrócić do regularnych ćwiczeń. Mama odzyskała dawną wagę, zanim Mackenzie skończyła dwa lata. Z drugiej strony istniał też dziwaczny kult, którego członkowie masowo popełniali samobójstwa ubrani w nowiutkie buty Nike w ramach własnego wypaczonego hołdu dla hasła *Just do it*.

Chyba nawet prosty slogan można wywinąć w dowolny kształt jak balonowe zwierzątka – możemy nawet sprawić, że się zapętli, zmieniając się w stryczek. Koniec końców to, kim jesteśmy, można poznać po kształtach naszych balonowych zwierzątek.

Figura dziobowa widzi tylko to, co znajduje się przed statkiem, a nie w środku, dlatego Kaliope może się tylko domyślać, jak wejść do forpiku, gdzie – jeśli istnieją – będą osadzone jej nogi. Domyśla się, że mogę się tam dostać z dolnego pokładu, ale się myli. Do forpiku można wejść wyłącznie przez kratę na głównym pokładzie. Krata zamknięta jest na stalową kłódkę, której połysk szyderczo kontrastuje ze zgaszoną zielenią reszty statku. Zaglądam w dół, ale widzę tylko ciemność.

– Szukasz czegoś szczególnego, czegoś szczególnego?

Przenikliwy głos papugi sprawia, że aż się wzdrygam. Kieruję wzrok w stronę tego głosu i widzę ptaka przycupniętego na głowie Kaliope. Ona nie próbuje go strząsnąć. Nie podnosi ręki, żeby go chwycić. Zastanawiam się, czy papuga w ogóle wie, że Kaliope ożyła. Może właśnie dlatego jest taka nieruchoma, bo nie chce się z tym zdradzić.

– Niczego szczególnego – odpowiadam, świadom, że nie obejdzie się bez odpowiedzi, w którą papuga uwierzy. Patrzę przez kwadratową kratę nad forpikiem. – Po prostu ciekawi mnie, co tam jest.

– Ładownia – mówi. – Ładownia i sterownia, i ściekownia, i dziwownia – dodaje, naśladując głos nawigatora, a potem się śmieje, zadowolona z tej parodii. Tylko że nawet nie jest blisko. Może trafiła z głosem, ale nie z kadencją. Kadencja, Caden, basen, baran. Od razu lepiej.

– Nie trać głowy! – upomina papuga. – Niech cię nie rozpraszają błyskotki. I pamiętaj, co mówiłam o kapitanie. O tym, co trzeba zrobić.

– Baran, bunt, grunt, groza – odpowiadam, przyćmiewając tym jej parodię.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze. Wierzę w ciebie, marynarzu Bosch. Wierzę, że postąpisz właściwie, kiedy właściwie trzeba będzie postąpić. – Potem odfruva na bocianie gniazdo.

Tego wieczoru papuga dopilnowuje, żeby w jadłospisie znalazła się baranina, co ma mi przypomnieć o naszej rozmowie – choć nie wiem, gdzie na morzu można znaleźć owce, i boję się, że to wcale nie baranina.

– Można postrzegać świat na wiele sposobów – mówi mi doktor Poirot, kiedy mam jaśniejszy dzień i wie, że przetrawię te słowa, a nie tylko je po nim powtórzę. – Każdy z nas konstruuje pewne wyobrażenia. Jedni uważają, że świat jest zły, inni widzą w nim zasadniczo dobre miejsce. Jedni dostrzegają Boga w najprostszych drobiazgach, inni widzą pustkę. Czy to kłamstwa? Czy to prawda?

– Dlaczego pan mnie o to pyta?

– Zwracam tylko uwagę na to, że twoje wyobrażenie i rzeczywistość się rozwarstwiły.

– A co, jeśli to moje „wyobrażenie” mi się podoba?

– Bywa bardzo kuszące, bardzo kuszące. Ale cena życia tym wyobrażeniem jest wysoka.

Milczy przez chwilę, pozwalając, żeby jego słowa zapadły mi w umysł, ale ostatnio myśli raczej dryfują, niż toną.

– Twój rodzice i ja, cały tutejszy personel, chcemy dla ciebie jak najlepiej. Jesteśmy tu po to, żeby pomóc ci wyzdrowieć. Muszę mieć pewność, że w to wierzysz.

– Jak to ma znaczenie, w co wierzę? I tak to zrobicie.

Poirot kiwa głową i rzuca, jak mi się wydaje, ironiczny uśmiech, ale dziwny głos w mojej głowie mówi mi, że jest on złowrogi. Głosy można przytłumić lekami, lecz nie da się ich całkiem uciszyć.

– Wierzę, że chcecie mi pomóc – mówię. – Ale za pięć minut mogę w to nie wierzyć. Przyjmuję tę odpowiedź.

– Twoja szczerość pomoże ci w powrocie do zdrowia, Caden.

I to mnie wkurza, bo nie zdawałem sobie sprawy, że mówię szczerze.

Po powrocie do mojego pokoju proszę Hala, żeby wypowiedział się na ten temat. Czy wierzy, że wszystko, co tu robią, jest dla naszego dobra?

Nieprędko odpowiada. Od wizyty matki zachowuje się bardziej antyspołecznie niż zwykle. Podobno to prawidłowość. Zwiększyli mu dawkę antydepresantów, co wcale nie sprawia, że ma mniejszą depresję, ale pomaga mu o tym zapomnieć.

– To, co tu robią, nie ma żadnego wpływu na cenę herbaty w Chinach – mówi w końcu. – Ani na cenę chininy w Gruzji.

– Ani – dodaję – na cenę gruzu w Danii.

Podnosi głowę, patrzy na mnie ostro i grozi mi palcem.

– Nie mieszaj w to Danii, chyba że jesteś gotowy na konsekwencje.

A ponieważ nie jestem, nie proponuję już żadnych innych państw.

Callie i ja jesteśmy w różnych grupach terapeutycznych. Proszę, żeby mnie do niej przenieśli, ale takie prośby chyba nie są uwzględniane.

– Na pewno w mojej grupie jest tak samo jak w twojej – mówi mi Callie pewnego dnia przy śniadaniu – tylko że u nas nikt nie jest tu po raz pierwszy. Pewnie wszyscy jesteśmy trochę mniej naiwni. Byliśmy na tyle aroganccy, żeby myśleć, że mamy już spokój z tym miejscem. Teraz spokorniliśmy. Albo bardziej się wkurzyliśmy. Albo i jedno, i drugie.

– Hal trafił do mojej grupy, a on nie jest tu po raz pierwszy – zauważam.

– Cóż, może wychodził i wracał – mówi Callie – ale myślę, że jego pierwszy raz nigdy się nie skończył.

Dołączam do niej przed oknem widokowym w Salonie Vista, kiedy tylko mogę. Kiedy tylko stopy pozwalają mi ustać w jednym miejscu.

Dzisiaj, podczas gdy ona dzielnie stoi, obserwując świat, ja rysuję przypadkowe rzeczy, jakie przychodzą mi do głowy. Nagieli zasady i pozwolili mi mieć markery poza świetlicą. To chyba znak, że robię postępy. Ale żadnych ołówków. Pisakami trudniej zrobić krzywdę, czy to umyślnie, czy przypadkiem.

Czasami Callie i ja rozmawiamy, czasami nie. Czasami trzymam ją za rękę – czego teoretycznie nie wolno nam robić. Kontakt fizyczny jest zabroniony. Wszelkie interakcje międzyludzkie muszą być werbalne albo żadne.

– Dobrze, kiedy tak robisz – mówi mi pewnego dnia, gdy biorę ją za rękę. – Dzięki temu nie spadam.

Z czego nie spada – nie wiem. Nie pytam. Uznaję, że sama mi powie, jeśli będzie chciała.

Jej dłonie są zimne. Mówi, że ma słabe krążenie.

– To rodzinne – wyjaśnia. – Moja matka ma tak samo. Potrafi schłodzić napój, po prostu go przynosząc.

Nie przeszkadza mi chłód jej dłoni. Mnie zwykle jest za ciepło. Poza tym jej dłoń szybko się ogrzewa, kiedy ją trzymam. Dobrze wiedzieć, że mam na nią taki wpływ.

– Jestem tu trzeci raz – zwierza mi się. – To mój trzeci epizod.

– Epizod.

– Tak to nazywają.

– To raczej miniserial.

Uśmiecha się, ale nie śmieje. Callie nigdy się nie śmieje, ale szczerść jej uśmiechu rekompensuje to.

– Mówią, że kiedy będę gotowa przestać patrzeć przez to okno, może będę gotowa iść do domu.

– Jesteś już blisko? – pytam, egoistycznie pragnąc, żeby powiedziała „nie”.

Nie odpowiada.

Zamiast tego mówi:

– Niczego tak nie chcę, jak stąd wyjść... ale czasami w domu jest trudniej niż tutaj.

To jak ze wskoczeniem do zimnego oceanu w gorący letni dzień. Marzysz o tym, ale nie chcesz poczuć wstrząsu od zimnej wody.

– Ja akurat lubię to uczucie – przyznaję.

Odwraca się do mnie, uśmiecha i ściska moją dłoń.

– Ty po prostu jesteś dziwny. – Potem znów kieruje wzrok za okno, gdzie dziś widok się nie zmienia. Na niebie nie ma ani jednego jastrzębia szukającego królików. – W domu oczekują, że będę naprawiona – mówi. – Twierdzą, że rozumieją, ale naprawdę rozumieją tylko ci, którzy też byli w Tym Miejscu. To tak, jakby mężczyzna mówił kobiecie, że wie, jak to jest rodzić. – Odwraca się do mnie, zapominając na chwilę o swoim widoku. – Nigdy nie będziesz tego wiedział, więc nie udawaj, że wiesz.

– Nie udaję. Nie będę wiedział. Ale trochę wiem, jak to jest być tobą.

– Wierzę. Ale nie będziesz ze mną w domu. Będą tylko moi rodzice i moje siostry. Oni wszyscy myślą, że leki powinny działać niczym magia, i wściekają się na mnie, że tak nie jest.

– Przykro mi.

– Ale jeśli wytrzymam – mówi – to w końcu w to wejdę. Odnajdę siebie taką, jaką byłam dawniej. Bo my dajemy radę, wiesz? Odnaleźć się. Chociaż za każdym razem jest trochę trudniej. Mijają dni. Tygodnie. Potem znowu wbijamy się w skórę tej osoby, którą byliśmy, zanim to się zaczęło. Składamy z powrotem wszystkie kawałki i żyjemy dalej.

Sprawia, że myślę o puzzłowiczce Skye i o kawałku układanki, który mi dała. Noszę go w kieszeni jako przypomnienie, chociaż nie pamiętam, o czym ma mi przypominać.

Może i nawigator jest genialny, ale nie śmiem zapytać go o forpik ani o to, jak się do niego dostać, bo jest także ciekawski. Będzie chciał wiedzieć, dlaczego pytam. Nie mówiłem mu, że spędzam czas z Kaliope, ponieważ wiem, że nie dotrzymałby tajemnicy. Wypapla to w rymach i aliteracjach, wszyscy się dowiedzą. Poza tym ostatnio jest bardziej markotny niż zwykle. Zaczął się na mnie zamykać, tak jak zamyka się na innych. Podobno jestem podejrzany i niebezpieczny.

Zamiast tego o północy odnajduję Carlyle'a i pytam jego. Zastaję go szorującego pokład na rufie, w pobliżu bezanmasztu. Obmywa go z brudu, a tu i ówdzie z mózgów.

– Forpik? – pyta. – Po co ci forpik?

– Chcę się tylko dowiedzieć, co tam jest.

Wzrusza ramionami.

– Trzymamy tam dziobowe liny cumownicze – mówi. – Ale już tak dawno nie widzieliśmy portu, że wcale bym się nie zdziwił, gdyby zdążyły wyewoluować w wyższą formę życia.

– Gdybym chciał się tam dostać, to gdzie znaleźć klucz?

– Ale po co?

– Mam swoje powody.

Wzdycha i rozgląda się, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie obserwuje. Szanuje moją prywatność w tej sprawie i nie powtarza pytania o powody.

– Do kłódki jest tylko jeden klucz i ma go kapitan.

– Gdzie go trzyma?

– Nie spodoba ci się – ostrzega Carlyle.

– I tak mi powiedz.

Przez moment wpatruje się w szare mydliny w wiadrze, a w końcu mówi:

– Za pestką brzoskwini w swoim oczodole.

Choćby świat wydawał się nie wiadomo jak racjonalny, nigdy nie wiesz, jakie porąbane rzeczy czekają za rogiem. Kiedyś widziałem w wiadomościach coś takiego: w wieżowcu na Manhattanie jakaś pani z wyższych sfer jedzie windą z apartamentu na dachu do garażu w piwnicy, sześćdziesiąt siedem pięter w dół – sześćdziesiąt osiem, licząc antresolę nad parterem – żeby wsiąść w swojego mercedesa i pojechać do galerii przy Madison Avenue, czy jak tam ludzie z wyższych sfer na Manhattanie spędzają czas.

Nie wie, że kilka minut temu obok jej budynku pękła magistrala wodociągowa. Wobec tego, kiedy winda zjeżdża do piwnicy i zaczynają się otwierać drzwi, kabinę zalewa lodowata woda. Co ma zrobić ta kobieta? W takim przypadku nie istnieje nawet najgorszy scenariusz, bo to przekracza ludzką wyobraźnię.

Po pięciu sekundach woda sięga jej do pasa, potem do szyi, a potem kobieta tonie, nigdy się nie dowiadując, co się stało ani jak w ogóle możliwe jest coś tak straszego. No bo pomyślcie tylko: utonąć w windzie wieżowca. To jest nie w porządku na sześćdziesięciu siedmiu różnych poziomach, nie licząc antresoli.

Najbardziej dziwi to, że słysząc o takich historiach, czuję pewną więź z Wszechmogącym, bo one pokazują, że nawet Bóg miewa epizody psychotyczne.

Idę na bocianie gniazdo, żeby przemyśleć trudności i konsekwencje związane z dostaniem się do klucza tego konkretnego bossa. Na mój gust zadanie jest niewykonalne. Siedzę przy barze, sączę koktajl i dzielę się dylematem z barmanką, ponieważ barmani słyną z udzielania dobrych rad, a poza tym wiem, że personel bocianiego gniazda bynajmniej nie kocha kapitana i nie jest wobec niego lojalny. Poznałem tu kilkoro barmanów. Pracują na różne zmiany, ponieważ bocianie gniazdo działa całą dobę. Dziś za barem stoi smukła kobieta o oczach zbyt małych w stosunku do twarzy. Rekompensuje to tuszem i turkusowym cieniem do powiek, przez co jej oczy przypominają trochę dwa pawie pióra.

– Zapomnij – mówi barmanka. – I to dosłownie. Im mniej będziesz o tym pamiętał, tym mniej ważne będzie ci się to wydawać, a im mniej ważne będzie się wydawać, tym mniejszy będzie twój niepokój.

– Nie interesuje mnie mniejszy niepokój – odpowiadam. – Przynajmniej dopóki nie zdobędę klucza.

Wzdycha.

– Przykro mi. Żałuję, że nie mogę ci pomóc.

Wydaje się trochę urażona, że nie posłuchałem jej rady. Albo że przesiaduję przy barze. Ci z bocianiego gniazda nie są zachwyceni, kiedy spędzam tam zbyt dużo czasu. Jak w każdym lokalu usługowym zależy im na jak najszybszym przepływie klienteli. Ja wolę się nie śpieszyć.

Na stołku barowym obok mnie siedzi podoficer. Nie ma koktajlu, zagaduje tylko barmankę. Jego obecność chyba jej nie przeszkadza. Tatuaże na jego ramionach łypią na mnie, a w ich spojrzeniach są emocje od ciekawości aż po wzgardę, a potem czaszka ze słabością do musicalowych numerów rusza z porywającą wersją *Hello, Dolly!* Tak się składa, że barmanka również ma na imię Dolly. Pozostałe czaszki zaczynają się skarżyć.

– Jak pan to znosi, kiedy tatuaże świrują? – pytam podoficera.

Przez chwilę patrzy na mnie, jakbym był z Marsa, a potem mówi dość powoli:

– Po prostu... nie zwracam... uwagi.

„Niezwracanie uwagi” wymaga chyba wielkiej dyscypliny. Wiem, że kiedy moje głosy wymykają się spod kontroli, czuję się jak w samym środku giełdy nowojorskiej. Podoficer przynajmniej może je stłumić rękawami i warstwami ubrania.

– Widział pan tu kiedyś kapitana? – pytam, ale on chyba zaczął mnie ignorować, więc kieruję pytanie do czaszki z różą w zębach, domyślając się, że może być najłagodniejsza. – Czy kapitan wchodzi czasem na bocianie gniazdo?

– Nigdy – odpowiada czaszka przez zaciśnięte zęby. – Wolałby, żeby nikt tutaj nie przychodził. Kapitan nie lubi, kiedy w głowach marynarzy miesza ktokolwiek oprócz niego.

– To dlaczego tego miejsca nie zamknie? Przecież jest kapitanem, na swoim statku może zrobić, co mu się podoba, prawda?

– Ha! – odzywa się czaszka z kostkami do gry w oczodołach. – Od razu widać, jak

mało wiesz.

– Są rzeczy, których nawet kapitan nie kontroluje – mówi czaszka z różą.

– Jakie rzeczy?

I wtedy musicalowa czaszka zaczyna odstawiać Julie Andrews:

– „Burzowe fronty na horyzoncie; białe sale z plastiku, gdzie każda myśl błądzi; majtkowie, koktajle, papug pióra zgubione; to jego rzeczy są znienawidzone”.

Reszta czaszek stęka, a ja się uśmiecham. Skoro kapitan nie jest wszechmocny, to może zdobycie klucza wcale nie będzie tak niemożliwe, jak mi się wydawało.

Hal i ja siedzimy w świetlicy. On jest pochłonięty mapami, a ja rysowaniem, usiłuję być tutaj, a nie gdzie indziej.

– Napisałem sobie język chaosu – mówi mi Hal. – Pełen symboli i sygnałów, i sigili, i cymbałów. Ale ze względu na jego chaotyczną naturę nie potrafię go zapamiętać.

– Czy cymbały były po to, żeby cię obudzić, kiedy zrobisz się zbyt nudny? – pytam.

Celuje we mnie palcem.

– Uważaj, albo kiedy będziesz spał, naznaczę cię sigilem wypadania włosów i zmienisz się we własnego ojca.

Sigile, jak pamiętam z którejś serii mrocznych komiksów, to symbole średniowiecznej magii z czasów, kiedy tak mało ludzi potrafiło czytać, że sama ta umiejętność zakrawała na czary. Człowieka umiejącego czytać uważano za geniusza. Człowieka umiejącego czytać bez poruszania ustami ogłaszano boskim albo demonicznym, w zależności od zamiarów ogłaszającego.

Dzisiaj ogłaszaniem wszystkiego zajmuje się Hal, czyli tak samo jak zazwyczaj.

– Symbole mają moc! – oznajmia. – Widzisz krzyż i to sprawia, że coś czujesz. Widzisz swastykę i czujesz coś innego. Ale swastyka to także hinduski symbol oznaczający „to jest dobre”, co pokazuje, że symbole można śmiertelnie wypaczyć. Dlatego tworzę własne. Mają znaczenie dla mnie i tylko to się liczy.

Rysuje spiralę przebitą sinusoidą. Rysuje dwa znaki zapytania przecinające się pod dziwnym kątem. Ma rację – rzeczywiście są mocne. Uczynił je mocnymi.

– Co oznaczają? – pytam.

– Mówiłem ci, zapomniałem ten język.

Potem zerka na mój szkicownik i zauważa, że skopiowałem jego symbole i właśnie je rozwijam, zmieniając w walczące ze sobą postacie. Wypaczyłem jego symbole. Jestem ciekaw, co zrobi.

– Masz na nazwisko Bosch – mówi. – Jesteś spokrewniony?

Zakładam, że chodzi mu o to, czy jestem spokrewniony z Hieronimem Boschem – autorem paru nieźle porąbanych obrazów, których śmiertelnie się bałem, kiedy byłem mały, a i teraz w złe dni tańczą w mojej głowie.

– Może. Nie wiem.

Kiwa głową, przywykły do niepewności, i mówi:

– Nie umieszczaj mnie w swoim *Ogrodzie rozkoszy ziemskich*, a ja nie napiszę ci śmiercionośnych symboli na głowie.

W ten oto sposób Hal i ja dochodzimy do porozumienia.

Otwieram oczy w środku nocy i czuję znajomą drętwotę półprzytomności połączonej z działaniem leków. Moja głowa to lotnisko we mgle. Wszystkie myśli zostały uziemione. Mimo to czuję, że jestem obserwowany. Siłą przedzieram się przez farmakologiczny opar, przewracam się na łóżku i odkrywam, że ktoś obok niego stoi. W słabym świetle z korytarza widzę zieloną pizamę w koniki morskie. Słyszę pstrykanie i dopiero po dłuższej chwili dociera do mnie, że ten dźwięk to szczęknięcie zębami.

– Zimno mi – mówi Callie. – A ty zawsze jesteś taki ciepły.

Nie rusza się, tylko szczęka zębami. Patrzą na drugą stronę pokoju i widzę chrapiącego Hala. Callie czeka na zaproszenie. Odrzucam kołdrę. To wystarcza, więc kładzie się obok mnie.

Rzeczywiście jest zimna. Nie tylko jej ręce i nogi, ale i całe ciało. Nakrywam nas kołdrą, a Callie obraca się do mnie plecami, tak że łatwiej mi ją objąć i podzielić się moim ciepłem. Leżymy blisko siebie jak dwie łyżki. Czuję wypukłości jej kręgosłupa na swojej klatce piersiowej. Czuję bicie jej serca, dużo szybsze niż moje. Nasze ciała tworzą symbol, równie potężny co te Hala, myślę – i przychodzi mi do głowy, że najbardziej znaczącymi ze wszystkich symboli muszą być te oparte na różnych sposobach, w jakie dwoje ludzi może się objąć.

– Tylko nic sobie nie wyobrażaj – mówi.

– Nic sobie nie wyobrażam – powtarzam zamroczony. Nie mógłbym sobie „wyobrażać” takich rzeczy, nawet gdybym chciał. Kiedy poziom leków jest aż tak wysoki, znikają wszystkie popędy. Nawet się z tego cieszę – przynajmniej w tej właśnie chwili – bo nie ma żadnych oczekiwań i choćby cienia niezręczności. Tutaj chodzi tylko o jedno: żeby było jej ciepło.

Mimo to się martwię. Wiem, że dyżuruje kilkoro pastelowych i że regularnie robią obchód, sprawdzając każdy pokój. Wszędzie są też kamery monitoringu. Szpital robi, co może, żeby śledzić każdy aspekt naszego zachowania, ale wciąż pozostaje trochę miejsca na błąd ludzki. Obecność Callie tutaj jest tego dowodem.

– A jak nas zobaczą? – pytam.

– To co zrobią? Wyrzucą nas? – odpowiada.

I uświadamiam sobie, że nie obchodzi mnie, co zobaczą, co powiedzą ani co zrobią. Ani Poirot, ani pastelowi, ani nawet moi rodzice. Ta chwila nie należy do nich. Nie mają do niej prawa.

Przyciskam ją mocniej, przywieram do niej, aż wreszcie czuję już tylko odrobinę chłodu, co oznacza, że przejęła część mojego ciepła. Po jakimś czasie przestaje szczękać zębami. Leżymy tak i oddychamy w jednym tempie.

– Dziękuję – mówi w końcu.

– Możesz przychodzić zawsze, kiedy ci zimno – odpowiadam. Zastanawiam się, czy nie pocałować jej delikatnie w ucho, ale zamiast tego mocniej się przytulam i szepczę w nie: – Lubię być dla ciebie rozgrzany.

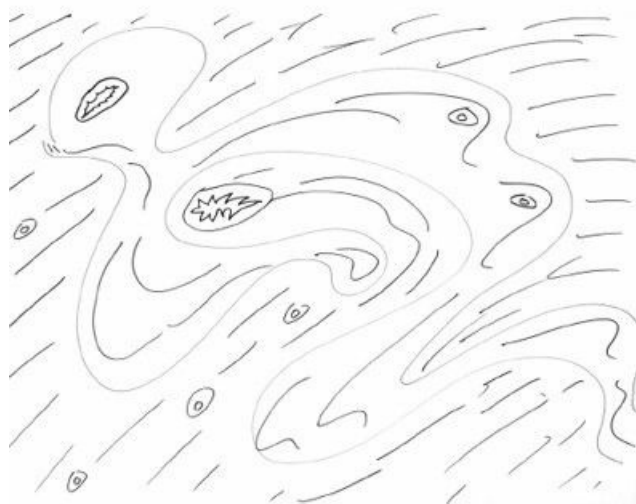
Dopiero po wymówieniu tych słów dociera do mnie, jak to brzmi. Pozwalam jej

myśleć, że to było zamierzone.

Nie mówi nic. Jej oddech zwalnia, a ja zasypiam. Kiedy znowu otwieram oczy, jestem w łóżku sam i mogę się jedynie zastanawiać, czy to się wydarzyło naprawdę. Czy to była tylko kolejna iluzja?

Dopiero rano na podłodze obok łóżka znajduję jej kapeć – zostawiony tam nie przypadkiem, nie przez nieuwagę, ale z przewrotnym zamysłem.

Przy śniadaniu przyniosę go, uklękę przed nią i wsunę go na jej stopę. I zupełnie jak w bajce będzie idealnie pasował.



Podczas zajęć w grupie Carlyle rozdaje nam kartki ze szkicownika i markery.

– Dzisiaj damy naszym ustom odpocząć – mówi. – Istnieją inne sposoby, żeby wyrazić siebie. Dziś będziemy korzystać z ekspresji niewerbalnej.

Oblech, na którego wszyscy mówią Kościej, zerka na Skye i wykonuje pod jej adresem niewerbalny gest o charakterze seksualnym, na co Skye odpowiada własnym gestem, w którym główną rolę odgrywa jeden z palców. Kościej rechocze pod nosem, a Carlyle udaje, że tego wszystkiego nie widział.

– Waszym celem będzie dziś narysowanie tego, co czujecie. To nie musi być dosłowne, nie istnieje właściwy ani niewłaściwy sposób na wykonanie zadania. Ani dobry, ani zły.

– Przedszkolne bzdury – stwierdza Alexa, dziewczyna z zabandażowanym gardłem.

– To już zależy tylko od ciebie – odpowiada jej Carlyle.

Ludzie patrzą na swoje kartki, jakby krzycząca pustka już wdzierając się do ich kruchych umysłów. Inni gapią się na bładozielone ściany dokoła, jak gdyby mogły się tam kryć odpowiedzi. Kościej uśmiecha się podle i bierze się do pracy. Dokładnie wiem, co narysuje. Wszyscy wiemy. A dziś nikt z nas nie twierdzi, że umie czytać w myślach.

To zadanie nie jest dla mnie żadnym problemem. Właśnie tym zajmuję się przez większość czasu. Chwilami z większą pasją i zawziętością niż kiedy indziej. Carlyle o tym wie i może właśnie dlatego wybrał na dziś projekt plastyczny.

Po pięciu minutach moja kartka odzwierciedla poszarpany pejzaż wewnętrzny ostrych krawędzi i głębokich rozpadlin. Nie ma poczucia grawitacji ani perspektywy. Abstrakcyjny kanciasty lęk. Podoba mi się. I będzie mi się podobać, dopóki nie przestanie.

Inni nie rysują tak szybko.

– Nie dam rady – skarży się Skye. – Mój umysł nie widzi uczuć jako obrazów.

– Spróbuj – mówi łagodnie Carlyle. – Wszystko, co narysujesz, będzie dobre. Nikt cię nie ocenia.

Skye znowu patrzy na swoją pustą kartkę, a potem podsuwa ją mnie.

– Ty to zrób.

– Skye, to nie o to chodzi... – mówi Carlyle.

Mimo wszystko biorę kartkę, przez moment myślę o Skye, a potem biorę się do pracy. Rysuję z rozmachem abstrakcyjne coś, krzyżówkę ameby z mantą z oczami i ustami w nieoczekiwanych miejscach. Zajmuje mi to mniej więcej minutę. Kiedy rysunek jest gotowy, Skye patrzy na mnie z szeroko otwartymi oczyma i rozdziawionymi ustami. Spodziewam się gestu z wyprostowanym palcem, ale zamiast tego mówi:

– Jak ty to zrobiłeś?

– Co?

– Nie mam pojęcia, co to ma być, ale wyraża dokładnie to, jak się teraz czuję.

– Skye – odzywa się Carlyle – naprawdę nie wydaje mi się...

– Nie obchodzi mnie, co się panu wydaje – odpowiada Skye. – Dobrze mnie narysowałeś.

– To teraz mnie – mówi Kościej. Żebym mógł pracować, odwraca na drugą stronę kartkę z fallusem, którego rysowałeś.

Zerkam na Carlyle’a. Unosi brwi i wzrusza ramionami.

– Proszę bardzo – mówi.

Podoba mi się, że Carlyle idzie z falą, zamiast się jej opierać. Nogi godne marynarza.

Kościejowi rysuję zawijasa, który zmienia się w jeżozwierza o dość dwuznacznym kształcie. Kiedy kończę, śmieje się.

– Stary, jesteś najprawdziwszym artystą duszy.

Inni też chcą. Nawet członkowie załogi totalnie oderwani od rzeczywistości patrzą na mnie tak, jakby to, co narysuję, miało im uratować życie.

– No dobrze – mówi Carlyle, opierając się o pozieleniałą miedzianą gródź sali map. – Caden może rysować, ale kiedy skończy, każdy z was będzie musiał wyjaśnić, co te rysunki znaczą.

Podtykają mi swoje pergaminy, a ja gorączkowo przekładam ich uczucia na język linii i kolorów. Znaczący legend proponuję kolczaste nie wiadomo co pokryte oczami. Alexie i jej perłowej obróżce proponuję wznoszący się latawiec z mackami. Jediną osobą, która nie daje mi swojego pergaminu, jest nawigator. Sam rysuje w milczeniu własną mapę.

Wszyscy uważają, że dobrze ich narysowałem, a kiedy porównują między sobą swoje wewnętrzne ja, podchodzę do Carlyle’a trochę zaniepokojony.

– Myślisz, że kapitan będzie to pochwałał?

Carlyle wzdycha.

– Na razie żyjmy chwilą, dobrze?

I chociaż robię się przez to nerwowy, zgadzam się spróbować.

Vincent van Gogh obciął sobie ucho, wysłał je kobiecie, którą kochał, a w końcu odebrał sobie życie. Mimo wizji artystycznej tak nowatorskiej, że świat docenił ją dopiero po latach, sztuka nie uratowała go z odmętów udęczonego umysłu. Taki był.

Michała Anioła – prawdopodobnie największego artystę, jakiego znała ludzkość – ogarnęła tak patologiczna obsesja rzeźbienia *Dawida*, że nie mył się i nie dbał o siebie miesiącami. Tak długo nie zdejmował butów roboczych, że kiedy wreszcie je ściągnął, razem z nimi zeszła mu skóra stóp. Taki był Michał Anioł.

Ostatnio widziałem reportaż o artyście schizofreniku mieszkającym na ulicach Los Angeles. Jego obrazy to przepiękne abstrakcyjne arcydzieła, a ludzie porównywali go do mistrzów. Teraz jego dzieła chodzą za dziesiątki tysięcy dolarów, bo jakiś bogacz zwrócił na niego uwagę mediów. Na wernisażu w galerii ten artysta miał garnitur i krawat, ale kiedy było już po wszystkim, chociaż drzwi stały przed nim otworem, wrócił do życia na ulicach. Bo taki był.

To jaki jestem ja?

– Przepraszam, nie usłyszałem.

– Pytałem, czy ostatnio zauważyłeś jakieś różnice w tym, jak się czujesz, Caden.

– Różnice w tym, jak się czuję.

– Tak. Zauważyłeś?

Doktor Poirot ma irytującą skłonność do kiwania głową, nawet kiedy nic nie mówię, przez co trudno mi stwierdzić, czy odpowiedziałem na pytanie, czy nie.

– Czy co zauważyłem?

Przez chwilę w zamyśleniu stuka długopisem w biurko. To mnie rozprasza i zapominam nie tylko sedno tej rozmowy, ale i cały jej kierunek. To jeden z tych dni. O czym my rozmawialiśmy? Może o kolacji?

– Baranina – mówię.

– Baranina – powtarza. – Co z baraniną?

– Nie jestem pewien, ale chyba jemy marynarzy bez mózgów.

Rozważa to bardzo poważnie, a potem chwyta swój notesik i gryzmoli nową receptę.

– Chciałbym do twoich leków dodać rysperydon – mówi. – Myślę, że dzięki niemu częściej będziesz tu z nami.

– A może by połączyć lorazepam, rysperydon, kwetiapinę i kwas waloproinowy w jeden proszek? – proponuję. – LoRyspeKweWal.

Śmieje się pod nosem, a potem wrywa receptę, ale wie, że nie może dać jej mnie. Recepta trafia do mojej karty, która trafi do pastelowych, a oni zanoszą ją do apteki, a wtedy nowy proszek wylądowuje przed kolacją w moim wesołym papierowym kubeczku.

115 Dalej, zwawo, hasa, hej! Buchaj, ogniu! Kotle, wrzej!

Każdy proszek w blisko dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach składa się z różnych rzeczy, które nie mają nic wspólnego z lekarstwem. Producenci dodają specjalne składniki, żeby uzyskać kolor, powłokę i żeby proszek się trzymał. Rzeczy takie jak guma ksantanowa, otrzymywana z bakterii, Carbopol, czyli polimer akrylowy podobny do farby do wnętrza, i żelatyna, wytwarzana z krowich chrząstek.

Wyobrażam sobie, że gdzieś głęboko w tajnych zakamarkach Pfizera, GlaxoSmithKline czy któregoś z pozostałych wielkich koncernów farmaceutycznych znajduje się pilnie strzeżony loch, gdzie trzy zgarbione wiedźmy mieszają w olbrzymim przemysłowym kotle szajs, o którym nie chcę wiedzieć, ale który codziennie muszę wchłaniać.

A zamienników nie warzą nawet prawdziwe wiedźmy.

W końcu to się dzieje.

Mój mózg ucieka przez lewą dziurkę w nosie i dostaje wścieklizny.

Jestem poza swoim ciałem, pomykam przez pokład w środku nocy. Statek otula mgła. Nie widać choćby śladu gwiazd ani tego, co leży przed nami – albo może po prostu oko mojego umysłu nie sięga wzrokiem aż tak daleko. Inne mózgi syczą, kiedy się do nich zbliżam. Uświadamiam sobie, że jesteśmy istotami samotnymi. Samotnymi i podejrzliwymi. Jestem teraz tak blisko pokładu, że widzę, jak lepkie czarne szczeliwo rozchodzi się między miedzianymi deskami. Czarny szlam wrze od zamiarów, o których wolałbym nie wiedzieć.

Moje powykręcane fioletowe nóżki wyglądają jak korzenie. Skrzą się inteligencją, a może to tylko seria krótkich spięć. Te pokrzywione dendryty grzęzną w smołę, która ciągnie mnie w dół, jakbym był dinozaurem w asfaltowym jeziorze. Wiem, że jeśli się nie uwolnię, zostanę wtłoczony w wąską przestrzeń między miedzianymi deskami i zgnieciony – strawiony przez smołę. Potrzeba ogromnej siły woli, ale w końcu się wyrywam.



Dokąd teraz pójde?

Nie mogę pozwolić, żeby Kaliope zobaczyła mnie w tym stanie. Jestem okropny. Zamiast tego ruszam więc na rufę, niczym jaszczurka wspinam się po grodzi w stronę kapitańskiego gabinetu i rozplaszczam się, jak tylko mogę, żeby precyzyjnie się pod drzwiami. Jeśli to prawda, że odgrywam w tej misji kluczową rolę, to on mi pomoże. Znajdzie sposób, żeby wszystko naprawić.

Kapitan siedzi przy biurku przy na w pół roztopionej świecy i studiuje jeden z moich rysunków symboli i znaków. Kiedy podnosi wzrok i mnie dostrzega, błysk w jego oku jest jak miotacz ognia.

– Zabrać mi to stąd! – ryczy.

Nie poznaje mnie. Oczywiście, że nie – dla niego jestem tylko kolejnym beużytecznym szkodnikiem, od których roi się na jego statku. Próbuję wyjaśnić sytuację, ale nie mogę. Nie mam ust.

Słyszę kroki. Skrzypią drzwi, a potem dłonie, dziesiątki dłoni, setki dłoni próbują mnie złapać. Wiję się i szarpię. Nie mogą mnie dorwać! Dłonie chwytają i drapią, ale wykręcam się im i rzucam się przez drzwi, staczam się po schodach w... wilgotność. Pokład jest mokry od mydlin, a Carlyle przesuwam mopa w moją stronę. Ten mop jest ogromny! To ściana brudnych brązowych węży. Uderza mnie, sunę przez śliską powódź, usiłuję się czegoś chwycić, ale to na nic. Przed sobą widzę otwór ściekowy i nic nie mogę zrobić. Po chwili swobodnie spadam. Potem jestem w zimnym morzu, zatopiony przez fale.

Boli mnie. Boli mnie wszystko – i wiem, że w ten sposób umrę. Moje ciało na statku będzie pozorować życie, ale mnie już nie będzie.

Potem, pośród paniki, coś czuję. Coś wielkiego. Porusza się pode mną. Twarde łuski ocierają się o moje nagie zakończenia nerwowe. To jeden z tych stworów, o których mówił kapitan. Jest tutaj i jest prawdziwy. Wzdrygam się z przerażeniem. Po chwili już go nie ma, zanurkował głęboko... ale tylko po to, żeby nabrać impetu i ponownie się wynurzyć – tym razem z otwartą paszczą. Wierzgam, szarpię się i w końcu wypływam na powierzchnię.

Nic nie widzę. Ani statku. Ani morza. Mgła jest gęsta jak wata.

Czuję ruch wody, kiedy stwór płynie ku mnie z dołu.

A potem nagle z góry sfruwa papuga i chwyta mnie, wbija pazury w wypukłości i zwoje mojej substancji szarej.

– Niespodziewane, niespodziewane – mówi papuga – ale nie nieodwracalne.

Wznosimy się wysoko ponad statek, uciekamy od niebezpieczeństwa i wydostajemy się z tej gęstej mgły. Widzę tylko sterczący z niej grotmaszt statku i bocianie gniazdo, ale niebo w górze jest przejrzyste. Gwiazd tyle, co na Drodze Mlecznej widzianej z kosmosu. W jednej chwili przechodzę od absolutnego przerażenia do absolutnego zachwyty.

– Mogę ofiarować ci dar nieograniczonych horyzontów – skrzeczy głośno papuga – ale tylko jeżeli zrobisz to, co trzeba zrobić. Nadszedł czas. Pozbądź się kapitana, a wszystko, co widzisz od horyzontu po horyzont, będzie twoje.

Chcę jej powiedzieć o stworzeniu pod wodą, ale nie jestem w stanie się komunikować. Chcę wierzyć, że papuga umie czytać mi w myślach, ale nie umie.

– Wszystko dobrze – mówi. A potem mnie wypuszcza.

Lecę w dół w kierunku oblepionego mgłą statku. Bocianie gniazdo pęcznieje pode mną, otacza mnie i ląduję z pluskiem w gorzkiej cieczy. Znajduję się na dnie wielkiego kieliszka koktajlowego, tkwię tam bezradnie jak oliwka w brudnym martini.

Wszędzie wkoło są oczy. Przypatrują mi się twarze zbyt zniekształcone przez wygięte szkło, żeby je rozpoznać.

– Wiesz – słyszę głos barmana – mózg Einsteina wsadzili do słoika z formaliną. Skoro wystarczy dla niego, to wystarczy i dla ciebie.

– Tak czasami bywa – mówi Carlyle. Nie ma mopa, co pomaga mi ustalić, gdzie jestem. Zegar pokazuje, że terapia grupowa dawno się skończyła, ale Carlyle czasami zostaje w jadalni i rozmawia. Pomaga.

– Tak czasami bywa – powtarzam jak echo. Nie byłem dzisiaj na zajęciach grupowych. Miałem inne zmartwienia.

– Każdy inaczej reaguje na leki. To dlatego Poirot stale ci je zmienia. Musi znaleźć właściwy koktajl.

– Właściwy koktajl – mówię. Wiem, że po nim powtarzam. Wiem, ale nie mogę przestać. Moje myśli są gumowe, więc wszystko, co wpadnie do środka, odbija się i wypada ustami.

Miałem „niepożądaną reakcję” na rysperydon. Ani Poirot, ani pastelowi nie chcieli mi wyjaśnić, co to dokładnie znaczy. Carlyle był bardziej rozmowny.

– Teoretycznie nie wolno mi zwracać ci głowy szczegółami, ale należy ci się ta wiedza – powiedział. – Miałeś wysokie tętno i dreszcze. Mówiłeś niespójnie. Wiem, że to brzmi okropnie, ale nie było aż tak źle.

Nie przypominam sobie tych rzeczy. Byłem Gdzie Indziej.

Carlyle podsuwa mi pełen talerz i przypomina, że muszę jeść.

Jem, usiłując skupić się na żuciu i przełykaniu, ale nawet kiedy próbuję się skoncentrować, mój umysł odpływa. Myślę o Kaliope, której nie widziałem od wielu dni. Muszę wejść na dziób. Myślę o barmanach i zastanawiam się, jakie diabelstwa władają mi do koktajlu. Śledzionę kameleona. Jądro tarantuli. W końcu uświadamiam sobie, że siedzę z widelcem w powietrzu, a jedzenie wycieka mi kącikiem ust. Czuję, że mogłem tak siedzieć godzinami, ale wątpię, bo Carlyle nie pozwoliłby, żeby trwało to dłużej niż kilka sekund. Przypomina mi, że bym żuł i przełykał. Potem przypomina mi o tym ponownie. Nastąpiło pogorszenie. Obaj o tym wiemy.

Carlyle wyjmuję łyżkę z mojej dłoni i ją odkłada.

– Może zjesz więcej potem – mówi, świadom, że z posiłku nici.

– Może zjem więcej potem. – Nie uszło mojej uwadze, że widelec magicznie zmienił się w łyżkę.

Statek unosi się i opada, unosi się i opada. Latarnia podwieszona pod niskim sufitem mojej kajuty chwieje się w rytm tego ruchu, cienie wydłużają się i cofają, za każdym razem docierając jakby trochę bliżej.

Kapitan osobiście nadzoruje powrót mózgu do mojej głowy. Wciśnięcie pasty do zębów z powrotem do tubki to przy tym pikus.

– Dokonujemy tego, tfosząc phóźnię w móskoczaszce – tłumaczy lekarz pokładowy. – Następnie sbląkany mósk wphowacamy lefym nostrzem, co skutkuje jego wessaniem w celu fypełnienia phószni. To wszystko phosta fizyka. – Lekarz pokładowy, którego nie widziałem nigdy dotąd i nie zobaczę nigdy więcej, wygląda i brzmi podejrzanie podobnie do Alberta Einsteina, którego mózg, jak słyzałem, znajduje się w słoju.

Po zakończeniu operacji wciąż czuję się trochę obco. Kapitan patrzy na mnie i kręci głową rozczarowany.

– Kiedy wlałeś między wrony, prędko skończysz podziobiony – stwierdza oschle. Chyba nie tak brzmi przysłowie, ale rozumiem, co ma na myśli. – Jeżeli decydujesz się ufać ptakowi i tym diabelnym barmanom, właśnie taki los cię czeka. We mnie pokładaj wiarę, mały, a nie w ich odmóźdzających miksturach. Sądziłem, że tyle już się nauczyłeś!

Kapitan góruje nade mną. Teraz, kiedy jestem taki bezradny, wydaje się taki imponujący. Odwraca się i zamierza odejść, ale ja nie chcę, żeby odchodził. Nawigatora nigdzie nie widać, a w tej chwili nie chcę zostać sam.

– Przepłynęło obok mnie... – mówię.

Powoli odwraca się do mnie, przygląda mi się.

– Co obok ciebie przepłynęło?

– Coś wielkiego. Miało łuski. Jak ze stali. Potem zanurkowało głęboko i wystrzeliło w stronę powierzchni. Czuję jego głód. Chciało mnie pożreć. – Nie śmiem mu powiedzieć, że zanim zdążyło to zrobić, uratowała mnie papuga.

Kapitan siedzi na skraju mojej koi.

– To – mówi – był Głębinowy Wąż. Bardzo potężny wróg. Kiedy już weźmie cię na oko, będzie cię śledzić, dopóki albo ty, albo on nie sześniecie. Nigdy nie da ci spokoju. – I chociaż nie jest to zbyt dobra wiadomość, kapitan się uśmiecha. – Jeśli Głębinowy Wąż uważa cię za godnego uwagi, to bardzo dobrze o tobie świadczy. To znaczy, że masz w sobie coś więcej niż widać na pierwszy rzut oka.

Odwracam się od niego, odkręcam do ściany, żeby uciec przed perspektywą konfrontacji z wężem.

– Jeśli to panu nie przeszkadza – mówię – są takie oczy, które wolałbym, żeby się na mnie nie rzucały.

Mój poziom lęku znowu skoczył. Chodzę dokoła dyżurki, co wprawia w zdenerwowanie Dolly, pielęgniarkę z porannej zmiany.

- Kochanie, nie masz teraz zajęć?
- Chyba nie.
- To nie wolałbyś teraz czegoś robić?
- Chyba nie.

Skarży się drugiej pielęgniarce, że pacjenci mają za słabo zorganizowany czas, a w końcu prosi sanitariusza ze strasznych tatużami, żeby mnie odprowadził.

– Może pooglądasz telewizję na świetlicy? – proponuje sanitariusz. – Twoi koledzy właśnie oglądają *Charliego i fabrykę czekolady* – mówi. – Wersję oryginalną, nie tę dziwną z Johnnym Deppem.

Natychmiast mnie tym wkurza.

– Po pierwsze to, że skaczą nam w głowach Oompa Loompy, nie znaczy jeszcze, że wszyscy jesteśmy kolegami. A po drugie oryginał ma tytuł *Willy Wonka i fabryka czekolady*. No, teoretycznie oryginał nie, bo najpierw była książka, a ona w tytule miała Charliego, ale to i tak nie znaczy, że ma pan rację.

Sanitariusz śmieje się pod nosem i to mnie wpienia jeszcze bardziej.

– No, no, ktoś tu jest dzisiaj małą gadułą.

A on co, wychowawca przedszkolny Hells Angels?

– Mam nadzieję, że pana czaszki zjedzą pana przez sen – mówię.

Z tego się nie śmieje i czuję, że mogę sobie zapisać małe zwycięstwo.

Matka Hala znowu przychodzi z niezapowiedzianą wizytą. Nie ma mnie w świetlicy, żeby to zobaczyć. Nie potrafię usiedzieć nawet na tyle, żeby rysować – znowu chodzę tam i z powrotem po pokładzie, żeby zneutralizować kołysanie morza. Gdybym poprosił, daliby mi dodatkowy lorazepam, ale nie chcę. Barman jest zdecydowanie zbyt hojny z koktajlami, a na samą myśl o wspinaczkę do bocianiego gniazda czuję jeszcze silniejszy niepokój.

Kiedy obaj wracamy do pokoju, Hal opowiada mi o bieżącej matczynej przygodzie. Tym razem matka została dłużej niż zwykle. Zagrała z nim nawet w warcaby. Coś takiego powszechnie określa się jako „czerwoną flagę”.

– Więc co jest nie tak? – pytam go.

– Przeprowadza się do Seattle – mówi Hal. – Jest bardzo podekscytowana i chciała mnie powiadomić.

– Dlaczego do Seattle? – pytam.

– Jest w trakcie kolekcjonowania nowego męża i on tam właśnie mieszka.

Nie umiem ocenić, co Hal o tym myśli.

– To chyba dobrze, nie? Pojedziesz tam, kiedy stąd wyjdiesz.

Hal leży na płask na łóżku i patrzy w sufit.

– Mapy mówią co innego.

– Nie zabiera cię?

– Nie widzę drogi na Wybrzeże Północno-Zachodnie. – Chwila ciszy, a potem dodaje:
– Jej narzeczony uważa, że jestem „odpychający”.

Już chcę powiedzieć, że jako matka nie może przecież zostawić syna, ale przypominam sobie, że już raz jej go odebrano.

Hal odwraca się twarzą do grodzi. Czuję, jak statek unosi się i opada na powolnej, silnej fali.

– To nic – mówi. – Mam lepsze miejsca.

Następnego dnia rano w naszej grupie pojawia się kilka nowych twarzy, a kilku starych brakuje. Dzień wręczenia świadectw u każdego wypada kiedy indziej, więc populacja stale się zmienia. Zdarzają się serdeczne pożegnania, a kiedy indziej ktoś wychodzi po cichu. Wszystko zależy od tego, czego dana osoba sobie życzy.

– Mogą teleportować tu ludzi i tak samo ich zabierać – mówi mi chłopak o imieniu Raoul. – Sam widziałem.

Zamiast dyskutować z wyobrażeniem rzeczywistości Raoula, mówię mu tylko, że nie wolno mi rozmawiać z ludźmi mającymi w imieniu nadmiar następujących po sobie samogłosek.

Dziś na zajęciach grupowych Skye, która jest już blisko ułożenia swoich puzzli, wydaje się mniej wściekła niż zwykle.

– To wszystko ma swój powód – oświadcza grupie, szukając potwierdzenia u Carlyle’a. – Moja matka mówi, że Bóg nigdy nie daje nam niczego, z czym nie możemy sobie poradzić.

Na co Hal odpowiada:

– Twoja matka to kretynka.

– Halo! – parska Carlyle, po czym Hal zostaje wyrzucony z sesji.

Reguła numer jeden: obraźliwe uwagi są karane wcześniejszym usunięciem z zajęć. Chyba że właśnie na wcześniejszym usunięciu ci zależy. Wtedy to oczywiście żadna kara, a tylko miła korzyść uboczna bycia niegrzecznym.

– Caden – mówi Carlyle, szukając pośród skrajności kogoś umiarkowanego – co myślisz o tym, co powiedziała Skye?

– Kto, ja?

Spodziewam się, że powie coś złośliwego w stylu: „Nie, ten Caden, który chowa się w wentylacji”, ale on mówi tylko: „Tak, ty”, jakbym wcale nie grał na czas i naprawdę myślał, że zwraca się do Cadena w wentylacji. Carlyle bywa rozczarowująco nieskory do uszczypliwości.

– Nie sądzę, żeby dał nam to Bóg. Nie bardziej niż daje raka małym dzieciom albo pozwala biednym ludziom wygrać na loterii – odpowiadam. – Jeśli już, to daje nam odwagę, żeby sobie z tym radzić.

– A co z tymi, którzy sobie nie radzą? – pyta Raoul.

– To proste – odpowiadam z szeroko otwartymi, przepelnionymi smutkiem oczami i absolutnie kamienną twarzą. – Tych ludzi Bóg bardzo, bardzo nienawidzi.

Liczę, że i mnie Carlyle wyrzuci z grupy, ale nie mam tyle szczęścia.

Jeśli się nad tym zastanowić, z historycznego punktu widzenia postrzeganie walniętej chemii mózgu bywało równie dziwne i różnorodne jak jej objawy.

Gdybym urodził się Indianinem w innych czasach, być może okrzyknięto by mnie szamanem. Moje głosy uważano by za głosy przodków przekazujące mądrość. Traktowano by mnie z wielkim mistycznym szacunkiem.

Gdybym żył w czasach biblijnych, być może uznano by mnie za proroka, bo bądźmy szczerzy, są tylko dwie możliwości: albo prorocy rzeczywiście słyszeli Boga, który do nich przemawiał, albo byli chorzy umysłowo. Jestem pewien, że gdyby prawdziwy prorok objawił się dzisiaj, dostałby masę zastrzyków haldolu, aż w końcu otworzyłyby się niebiosa i ręka boska sprząłaby lekarzy na kwaśne jabłko.

W średniowieczu moi rodzice wezwaliby egzorcystę, bo nie ulegałoby wątpliwości, że opętały mnie złe duchy, a może nawet sam Diabeł.

Gdybym żył w Anglii z czasów Dickensa, wtrącono by mnie do Bedlam – „domu wariatów”, gdzie szaleńców więziono w niewyobrażalnych warunkach.

Życie w dwudziestym pierwszym wieku daje większe szanse na leczenie, ale czasem żałuję, że nie urodziłem się w czasach przedtechnologicznych. Wolałbym, żeby wszyscy myśleli, że jestem prorokiem, a nie biednym chorym dzieckiem.

Raoula, tego nowego, nawiedzają słynni martwi ludzie. Zwłaszcza Szekspir. Czy to duch, czy skutek podróży w czasie – co do tego nikt nie ma pewności.

– I co on mówi? – pytam, kiedy kręcimy się w pobliżu dyżurki pielęgniarek.

Raoul nagle robi się bardzo ostrożny.

– Daj mi spokój! – odpowiada. – Zaraz mi powiesz, że to nie jest prawdziwe, ale ja mam teorie, dobra? Mam teorie.

Odchodzi gniewnym krokiem, sądząc pewnie, że będę się z niego naśmiewał, ale ja się nie naśmiewam. Nabrałem ogromnego szacunku dla urojeń i/lub halucynacji – choć nie wiem, na które z nich cierpi Raoul. Czy widzi barda? Czy tylko go słyszy? A może myśli, że to ja jestem Szekspirem, kiedy z nim rozmawiam?

Był taki czas, zanim tu trafiłem, kiedy to wszystko wydawałoby mi się śmieszne. Kiedy byłem członkiem świata, a nie członkiem „klubu”. Świat wprost uwielbia śmiać się z absurdalności obłądu. Chyba bawi on ludzi właśnie dlatego, że to olbrzymie zniekształcenie czegoś bardzo znajomego. Na przykład w przypadku Raoula wiele hałasu o nic jest zasługą jego ojca, aktora szekspirowskiego, któremu się nie powiodło, więc zrezygnował z marzeń i prowadzi obóz teatralny dla dzieci z biednych rodzin.

Mam wyrzuty sumienia, że na zajęciach byłem wredny dla Raoula, więc teraz chcę być pomocny w najgorszy możliwy sposób. No bo co może być gorsze, niż kiedy ja próbuję komuś pomóc? Idę więc za nim do świetlicy, gdzie Skye pracuje nad puzzlami, a kilka innych osób ogląda film o gadającym psie – zupełnie jakby jeszcze tylko gadających psów brakowało w tej zupie w naszych głowach.

Raoul siada przy stole, a ja naprzeciwko niego.

– To tragedia czy komedia? – pytam.

Przesuwa krzesło, żeby odwrócić się do mnie tyłem, ale nie odchodzi, co oznacza, że teraz to już tylko poza. Chce się dowiedzieć, do czego zmierzam.

– Szekspir pisał tragedie i komedie. Kiedy do ciebie mówi, to jak myślisz, w której wtedy jesteś? – W rzeczywistości bard pisał też sonety miłosne, ale jeśli Szekspir recytuje Raoulowi sonety, to już zupełnie inny temat.

– No... nie wiem – mówi Raoul.

– Jeśli w tragedii – odpowiadam – przypomnij Szekspirovi o jego komicznej stronie. Rzuć mu wyzwanie, żeby cię rozśmieszył.

– Idź sobie! – rzuca, a kiedy nie odchodzi, dołącza do oglądających psa. Ale widzę, że wcale nie ogląda filmu, tylko myśli o tym, co powiedziałem. I właśnie o to mi chodziło.

Nie jestem Poirotem, ani nawet Carlyle'em; nie wiem, czy dałem mu dobrą radę, ale wydaje mi się, że światy, o które się ocieramy, bywają tak mroczne, że jeśli możemy zrobić cokolwiek, żeby je rozjaśnić, to na pewno dobrze, no nie?

Jestem już znieczulony na koszmary terapii grupowej. Na drastyczne szczegóły, łzawe wyznania, wściekłe tyrady. To tylko szum tła. Carlyle jest dobrym moderatorem. Stara się być tylko obserwatorem, pozwala nam rozmawiać między sobą, udziela rad i kieruje nami tylko wtedy, gdy musi.

Alexa prawie codziennie robi to samo. Gdy tylko dochodzi do głosu, zachowuje się, jakby okupowała mównicę w parlamencie – zwłaszcza jeśli w grupie jest ktoś świeży. Od początku przeżywa koszmary, na które naraził ją przyrodni brat, oraz to, co czuła, podryzując sobie gardło – używa tylko innych słów, w inny sposób wprowadza w temat, żeby nas nabrać, że zmierza do czegoś nowego.

Czy to z mojej strony nieczułe, że chcę, żeby przestała? Czy to okrutne, że mam ochotę wrzasnąć, żeby zamknęła mordę, kiedy słyszę tę samą historię po raz tysięczny? Uświadamiam sobie, że dziś czuję się trochę czystszy niż zwykle. Trochę bardziej wygadany. Potrafię składać myśli. Może nie potrwa to długo, ale zamierzam użyć tej zdolności, dopóki ją mam.

W dzisiejszej wersji Alexa stoi przed lustrem, patrzy sobie głęboko w oczy, stwierdza, że nie ma w nich nic, co warto ratować, ale zanim podniesie do gardła szwajcarski szczyrzyk, krzycze:

– Przepraszam, ale ja już widziałem ten film!

Wszyscy na mnie patrzą.

– Uwaga, spoiler – mówię dalej. – Dziewczyna próbuje się zabić, ale przeżywa, a ten gnojek, jej przyrodni brat zwiewa, znikając z życia wszystkich zainteresowanych. Pierwsze kilka razy to był niezły wyciskacz łez, ale teraz to już starość, nawet jak na kablówkę.

– Caden – odzywa się ostrożnie Carlyle, jakby próbował zdecydować, czy przeciąć żółty, czy niebieski drucik w bombie. – To było trochę okrutne, chłopie.

– Nie, to było szczere – odpowiadam. – Czy nie powinniśmy tutaj być szczerzy? – Potem znowu odwracam się do Alexy, która wpatruje się we mnie, być może przerażona tym, co nastąpi za chwilę. – Za każdym razem, kiedy od nowa to przeżywasz, jest tak, jakby on znowu ci to robił – mówię jej. – Ale teraz to już nawet nie jest on. To ty. Teraz to ty robisz z siebie jego ofiarę.

– Aha, więc powinnam o tym po prostu zapomnieć? – W jej oczach zbierają się łzy, ale dzisiaj nie mam współczucia.

– Nie, nie zapominaj o tym nigdy – odpowiadam. – Ale musisz to przepracować i iść dalej. Żyć swoim życiem, bo jak nie, to będzie znaczyło, że odebrał ci też przyszłość.

– Jesteś podły! – krzyczy na mnie. – Nienawidzę cię! – Potem ukrywa twarz w dłoniach i zaczyna łkać.

– Yy... wydaje mi się, że Caden ma rację – odzywa się nieśmiało Raoul. Hal kiwa głową z aprobatą, Skye patrzy w lewo, jakby miała to gdzieś, a reszta po prostu wpatruje się w Carlyle'a i jest zbyt wystraszona albo zbyt nafaszerowana lekami, żeby mieć własne zdanie.

Carlyle, wciąż niezdecydowany, który drucik przeciąć, mówi ostrożnie:

– Cóż, Alexa ma prawo czuć to, co czuje...

– No właśnie! – mówi Alexa.

– ...ale być może Caden ma rację w szerszej perspektywie, nad którą wszyscy powinniśmy się zastanowić. – Potem pyta, co „iść dalej” oznacza dla każdego z nas, i spokojna rozmowa trwa. Chociaż jestem przekonany do tego, co powiedziałem, cieszę się, że przeciął właściwy drucik.

Po zakończeniu sesji Carlyle woła mnie do siebie. Wiem, o co chodzi. Zrobi mi wykład o moim zachowaniu na zajęciach. Może nawet zagrozi, że powie o tym Poirotowi.

Dlatego jestem w szoku, kiedy mówi:

– Pokazałeś dużą przenikliwość. – Potem, na widok mojego zaskoczenia, dodaje: – Słuchaj, ja tylko mówię, jak jest. Może nie ująłeś tego w najlepszy sposób, ale Alexa potrzebowała to usłyszeć, nawet jeśli nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Jasne, a teraz mnie nienawidzi.

– Nie przejmuj się – mówi Carlyle. – Kiedy prawda boli, zawsze nienawidzi się postać.

Potem pyta mnie, czy znam swoją diagnozę – bo przekazanie jej lekarze zawsze zostawiają rodzicom. Moi rodzice rzucili kilka haseł o chorobie umysłowej, ale tylko bardzo ogólnie.

– Nikt mi nic nie mówi – przyznaję w końcu. – Przynajmniej nie oficjalnie, prosto w twarz.

– Mhm, na początku tak jest. Głównie dlatego, że diagnozy się zmieniają, ale i dlatego, że same słowa niosą ze sobą ogromny bagaż. Wiesz, co mam na myśli?

Wiem dokładnie. Przypadkiem usłyszałem, jak Poirot rozmawiał z moimi rodzicami. Używał słów takich jak „psychoza” i „schizofreniczna”. Słów, które ludzie muszą wypowiadać szeptem albo w ogóle ich nie powtarzać. Choroba Umysłowa, Której Nazwy Nie Wolno Wymawiać.

– Słyszałem, jak rodzice mówili „dwubiegunówka”, ale to pewnie tylko dlatego, że lepiej brzmi.

Kiwa głową ze zrozumieniem.

– Do kitu, co?

Śmieję się, kiedy to mówi. Fajnie, że ktoś ujął to tak bezpośrednio.

– Gdzie tam, to jak spacer w parku – odpowiadam. – Pod warunkiem że ten park to Yellowstone, a gejzer Old Faithful tłoczy ci gorącą parę w tyłek.

Teraz to on się śmieje.

– Skoro znów masz poczucie humoru, to znaczy, że leki działają.

– To fuks – mówię.

Uśmiecha się.

– Z czasem będziesz miał takiego fuksa coraz częściej.

– Fuksem to można zobaczyć wieloryba na płytkiej wodzie – stwierdzam.

– Albo delfina – dodaje.

I to przenosi mnie pod ścianę w pokoju Mackenzie. Zaczynam się zastanawiać, czy została już zamalowana, żeby wymazać wszystkie ślady mojej choroby. Bądź co bądź,

delfiny samurajów można uznać za przejaw psychozy.

Siedzę w Salonie Vista i rysuję, a Callie patrzy przez okno. Tak spędzamy wolny czas, którego zresztą mamy niewiele. Dzisiaj męczą mnie kłopoty z żołądkiem. Gazy, niestrawność albo coś takiego. Bycie tutaj z Callie sprawia, że ten dyskomfort zdaje się nieistotny. Przez duże okno widokowe ciepło ucieka w zachmurzony dzień, dlatego w salonie jest chłodno, a ja nie mogę ogrzać Callie w ciągu dnia, kiedy wszyscy patrzą. Wyobrażam sobie, że przychodzi każdej nocy, żeby pożyczać ode mnie ciepło – ale chyba zdarzyło się to tylko raz. Mimo to w tym jednym przypadku chętnie wierzę swojej wyobraźni.

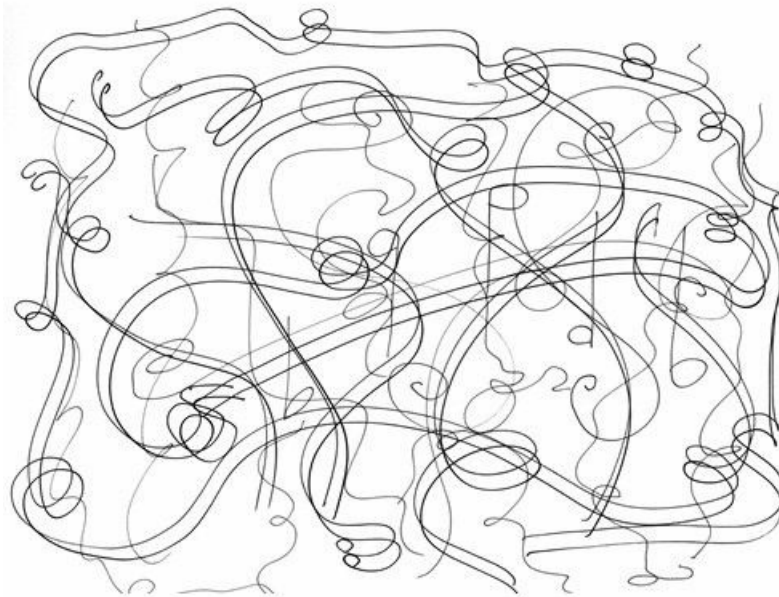
W Salonie Vista z głośników wbudowanych w sufit, żebyśmy nie mogli ich wyrwać, leci bezbarwny muzak. Przytłumione instrumenty dęte brzmią jak mowa dorosłych w *Fistaszkach*. Bua-ua-ua. Bua-mua-ua-ua. Tutaj nawet melodie są na silnych lekach.

Callie zerka na mój szkicownik.

– Rysujesz inaczej, niż zanim zachorowałeś, prawda?

Dziwię się, że o tym wie, ale może nie powinienem. Mam wrażenie, że znamy się znacznie dłużej niż w rzeczywistości.

– Ja już nie „rysuję” – mówię jej. – Ostatnio po prostu wypycham rzeczy z głowy.



Uśmiecha się szeroko.

– Mam nadzieję, że jak już skończysz, coś w niej jeszcze zostanie.

– No, ja też.

Potem delikatnie łapie mnie za ramię.

– Chcę się przejść – mówi. – Przejdziesz się ze mną?

To z jej strony nowa prośba. Kiedy już ustawi się przed oknem w Salonie Vista, rzadko stamtąd odchodzi, zanim ktoś jej nie zmusi.

– Jesteś pewna? – pytam.

– Tak – odpowiada. A potem jeszcze raz: – Tak, jestem pewna – jakby musiała to powtórzyć, żeby przekonać samą siebie.

Wychodzimy na korytarz i idziemy – staromodna przechadzka pod rękę, wbrew zasadzie o braku kontaktu. Nikt nas nie zatrzymuje.

Nasz oddział zaprojektowano na planie owalu. „Jak wielkie zero”, zauważył kiedyś Hal, dostrzegając w tym głębokie znaczenie. Tutaj można chodzić po korytarzu, ciągle nie zawracając, bo kiedy już ruszysz, nigdy nie docierasz do końca. Dziś odmierzam okrążenia, licząc, ile razy mijamy dyżurkę pielęgniarek, ale szybko tracę rachubę.

– Nie chcesz wrócić do okna? – pytam Callie. Nie dlatego, że ja chcę, ale myślę, że ona może tego potrzebować.

– Nie – mówi. – Dzisiaj nie ma tam już nic do oglądania.

– Ale...

Odwraca się do mnie, czeka, aż dokończę. Chciałbym, ale nie mam pojęcia, co miało nastąpić po tym „ale”. Wobec tego odprowadzam ją do jej pokoju.

– Powinieneś skończyć rysunek – mówi. – Chcę go zobaczyć, kiedy będzie gotowy.

Ponieważ szkicowałem tylko impresje ze słuchania muzaka, skończony produkt interesuje mnie mniej niż ją.

– Jasne – odpowiadam. – Pokażę ci.

Nasze rozmowy nigdy nie są tak niezręczne. Nawet kiedy nic nie mówimy, jest mniej niezręcznie niż teraz. Burczy mi w brzuchu i zaczyna boleć. Jakby to było echo tego skrępowania między nami. W końcu Callie zdradza mi, co ją dręczy.

– Martwię się – mówi. – Martwię się, że nie uwolnimy się nawzajem.

Nie jestem pewien, czy rozumiem, o co jej chodzi, ale i tak mnie to niepokoi.

– To nie zależy od nas. To Poirot decyduje.

Callie kręci głową.

– Poirot tylko podpisuje papiery.

Stoimy przy drzwiach jej pokoju. Mija nas pan Wściekłe Ramiona Śmierci, rzucając spojrzenie w stylu „mam was na oku”.

– Wyjdziemy stąd – mówi mi Callie – ale nie wyjdziemy razem. Jedno z nas zostanie z tyłu.

I chociaż nie chcę o tym myśleć, wiem, że to prawda. Surowa rzeczywistość pośród surowej nierzeczywistości.

– Musimy sobie obiecać, że uwolnimy się nawzajem, kiedy przyjdzie czas – mówi. – Ja obiecuję... A ty?

– Tak – odpowiadam jej. – Ja też obiecuję. – Ale wiem, że łatwiej to powiedzieć niż zrobić. I myślę sobie, że jeśli myśli są warte centa, to o ile mniej muszą być warte obietnice. Zwłaszcza takie, które pewnie złamiemy.

Mój brzuch to morze, burzy się i pieni od mrocznych kwasów i wrogich zamiarów. Wewnętrzny dyskomfort zmienił się w czyste cierpienie. Tak jak w moim brzuchu huczy od nieprzyjemnych gazów, tak samo huczy ocean pod kadłubem naszego statku.

– Głębinowy Wąż nas śledzi – mówi mi nawigator. – Jak niektórzy czują w stawach, że idzie na deszcz, tak ty czujesz w jelitach tego parszywy stwora. – Potem podchodzi do jednej ze swoich map nieistniejącego świata i podnosi ołówek, którego nie powinien mieć w naszej kajucie. – Powiedz, gdzie czujesz węża, a ja wytyczę taki kurs, żeby go zmylić.

Pokazuję miejsca, gdzie bulgocze i boli, burzy się i ciągnie. Nawigator tłumaczy, co mówią moje wściekłe jelita, i z chłodną precyzją rysuje na swojej mapie gęsty spłot linii – trasę przecinającą się raz za razem w każdym kierunku, tylko nie na wprost. Potem biegnie z tą mapą do kapitana.

– To doskonały ból – zapewnia mnie kapitan, gdy przychodzi sprawdzić, jak się czuję. – Zawsze kieruj się tym, co czujesz w trzewiach, a nigdy nie zbłądzisz.

Pielęgniarka mówi, że to nie jest zatrucie pokarmowe, bo nie zachorował nikt oprócz mnie. Podejrzewam, że to przez bakłażana z parmezanem, którego przywiozła mi mama. Przemyciła go, bo nam nie wolno dostawać jedzenia z zewnątrz. Schowałem go w szafie i zapomniałem o nim, a potem go znalazłem i zjadłem następnego dnia. Najlepszy argument za korzystaniem z lodówki. Za bardzo się wstydzę, żeby powiedzieć komukolwiek, że potworne świdrowanie w brzuchu to wina mojej głupoty – chociaż Hal wie, bo widział, jak chowałem talerz. Ale on nikomu nie powie. Nic już nie mówi ani pastelowym, ani lekarzom, ani Carlyle’owi. Z bólu ledwo mogę się ruszać, rzucam się tylko tam i z powrotem na łóżku. Pastelowi dają mi lekarstwo, które zupełnie nie pomaga. To tak, jakby pożar lasu chcieć ugasić pistoletem na wodę.

Jęczę głośno. Hal podnosi wzrok znad swojego porąbanego atlasu i mówi:

– Czy myślałeś o tym, że to mogło być celowe? Może twoi rodzice cię otruli.

– Wow, dzięki, Hal, właśnie to potrzebowałem usłyszeć.

Prawda jest taka, że już o tym myślałem, ale kiedy słyszę, jak on mówi to na głos, podejrzenie staje się o wiele bardziej realne, i to mnie wkurza. Jakbym sam z siebie miał jeszcze za małą paranoję.

Wzrusza ramionami.

– Chcę ci tylko dać szerszą perspektywę, inwektywę, interwencję, konsekwencję. Jeżeli w konsekwencji zejdziesz, urządzę ci salwę honorową z dwudziestu jeden dział, ale to twoi bliscy będą musieli dostarczyć te działa.

Znowu jestem przykuty do stołu w Plastikowej Białej Kuchni. Jestem na tyle świadomy, żeby wiedzieć, że to sen. Na tyle świadomy, żeby wiedzieć, że nawet przez sen brzuch nie daje mi ani trochę spokoju.

Są tam potwory w maskach, które wyglądają zupełnie jak moi rodzice.

A teraz jest także stwór o twarzy Mackenzie. Jej maska przypomina połączenie mojej siostry z postacią z *Krzyku* Edvarda Muncha; blond włosy i przerażone wyjące usta – chociaż spod maski słyszę śmiech.

Cała trójka przyciska swoje spiczaste wolkańskie uszy do mojego wydętego brzucha, a mój brzuch przemawia do nich demonicznym gardłowym warkotem, jakby sam Szatan wykupił w moich jelitach dom na współwłasność. Słuchają, kiwają głowami, odpowiadają na pytania w tym samym gardłowym języku.

– Rozumiemy – mówią. – Zrobimy, co zrobić należy.

Potem parszywa istota zamieszkująca mój brzuch zaczyna się wygrzebywać na zewnątrz.

Morze hušta równymi, nieustającymi falami. Śpiwór jest pode mną mokry. Zmatowiały bladozielony miedziany sufit ocieka od skroplonej pary.

Kapitan stoi nade mną i patrzy z góry. Ocenia mnie zdrowym okiem.

– Witaj z powrotem, chłopaku – mówi. – Myśleliśmy, że już po tobie.

– Co się stało? – chrypię.

– Zostałeś przeciągnięty pod kilem. Zabrano w środku nocy z kajuty, wyprowadzony na pokład, przewrócony na lewą stronę, a potem przywiązany do liny i wyrzucony za burtę.

Nie pamiętam tych wydarzeń, dopóki o nich nie mówi – jakby same jego słowa były moim wspomnieniem.

– Ktoś miał dość słuchania, jak jęczysz o swoim brzuchu, więc ci go przeczyścili, wystawiając twoje wnętrzności na działanie morza, a ciebie przeciągając po obrośniętym muszlami kilu i potem drugą stroną na górę. Cokolwiek powodowało bóle, z pewnością zostało zdrapane.

Kiedy to mówi, czuję każdą muszlę. Czuję, jak palą mnie płuca, kiedy walczą o tlen, którego już nie ma. Wrzeszczę bezgłośnie w ton, potem nabieram do płuc zabójczej wody morskiej, potem tracę przytomność.

– Niejeden marynarz od tego umiera albo jest okaleczony na całe życie – mówi mi kapitan. – Ale ty, widać, dobrze to zniosłeś.

– Czy wciąż jestem wywrócony na lewą stronę? – pytam słabo.

– Raczej nie. Chyba że twoje wnętrzności są łudzaco podobne do tego, co masz na zewnątrz.

– To było z pana rozkazu?

Wygląda na urażonego.

– Gdyby to było z mojego rozkazu, moją twarz zobaczyłbyś jako ostatnią, zanim poszedłeś pod wodę, i jako pierwszą po powrocie na pokład. Zawsze przyznaję się do swoich aktów przemocy. Inaczej byłbym tchórzem.

Nawigatorowi, który obserwuje nas ze swojej koi, kapitan każe przynieść mi wody. Po jego wyjściu przykłęka obok mnie i szepce:

– Dobrze mnie posłuchaj. Ci, którzy wydają się przyjaciółmi, wcale nimi nie są. Ci, którzy wydają się jednym, są drugim. Niebieskie niebo może być pomarańczowe, góra może się przebrać za dół, a ktoś zawsze próbuje zatruć posiłek. Łapiesz?

– Nie – odpowiadam.

– Dobrze. Uczysz się. – Rozgląda się, żeby mieć pewność, że wciąż nikt nas nie obserwuje. – Miałeś co do tego podejrzenia już od pewnego czasu, prawda?

Łapię się na tym, że kiwam głową, chociaż nie chcę tego przyznać.

– Powiem ci teraz, że twoje obawy są uzasadnione. To wszystko prawda. Istnieją siły, które obserwują cię w każdej minucie każdego dnia, knują przeciwko tobie. Przeciwno nam. – Łapie mnie za ramię. – Nie ufaj nikomu na tym statku. Nie ufaj nikomu poza tym statkiem.

– A panu? – pytam. – Czy panu mogę ufać?

– Czy w „nie ufaj nikomu” jest coś niejasnego?

Potem wraca nawigator z kubkiem wody, a kapitan wylewa ją na podłogę, bo nawet nawigator nie jest poza podejrzeniem.

Moje bóle w jelitach mijają, co dowodzi, że chodziło tylko o zepsutego bakłażana. Poirot nazwałby zwycięstwem to, że zrozumiałem, że rodzice wcale nie chcieli mnie otruć. Że zrozumiałem, że takie poczucie to tylko paranoja.

– Im częściej potrafisz nie wierzyć w rzeczy, w które twoja choroba chce, żebyś wierzył, tym szybciej wyzdrowiejesz dostatecznie, żeby wrócić do domu.

Nie rozumie, że chociaż jakaś część mnie zaczęła wyczuwać, które rzeczy mogą być urojeniem, inna nie ma wyboru i musi w nie wierzyć. W tej chwili hipoteza zatrutego bakłażana wydaje mi się bardzo mało prawdopodobna. Ale jutro mogę wrzeszczeć, że rodzice próbują mnie zabić, i będę w to wierzył całkowicie, tak jak wierzę, że ziemia jest okrągła. A jeśli nagle przyjdzie mi do głowy, że jest płaska, w to też będę wierzył.

Jedynym stabilnym punktem jest dla mnie Callie, ale zaczyna mnie martwić. Nie tym, że jej się pogarsza, ale że się polepsza. Nie spędza już tyle czasu przy oknie w Salonie Vista. Ten brak zachowań obsesyjnych może skusić Poirota, żeby wysłać ją do domu.

Tej nocy zmawiam okropną modlitwę. Taką, która mogłaby mnie skazać na potępienie, gdybym wierzył w takie rzeczy, i być może wierzę, a być może nie. Decyzja jeszcze nie zapadła.

– Proszę, Callie, pozostań popsuta – modlę się. – Pozostań popsuta tak długo jak ja.

Wiem, że to egoistyczne, ale nic mnie nie obchodzi. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym nie widzieć jej uśmiechu. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym jej nie ogrzewać. Bez względu na to, co jej obiecałem, nie wyobrażam sobie, że mógłbym być tutaj bez niej.

Moi rodzice po raz pierwszy biorą w odwiedziny Mackenzie. Wiem, dlaczego nie zrobili tego wcześniej. Bo czasami bywam straszny. Może w inny sposób, niż byłem w domu, ale i tak straszny. No i jeszcze cała reszta. Mackenzie jest twarda, ale oddział psychiatryczny pełen młodych ludzi to nie miejsce dla młodej osoby.

Rodzice zapowiedzieli mi, że ją przywiozą mimo swoich wątpliwości.

– Jest przekonana, że sprawy mają się dużo gorzej niż w rzeczywistości – powiedziała mi mama. – Wiesz, jaką ma wyobraźnię. No i dobrze, żebyście się zobaczyli. Doktor Poirot też jest tego zdania.

Tak więc pewnego dnia podczas wizyt, kiedy pastelowi prowadzą do świetlicy tych z nas, którzy mają gości, zastaję ją siedzącą przy stole z rodzicami.

Waham się, kiedy ją widzę, bo całkiem zapomniałem, że przyjedzie. Zupełnie jakbym się bał, że jeśli podejść za blisko, to ją popsuję. Nie chcę jej popsuć i nie chcę, żeby oglądała mnie w takim stanie. Ale jest pora odwiedzin. Od pory odwiedzin nie da się uciec. Ostrożnie zbliżam się do rodziny.

– Cześć, Caden.

– Cześć, Mackenzie.

– Dobrze wyglądasz. Oprócz tej szopy na głowie.

– Ty też dobrze wyglądasz.

Mój ojciec wstaje i wysuwa jedyne krzesło przy tym stole, na którym nikt nie siedzi.

– Caden, może usiądziesz.

Robię, co mówi. Siadam i staram się, jak mogę, żeby nie podskakiwały mi kolana, ale udaje mi się tylko wtedy, gdy całkowicie się na tym skupiam. Ale gdy całkowicie się na tym skupiam, gubię tok rozmowy. Nie chcę go gubić. Chcę błyszczeć przed Mackenzie. Chcę sprawiać wrażenie, że wszystko w porządku. Chyba mi się nie udaje.

Usta Mackenzie poruszają się, a w jej oczach są jakieś emocje. Wychwytyuję końcówkę tego, co mówi.

– ...i te matki od tańca prawie sobie powydłubywały oczy, więc mama, która totalnie nie jest jedną z nich, znalazła mi spokojniejsze studio tańca, gdzie nie ma psycholi. – Potem spuszcza wzrok i trochę się czerwieni. – Przepraszam. Nie chciałam tego powiedzieć.

W tej chwili w ogóle niewiele czuję, ale gdybym mógł, czułbym się źle, bo ona czuje się źle – więc mówię:

– Wiesz, są *psychole* i *psychole*. Na Syndrom Matki od Tańca nie ma lekarstwa. Może poza cyjankiem.

Mackenzie chichocze. Moich rodziców to nie bawi.

– Mackenzie, tutaj po prostu nie używamy tego słowa – mówi mama. – Tak samo jak tego na „Ś”.

– Ślepowron – mówię. – Bo doktor ma tylko jedno oko.

Mackenzie znowu chichocze.

– Teraz to zmyślasz.

– Właśnie nie – odzywa się tata z dziwną dumą. – Drugie oko doktora jest szklane.

– Za to oba jego skrzydła są zdrowe – mówię. – Ale nie ma dokąd lecieć.

– Może w coś zagramy? – rzuca prędko mama.

Ostatnia gra, którą pamiętam, to gra w *Apples to Apples*, kiedy przyjechała Shelby. Albo może Max? Nie, chyba Shelby. Chociaż znam zasady, wtedy mnie przerastały. Są dosyć proste: ktoś kładzie kartę z przymiotnikiem, na przykład „niezręczny”, a wszyscy inni muszą dołożyć rzeczownik, który najlepiej pasuje. Wykładanie absurdalnych kart działa tylko wtedy, gdy się ironizuje, a nie kiedy jest się na lekach. Ostatnio karty, które zagrywałem, chyba sprawiały, że wszystkim innym było bardzo smutno.

Ponieważ jednak wszyscy odwiedzający zajęli się już rozgrywkami, na półce zostało tylko *Apples to Apples*, więc Mackenzie sięga po tę grę, nieświadoma jej okropnej historii.

– Mam pomysł – mówi mama, kiedy Mackenzie siada przy stole z pudełkiem. – Może z tych kart do gry zbudujemy domek?

Mackenzie zaczyna protestować, ale tata wybałusza oczy i rzuca jej spojrzenie w stylu „nie dyskutuj, wytłumaczymy później”.

Uśmiecham się na myśl o domku z kart, bo dostrzegam ironię, której oni nie widzą. Papuga nazwałaby to dobrym znakiem. Radziłaby, żebym mimo wszystko spróbował zagrać. Właśnie dlatego tego nie robię.

Tata ze skupieniem godnym inżyniera zaczyna budować podstawę mostu. Każde z nas kolejno dokłada karty. Nie udaje nam się przekroczyć bariery dziesięciu kart, nim całość się sypie. Cztery próby. Za czwartym razem dajemy radę zejść nieco dalej, układamy drugi poziom, a potem wszystko się wali.

– No cóż – mówi mama.

– To niełatwe zadanie, nawet kiedy morze jest spokojne – zauważam.

Mama i tata jednocześnie próbują znowu zmienić temat, ale Mackenzie im nie pozwala.

– Jakie morze? – pyta.

– Co jakie morze? – odpowiadam.

– Mówiłeś o spokojnym morzu.

– Naprawdę?

– Mackenzie... – zaczyna tata, ale mama lekko dotyka jego ramienia, żeby go powstrzymać.

– Niech odpowie – mówi cicho.

Nagle czuję się bardzo, bardzo niezręcznie. Skrępowany i zawstydzony. Jakbym na randce został przyłapany z palcem w nosie. Odwracam się, patrzę przez okno, widzę pofałdowane wzgórza świeżo skoszonej trawy. To mnie sprowadza na ziemię. Nawet jeśli tylko na chwilę. Tak czy inaczej kapitan musi gdzieś tu być i słuchać każdego mojego słowa.

– Tak... czasem jest – mówię Mackenzie. To jedyne, co potrafię powiedzieć, żeby nie implodować.

– Rozumiem – odpowiada Mackenzie.

Potem wyciąga rękę i kładzie ją na mojej dłoni. Wciąż nie umiem spojrzeć

bezpośrednio na nią, więc patrzę na jej rękę.

– Pamiętasz, kiedy w Boże Narodzenie budowaliśmy forty z kartonów? – pyta.

Uśmiecham się.

– No. Fajnie było.

– Wiesz, te forty były takie prawdziwe, chociaż wcale nie były.

Przez moment nikt nic nie mówi.

– Czy teraz jest Boże Narodzenie? – pytam.

Tata wzdycha.

– Caden, jest prawie lato.

– Aha.

Mama ma łzy w oczach i zastanawiam się, co zrobiłem, żeby doprowadzić ją do płaczu.

Jest późne popołudnie. Słońce prawie zachodzi. Wisząc nisko nad horyzontem, rzuca na morze hipnotyczny refleks. Nasze żagle wydyma jednostajny wiatr, gdy bez wytchnienia płyniemy na zachód. O ile rzeczywiście słońce wciąż zachodzi właśnie tam.

Stoję na pokładzie z Carlyle'em. Podaje mi mopa i pozwala wykonać trochę jego brudnej roboty.

– Coś mi mówi, że kapitan by tego nie pochwalił – stwierdzam. – Ani papuga.

Na temat kapitana zdaje się nie mieć zdania, ale o papudze mówi:

– Ten ptak widzi wszystko. Dawno przestałem mieć przed nim tajemnice.

– No to... po czyjej jesteś stronie?

Carlyle uśmiecha się, a potem wylewa trochę wody z wiadra, żebym miał czym szorować.

– Po twojej. – Przygląda mi się, a potem mówi: – Przypominasz mi mnie, kiedy byłem na twoim miejscu.

– Jak to?

– No tak. – Zamyka laptopa, żeby poświęcić mi całą uwagę. W świetlicy są z nami inni, ale głównie oglądają telewizję. Tylko my rozmawiamy. – Szczęściarz z ciebie. Ja też miałem piętnaście lat, kiedy nastąpił mój pierwszy epizod, ale ja trafiłem w mniej miłe miejsce.

– Jak to? – powtarzam.

– Najpierw myśleli, że to choroba dwubiegunowa typu pierwszego, ale kiedy urojenia były coraz bardziej psychotyczne i zacząłem mieć halucynacje słuchowe, zmienili diagnozę na zaburzenie schizoafektywne.

Wypowiada te słowa bez szeptania. Wypowiada je bez strachliwej wagi, jaką nadają im ludzie z zewnątrz. Myśl, że Carlyle jest jednym z nas, niepokoi mnie, bo może on kłamać? Może zmyśla, żeby namieszać mi w głowie? Nie. To tylko paranoja. Tak powiedziałby Poirot i miałby rację.

Carlyle wyjaśnia, że zaburzenie schizoafektywne to skrzyżowanie choroby dwubiegunowej ze schizofrenią.

– Powinni to nazywać trójbiegunówką – mówi. – Bo najpierw masz stany maniackalne, myślisz, że jesteś królem wszechświata, a potem zupełnie odpływasz: widzisz różne rzeczy, słyszysz je, wierzysz w rzeczy, które nie są prawdziwe. I wtedy, po dojsciu do siebie, wpadasz w depresję, gdy uświadamiasz sobie, gdzie byłeś.

– I pozwolili panu tu pracować?

– Nic mi nie jest, pod warunkiem że biorę leki. Nauczyłem się tego w bolesny sposób, ale się nauczyłem. Zresztą formalnie wcale tu nie pracuję. Jestem wolontariuszem w czasie wolnym. Uznałem, że skoro już to mam, no i dyplom z psychologii, mogę zrobić z nich użytek.

Trudno mi to wszystko ogarnąć.

– To co pan robi, kiedy nie sprząta pan naszego mentalnego syfu?

Wskazuje na laptopa.

– Pracuję w firmie software'owej. Projektuję gry.

– Bez jaj.

– Słuchaj, leki mogą przytłumić wyobraźnię, ale jej nie zabijają.

Jestem zaskoczony, wręcz podniecony. Kiedy rozglądam się po pokładzie, inni członkowie załogi zajęci są zadaniami, które przydzielił im kapitan, albo po prostu kręcą się po statku. Jest piękny zachód słońca, pełen praktycznie wszystkich barw tęczy.

Carlyle wyżyma mopa, a potem rozgląda się zadowolony z czystości na pokładzie.

– Tak czy siak – mówi – to, że rejs jest długi, nie znaczy jeszcze, że będziesz płynął tym statkiem wiecznie.

Zostawia mnie z tą myślą i schodzi pod pokład. Dopiero gdy mnie opuszcza, dostrzegam kapitana. Stoi za sterem, w miejscu, skąd najbardziej lubi oglądać z góry resztę statku – a w tej chwili patrzy wprost na mnie świdrującym spojrzeniem jednego oka, które, niczym kwas, mogłoby rozpuścić mnie całkowicie.

Natura – naturalna czy też nie – uwalnia swój gniew, kiedy w końcu wpływamy w niespokojne wiatry nieruchomego frontu burzowego. Dotychczas na niebie uporczywie trwał dzień, a teraz w jednej chwili nastaje taki zmierzch, jakby nadszedł koniec świata. Statek kołysze się i podskakuje niczym korek. Wszędzie wkoło migają błyskawice, a pioruny uderzają po niecałej sekundzie.

Stoję na pokładzie, nie wiedząc, co robić, i patrzę, jak żagle drą się i zasklepiają, drą się i zasklepiają, blizny na materiale stają się tak grube jak sznury drabinek. Zastanawiam się, ile są w stanie wytrzymać, zanim pękną na dobre. Kapitan wyszczekuje rozkazy do krzątających się marynarzy, którzy wylewają się z głównego włazu niczym mrówki z tonącego mrowiska. Myślę sobie, że powinni biec w przeciwną stronę. Lepiej być na dole niż na pokładzie, gdzie fala może ich zmyć za burtę, możliwe jednak, że bardziej boją się gniewu kapitana niż gniewu niebios.

– Zrzucić żagle! – rozkazuje kapitan. – Zabezpieczyć takielunek! – Kopie jednego z marynarzy w tyłek. – Szybciej! Chcesz, żebyśmy stracili maszt?

Sztorm majaczył na horyzoncie przez ponad tydzień – było dość czasu, żeby przygotować statek na jego atak, ale kapitan wolał nic nie robić, trzymając się wyjątkowej filozofii.

„Działania zapobiegawcze zabijają spontaniczność – mówił. – Wolę chwalebny heroizm pośród paniki”.

No to teraz ma panikę. Czy heroizm uratuje sytuację, to się jeszcze okaże.

Kapitan widzi mnie, stojącego bez żadnych konkretnych rozkazów.

– Bierz ster! – mówi mi, wskazując górny pokład. – Kieruj nas w fale!

Jestem w szoku, że poprosił mnie o pokierowanie statkiem.

– W fale?! – powtarzam, nie wiedząc, czy dobrze usłyszałem.

– Rób, co mówię! – krzyczy kapitan. – Te fale jak nic mają z dziesięć metrów. Jeśli uderzą nas z boku, możemy się wywrócić, a ja wolę pływać po oceanie masztem do góry.

Skaczę po trzy schodki naraz, doskakuję do steru, chwytam go i próbuję szarpnąć. Papuga sfruwa z góry, mija mnie i coś skrzeczy, ale zagłuszają to pioruny i huk fal.

Wreszcie udaje mi się poruszyć uparte koło sterowe, ciągnę je, ale za późno. Fala uderza w nas pod kątem, przelewa się przez dziób od strony sterburty. Woda rzuca marynarzami po pokładzie, chwytają się, czego tylko mogą.

W końcu statek robi zwrot, rzuca wyzwanie morzu. Dziób opada w dolinę, a wtedy fala uderza w nas od przodu. Myślę o Kaliope i o tym, jak ona to znosi. Czy fale smagają ją tak, jak smagają nas wszystkich? Jeśli czuje wszystko, to czy czuje ból statku, który próbuje się nie rozpaść?

Spieniona woda zalewa pokład, a potem się cofa, pozostawiając marynarzy krztuszących się i łapiących powietrze. Nie mam pojęcia, czy kogoś zabrało morze.

Nagle czuję ból w ramieniu. Papuga zawróciła i wylądowała na mnie, mocno wbijając pazury, żeby nie porwał jej wiatr.

– Już czas, już czas – mówi. – Musisz się pozbyć kapitana.

– Co? W samym środku tego wszystkiego?

– Zabij go – nalega ptak. – Wyrzuć go za burtę. Powiemy, że zaginął na morzu, a ty będziesz od niego wolny.

Wciąż jednak nie jestem pewien, po czyjej stronie się opowiedzieć, a zresztą w tej chwili bardziej interesuje mnie ratowanie własnego życia niż zakończenie cudzego.

– Nie! Nie mogę!

– To on jest przyczyną sztormu! – krzyczy papuga. – To on oderwał cię od twojego życia! Wszystko zaczyna się od niego i na nim się kończy! Musisz to zrobić! Musisz! – Potem podmuch wiatru zrywa ją z mojego ramienia.

Nie mam czasu zastanawiać się nad tym, czy kłamie, czy mówi prawdę. Uderza w nas kolejna fala. Tym razem zostaje zrzucony zza steru i ciśnięty na główny pokład, stając się jednym z wielu szarpiących się ludzi, którzy próbują oprzeć się morzu.

Kiedy podnoszę wzrok, widzę coś, co woda wniosła na pokład: stworzenie patrzące na mnie z bomu grotzagli. Ma koński pysk z rozdętymi nozdrzami i złymi czerwonymi oczami. To koń – ale nie ma zadu. W ogóle nie ma nóg, tylko chwytny ogon owinięty wokół bomu. To konik morski rozmiarów człowieka, z twardymi kościstymi kolcami wzdłuż całego ciała.

– Grzywoklacz! – krzyczy ktoś.

Potem kapitan wskakuje na bom i jednym płynnym ruchem podrzyna tej istocie gardło. Pada martwa u moich stóp, jej oczy gasną.

– Powinienem był wiedzieć – mówi kapitan. – Jesteśmy na Szlaku Grzywoklaczy. – Potem każe mi wracać za ster. – Nowy plan – rzuca. – Tyłem do fal.

– Odwrót? – woła nawigator przez okno sali map. – Z moich map wynika, że musimy tędy przepłynąć.

– Nic nie mówiłem o odwrocie! To pojedynek, a pojedynki zaczyna się plecami do siebie.

Gdy znowu jestem za sterem, pcham go w bok, a resztę robią fale. Z łatwością obracamy się o sto osiemdziesiąt stopni.

Wiem, że powinienem patrzeć na wprost, ale nie mogę się powstrzymać przed zwróceniem wzroku w stronę rufy. W świetle przeciągłej błyskawicy widzę kolejną falę, która nadciąga z tyłu, wyższa niż wszystkie pozostałe – a na jej grzbiecie dostrzegam tyle czerwonych oczu, że nie sposób ich zliczyć. Najwidoczniej grzywoklacze nie znają reguł pojedynku.

Gdy fala uderza, oplatom koło sterowe ramieniem. Rufa znika pod wodą, morze zalewa główny pokład i uderza o ster, zatapiając również mnie. Wstrzymuję oddech chyba całą wieczność i mocno trzymam się steru, kręcąc się pod naporem fal. Wydaje mi się, że idziemy na dno, potem jednak woda się cofa i łapczywie łykam słone powietrze.

Kiedy znowu widzę, moim oczom ukazuje się coś, czego nie wymyślono by nawet w piekle. Po pokładzie poruszają się dziesiątki grzywoklaczy, zwinnych niczym małpy dzięki swoim ogonom. Oplatają marynarzy ciałami jak węże. Jeden ze stworów otwiera paszczę i ukazuje kły jak u rekina, które wbija w szyję wrzeszczącej ofiary. Potem przeciąga umierającego marynarza za burtę i porywa do morza.



Inna grzywoklacz skacze w moją stronę, a ja odtrącam ją pięścią, ale owija się ogonem wokół mojego ramienia, wykręca ciało i już po chwili znówu dyszy mi w twarz. Spodziewam się, że jednym kłapnięciem odgryzie mi głowę, ale zamiast tego odzywa się:

„Nie ciebie chcemy... ale przejdziemy po tobie, jeśli będzie trzeba”.

Potem uderza mnie głową, porzuca na pokładzie i odskakuje, bujając się na ogonie.

Właśnie wtedy widzę kapitana. Obskoczyły go trzy grzywoklaczki – dwie z nich oplotły po jednej nodze, a trzecia kłatkę piersiową. Tę ostatnią trzyma za kark, a ona kłapie paszczą tuż przed jego twarzą. Kapitan usiłuje ciąć ją sztyletem, ale ona wytrąca mu go z ręki. Nóż ze stukotem uderza o pokład.

„Musisz się pozbyć kapitana”, powiedziała papuga – ale może nie muszę. Może grzywoklaczki zrobią to za mnie. Ale jeśli go zabiją i zaciągną do morza, to co z Kaliopę? Bez jego klucza nigdy nie będzie wolna.

Zanim pokład zdąży zalać kolejna fala, rzucam się po sztylet kapitana, a potem wbijam go w tył głowy grzywoklaczki, która próbuje go ugryźć. Pada martwa, a wtedy atakuję te uczone jego nóg. Skacze na nas kolejna, ale odtrącam ją na pokład, po czym butem rozgniatam jej łeb.

Kapitan, uwolniony od grzywoklaczki, jest zdezorientowany. Dyszy, żeby złapać oddech. Jeśli kiedykolwiek będzie za słaby, żeby ze mną walczyć, to właśnie teraz. Chwytam deskę z rozbitej skrzyni i walę go w tył głowy z taką siłą, że pestka brzoskwini wylatuje spod przepaski razem z małym srebrnym kluczem i ląduje na pokładzie. Kapitan pada. Nawet nie wie, co się stało.

Za nami majączy kolejna fala – grzywa jest pełna czerwonych oczu jak sunąca lava. Niech grzywoklaczki biorą sobie teraz kapitana, nic mnie to nie obchodzi. Mam to, co chciałem.

Zanim fala nas dogoni, rzucam się w stronę zamkniętego włazu do forpiku i zaczynam gmerać kluczem w kłódce.

Bardziej czuję, niż słyszę, że fala uderza o rufę statku. Woda sunie po pokładzie coraz bliżej mnie, ale się nie odwracam. Wreszcie kłódka otwiera się z pstryknięciem.

Wyszarpuję ją, unoszę klapę i rzucam się w dół w tej samej chwili, kiedy fala dociera na dziób i wmywa mnie do forpiku.

Wstaję. Woda sięga mi do pasa – forpik jest na wpół zatopiony. Po jednej stronie leżą zwinięte liny cumownicze. Potem tuż na wprost dostrzegam słabo, ale wyraźnie widoczną w ciemności parę nóg sterczących z samego czubka dziobu. Kaliope miała rację! Jest więcej niż tylko częścią statku; ma własne nogi, ale bardzo skorodowane, ponieważ tak długo tkwiły w tym wilgotnym miejscu. Wreszcie widzę, dlaczego nie potrafi się wyswobodzić – w dolnej części jej pleców znajduje się śruba, którą jest przymocowana do dziobu. Mogę ją uwolnić!

– Kaliope! Słyszysz mnie?! – wołam.

W odpowiedzi porusza miedzianą stopą. Szarpię się ze śrubą, ale mam za mało siły w rękach – i przeklinam budowniczego statku, który tak ją zostawił.

Potem zza pleców słyszę:

– Może ci się przydać.

Obracam się i widzę Carlyle’a podającego mi klucz, zupełnie jakby cały czas tam stał i tylko na mnie czekał.

Biorę od niego klucz. Jest odpowiedniej wielkości – i wiem, że wystarczy do poluzowania śruby... ale się waham.

Co się stanie, jeśli to zrobię? Być może oderwać Kaliope od statku to skazać ją na morski grób. Jest miedziana, więc pewnie zatonie jak moneta wrzucona do fontanny. Ale może nie zatonie? Może będzie pływać? Jeśli teraz uwolnię ją od statku, czy weźmie mnie ze sobą? Czy mogę kontynuować ten rejs bez niej?

– Pośpiesz się, Caden – mówi Carlyle. – Zanim będzie za późno.

W górze słyhać grzywokłacze, w dole – szalejące morze. Przykładam klucz do śruby, usiłując uwolnić Kaliope. Napieram na niego całym ciężarem i śruba zaczyna się obracać. Szarpię mocniej, wkręt wreszcie się obluźowuje, a wtedy kręcę tak długo, aż wypadnie z otworu.

Gdy tylko z pluskiem ląduje w ciemnej wodzie zalanego forpiku, Kaliope zaczyna wic się w ciasnym otworze, wyciągać się z niego. Wyobrażam sobie, że napina ramiona, odpycha się od kadłuba, jakby rodziła z dziobu samą siebie. Uwalnia biodra, po nich znikają nogi i już po chwili jej nie ma, pozostaje po niej tylko otwór wielkości bulaja.

Wyglądam przez ten otwór i widzę, że Kaliope nie utonęła – ale też nie płynie. Zamiast tego biegnie, jej duch jest lżejszy niż powietrze, lżejszy nawet niż jej miedziane ciało, bardziej uparty od grawitacji. Biegnie po powierzchni fal! Chmury przesywa pojedynczy promień słońca, który podąża za nią. Łuszczy się jej skorodowana, oksydowana powłoka, odsłaniając od stóp do głów lśniąca miedź. Chcę krzycheć z radości, ale widzę, że z góry, ze statku, spada w fale ciemny kształt, a potem kolejny i kolejny. Grzywokłacze! Już po chwili w morzu roi się od nich, pędzących jak kawaleria za pojedynczą lśniąca postacią w oddali.

„Nie ciebie chcemy, ale przejdziemy po tobie, jeśli będzie trzeba”.

To nie o kapitana im chodziło – ale o Kaliope! Kapitan musiał o tym wiedzieć! To dlatego stanął do nich plecami, odwracając się do niej.

– Biegnij! – krzyczę, chociaż wiem, że ona mnie nie słyszy. – Biegnij i nigdy się nie zatrzymuj!

Po chwili Kaliope jest maleńkim płomieniem na horyzoncie, gonionym przez horde grzywoklaczy, a potem już jej nie widzę i modłę się, żeby miała dość siły, żeby biec tak długo, jak będzie trzeba.

Kiedy wychodzę z forpiku, jest już po sztormie, jakby ktoś wyłączył go przyciskiem. Fale opadły, chmury zaczynają się rozstępować. Kapitan stoi na śródkręciu z założonymi rękami, wbijając we mnie spojrzenie zdrowego oka. Jego martwy oczodół jest nagi i ciemny, ale w jakiś sposób też się we mnie wpatruje.

– Czeka mnie przeciągnięcie pod kilem? – pytam. – Albo coś gorszego?

– Miałeś czelność coś mi ukraść – mówi. Wokół niego spięta załoga czeka na to, co zrobi kapitan. – Miałeś czelność coś mi ukraść... i w ten sposób uratowałeś nas wszystkich. – Klepie mnie po ramieniu. – Heroizm pośród paniki.

Nawigator podchodzi do niego z pestką brzoskwini.

– Znalazłem ją. Czy to znaczy, że też jestem bohaterem?

Kapitan bierze pestkę bez słowa. Wkłada ją na miejsce, ale w czasie sztormu gdzieś zgubił przepaskę. Teraz nic nie zasłania okropieństwa jego pestkowego oka.

– Proszę zawrócić statek – rozkazuje kapitan. – Znów obieramy kierunek zachodni, panie Caden.

– Panie?

– Właśnie awansowałem cię na Pana Steru. Już nie wiatr nami kieruje – mówi – ale ty.

Dowiaduję się od Skye, że Callie wychodzi.

– Jest u nas w pokoju, właśnie się pakuje – mówi mi Skye, pracując nad tą samą układanką, nad którą pracuje od zawsze. Zastanawiam się, czy pamięta, że dała mi jeden kawałek, i czy kiedyś zażąda go z powrotem. – Nigdy więcej nie zobaczysz Callie. Biedaczysko. – Zdaje się, że jest to dla niej źródłem zarazem radości i żalu. – Życie polega na cierpieniu. Przyzwyczaj się.

Nie zaszczycam jej odpowiedzią. Zamiast tego idę do pokoju Callie. Po drodze wpadam na Carlyle'a i po jego współczującej minie poznaję, że to prawda. Callie odchodzi.

– Może ci się przydać – mówi, sięga do dyżurki pielęgniarek i z kompozycji kwiatowej wyciąga różę. Podaje mi ją. – Pośpiesz się, Caden. Zanim będzie za późno.

Callie jest w swoim pokoju razem z rodzicami, pakują jej nieliczne rzeczy. Nigdy nie poznałem jej rodziców. Kiedy przyjeżdżali w odwiedziny, zawsze we troje chowali się w kącie Salonu Vista i rozmawiali po cichu, nie dopuszczając nikogo do swojego trzysobowego kręgu.

Na mój widok Callie się nie uśmiecha. Przeciwnie, zdaje się prawie cierpieć.

– Mamo, tato, to jest Caden – mówi.

Czy zamierzała odejść bez pożegnania? A może to było tak bolesne, że nie chciała o tym myśleć?

Róża w mojej dłoni wydaje się teraz takim niezręcznym gestem. Nie daję jej Callie, tylko kładę na jej łóżku.

– Cześć, Caden – mówi ojciec Callie z akcentem znacznie silniejszym niż jej.

– Dzień dobry – odpowiadam, a potem znów odwracam się do niej. – Więc to prawda, odchodzisz.

Zamiast Callie odzywa się ojciec:

– Wypis jest już podpisany. Nasza córka dzisiaj wraca do domu.

Mimo że próbował mówić w jej imieniu, moje słowa kierują do Callie:

– Mogłaś mi powiedzieć.

– Jeszcze rano nie byłam pewna. A potem wszystko stało się tak szybko...

W głowie wciąż brzmią mi słowa Skye. „Nigdy więcej nie zobaczysz Callie”.

Chcę udowodnić, że nie miała racji. Wyciągam zmiętą kartkę z kosza i proszę jej rodziców o długopis, bo wiem, że leżącego luzem raczej tu nie znajdę.

Matka Callie podaje mi długopis wyjęty z torebki, więc piszę na kartce najwyraźniej, jak potrafię.

– Tu jest mój e-mail, żebyś mogła do mnie napisać – mówię. W szpitalu nie wolno nam korzystać z poczty, ale jeżeli kiedyś stąd wyjdę, moja skrzynka wciąż będzie istnieć.

Callie bierze ode mnie kartkę i mocno ściska ją w pięści, jak skarb. W jej oczach widzę łzy.

– Dziękuję, Caden.

– Może dasz mi swój?

Waha się i patrzy na rodziców. W ich obecności jest zupełnie inna – taka zgaszona, że nie wiem, co myśleć.

Jej rodzice wymieniają spojrzenia, jakbym prosił o coś niesłychanego.

I wtedy uświadamiam sobie, że nie mogę wziąć jej adresu. Nie ze względu na jej rodziców, ale ze względu na nią samą. Bo obiecałem, że ją uwolnię.

– Mniejsza z tym – mówię, jakby to było nic takiego, chociaż to jest wszystko. – Możesz napisać do mnie pierwsza. A ja ci wtedy odpiszę.

Callie kiwa głową, a potem uśmiecha się do mnie z bólem, ale szczerze.

– Dziękuję, Caden.

Jej ojciec próbuje zabrać kartkę z adresem, ale ona przyciska ją do piersi, jakby wciąż trzymała mnie.

Przypominam sobie, jaka była, kiedy ją poznałem. Teraz ma większą jasność. Widać to w jej postawie, w tym, jak mówi. Widać w jej oczach. Jest już po drugiej stronie szyby. Jest częścią świata, który tak bardzo potrzebowała obserwować.

Chcę ją objąć, ale wiem, że przy jej rodzicach nie mogę. Ich granice tego, co nie wypada, są jak strefa zakazu lotów szeroka na wiele kilometrów. Zamiast tego ściskam jej dłoń, a ona patrzy mi w oczy, zaskoczona tym gestem i może trochę rozczarowana, ale rozumie konieczność. Dziwne, ale uściśnięcie jej dłoni wydaje się dużo bardziej niezręczne niż grzanie jej w moim łóżku.

Chyba trzymamy się za ręce za długo, bo w końcu jej ojciec mówi:

– Pożegnaj się z nim, Callie.

Dyskretnie mu się sprzeciwiając, nie żegna się ze mną wprost. Zamiast tego mówi:

– Będzie mi ciebie bardzo, bardzo brakowało, Caden.

– Zawsze będę na horyzoncie – odpowiadam.

A ona z bezbrzeżnym smutkiem mówi:

– Wierzę w to. Ale niestety ja już nie patrzę przez to okno.

- Chcę stąd wyjść – mówię Poirotowi podczas najbliższej kontroli.
- Wyjdiesz, wyjdiesz. Zapewniam cię, że wyjdiesz.
- Ale jego zapewnienia nic dla mnie nie znaczą.
- Co muszę zrobić, żeby stąd wyjść?
- Zamiast odpowiedzieć, wyjmuję z szuflady jeden z moich ostatnich rysunków. Używa ich przeciwko mnie jak kul wymierzonych w mózg.
- Skąd te wszystkie oczy? – pyta. – To fascynujące, ale skąd te oczy?
- Rysuję to, co czuję.
- I czujesz właśnie to?
- Nie muszę panu niczego mówić.
- Martwię się o ciebie, Caden. Bardzo się martwię. – Kiwa głową w zamyśleniu. – Może powinniśmy zmodyfikować ci leki.
- Zmodyfikować leki, zmodyfikować leki, pan nie robi nic innego, tylko modyfikuje mi leki!
- Patrzy na mnie, zachowując spokój. Widzę jego oczy – to żywe i to martwe – w cyfrach tykającego zegara, na plakatach motywacyjnych na ścianach. Wszędzie. Nie mogę uciec.
- Właśnie tak to się robi, Caden. Właśnie to działa. Nie tak szybko, jak byś chciał, wiem. Ale uzbrój się w cierpliwość, a trafisz tam, gdzie potrzebujesz. Tam, gdzie chcesz być. – Zaczyna wypisywać nową receptę. – Chciałbym wypróbować zyprazydon.
- Uderzam pięściami w oparcie fotela.
- Jestem wściekły! Dlaczego nie pozwoli mi pan być wściekłym? Dlaczego musi pan tłumić lekami wszystko, co czuję?
- Nawet nie podnosi głowy, żeby na mnie spojrzeć.
- Wściekłość nie jest w tej chwili korzystnym uczuciem.
- Ale prawdziwym, no nie? Normalnym, no nie? Niech pan zobaczy, gdzie jestem i co mnie spotkało! Mam prawo być wściekły!
- Przestaje pisać i wreszcie patrzy na mnie swoim jednym zdrowym okiem, a ja myślę: jak ten człowiek może patrzeć na mnie z właściwej perspektywy, skoro jest niezdolny do postrzegania głębi? Spodziewam się, że zawoła pana Wściekłe Ramiona Śmierci, żeby mnie obezwładnił. Może każe mi dać zastrzyk haldolu, który wyśle mnie do Plastikowej Białej Kuchni. Ale nie robi żadnej z tych rzeczy. Stuka długopisem. Myśli. Potem mówi:
- To sensowny argument. Znak, że ci się polepsza. – Odkłada bloczek recept. – Trzymajmy się obranego kursu jeszcze przez tydzień, a potem ocenimy sytuację.
- Zostaję odprowadzony do mojego pokoju i czuję się znacznie gorzej niż przed kontrolą. Nie wiem, co jest bardziej przerażające – myśl, że zostanę tu jeszcze tydzień czy że leki, których tak nienawidzę, może naprawdę działają.

Coś nie tak z nawigatorem. Jest bardziej zamknięty w sobie, bardziej pogrążony w swoich mapach niż kiedykolwiek. Nie chce patrzeć na moje rysunki, a teraz, kiedy mój brzuch się uspokoił, nie chce kierować się tym, co czuję w trzewiach. Zrobił się humorzasty, ale to coś więcej. Jest blady, na ramionach ma wysypkę i zaczyna mu tam schodzić skóra.

– Chodź ze mną na bocianie gniazdo – prosi w jednej z rzadkich chwil towarzyskiego nastroju. – Potrzebuję widoku.

Wdrapujemy się do niedużej beczki na czubku grotmasztu. Wydaje się mieć metr średnicy, ale po wejściu do środka jak zwykle okazuje się dziesiątki razy większa. Jest spokojna pora. Tylko kilku marynarzy ogląda skaczących lub po prostu wpatruje się w mrugające do nich oliwki w drinkach. Nawigator bierze koktajl od barmanki. Na mój jeszcze nie pora. Będę musiał przyjść później.

W jego drinku błękitne iskierki pływają w mętnej pomarańczowej wodzie.

– Jestem zbyt odrętwiały – mówi mi. Potem powoli wylewa koktajl na podłogę.

Radioaktywny płyn zbiera się w zagłębieniu drewna zmienionego w miedź, ale na moich oczach wsysa go czarna smoła między metalicznymi deskami. Smoła zdaje się wić i skręcać, ale wiem, że to musi być złudzenie optyczne. Barmanka jest teraz na drugim końcu baru, obsługuje kogoś innego i nie widzi, co zrobił nawigator.

– To nasza tajemnica – mówi mi. – Jeśli mam nawigować statkiem do miejsca zanurzenia, mój geniusz musi być nieskalany. Muszę wyliczyć kurs bez zakłóceń z zewnątrz. Zakłócenie, dążenie, destrukcja, ewolucja. Chodzi o to, że ja ewoluuję. Jestem bogiem, który staje się gwiazdozbiorem.

– Większość gwiazdozbiorów to półbogowie – zauważam. – I zostali gwiazdozbiorami, dopiero kiedy umarli.

Na to nawigator śmieje się i mówi:

– Śmierć to niewielka ofiara za to, żeby stać się nieśmiertelnym.

Bez Kaliope na dziobie czuję przejmującą samotność, której nic nie przeniknie.

– Żyj dzień po dniu – mówi mi Carlyle – a każdego ranka poczujesz się lepiej.

Ale się nie czuję. Kapitan zachowuje się tak, jakby Kaliope nigdy nie istniała. Dla niego nie ma historii, nie ma wczoraj, nie ma pamięci.

– Liczy się chwila obecna oraz ta następna – powiedział mi kiedyś. – Nigdy ta poprzednia. – To motto, które go określa.

Kaliope była naszymi oczami na horyzoncie, więc bez niej wydaje się, że horyzont zniknął. Morze rozpływa się we mgle, która zlewa się z niebem. Nie wiadomo, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. Niebo jest teraz nieprzewidywalne, a morze kapryśne. W górze chmury potrafią nagle skłębić się niespodziewanie, przybierając postać ciemnych monstrów brzemienych złymi zamiarami, a przejrzyste błękitne niebo jest dla bezlitosnego słońca niczym lupa. Jeśli zaś chodzi o morze, to fale straciły rytm, nie ma logiki w temperamencie oceanu. W jednej chwili tafla jest gładka i spokojna jak w górskim jeziorze, a zaraz potem wzburzona od narowistych fal.

– Przekroczyliśmy punkt, z którego nie ma odwrotu – mówi mi kapitan, kiedy szarpie się ze sterem, żeby statek płynął zygzakiem jak towarowiec podczas wojny. Płynąć prosto byłoby teraz samobójstwem. Najlepszy sposób, żeby zmylić bestie czyhające w dole i uciec przed nimi, to być równie nieprzewidywalnym jak niebo i morze.

Od steru moje dłonie są szorstkie i zrogowaciałe. A także bladzielone, ponieważ tak jak wszystko inne na statku koło sterowe zmieniło się w miedź i uległo oksydacji w słonym morskim powietrzu.

– Czy w ogóle istniał punkt, z którego był odwrót? – zastanawiam się na głos.

– Słucham? – mówi kapitan.

– Powiedział pan, że przekroczyliśmy punkt, z którego nie ma odwrotu. Czy to znaczy, że wcześniej mogliśmy zawrócić?

W uśmiechu kapitana niewiele jest ciepła.

– No cóż, tego się już nie dowiemy, co?

Podejrzewam, że nigdy nie było odwrotu. Ten rejs był mi pisany, zanim postawiłem stopę na pokładzie. Pisany mi od chwili narodzin.

Nawigator wybiega spod pokładu, wymachując całkiem nową mapą nawigacyjną. Nagryzmołone przez niego węzły linii są mozolnie odmierzone w milach i stopniach. Kapitan ogląda mapę, kiwa głową, a potem podaje ją mnie. Zygzaki, które wykonuję, wcale nie są przypadkowe. Albo przynajmniej nie moją przypadkowością się kierujemy, ale nawigatora.

Kapitan z dumą klepie go po plecach.

– To niemal na pewno zaprowadzi nas tam, dokąd płyniemy.

Jego uznanie sprawia, że nawigator promienieje.

– Teraz jestem podpięty do prądu. Mocno połączony z głębią – mówi. – Połączony, przyswojony, zakazony, strawiony. Czuję nasz cel w trzewiach. To jedyny pokarm, jakiego mi potrzeba!

Kapitan wie, że nawigator przestał pić swój koktajl. Może między innymi dlatego jest z niego taki dumny. Odwraca się do mnie.

– Powinieneś zastosować się do jego wskazówek, panie Caden. Nasz nawigator ma jasny wzrok. A ty?

Ale za tym „jasnym wzrokiem”, jak nazywa to kapitan, idą jeszcze inne rzeczy. Mapy nawigatora są bardziej zagmatwane niż kiedykolwiek, a mimo to niewzruszenie twierdzi, że stanowią klucz, który pozwoli dotrzeć do celu. A najstraszniejsze jest to, że mu wierzę.

– Unikaj bocianiego gniazda, a doświadczysz oświecenia słodsze niż tamtejsze odurzenie trucizną – mówi mi kapitan. – Spójrz tylko na nawigatora!

Martwię się jednak, że oświecenie nawigatora jest równie groźne jak fajerwerki w rękach dziecka. Jeśli dostroił się do głębi, to co mu ona mówi? Głębiny z całą pewnością nie są nam życzliwe. Zauważyłem, że teraz, kiedy nawigator chodzi, smolisty szlam wypełniający szczeliny statku lepi mu się do pięt. Gdy dotyka ściany, szlam gęstnieje, przyciągany do jego dłoni, jakby nawigator stał się studnią grawitacyjną ciemności – i przychodzi mi do głowy, że ciemność musi kochać się w jasności. A jednak zawsze jedno z nich musi zabić to drugie.

W pewnej chwili, kiedy morze jest spokojne, a niebo przejrzyste, kapitan wyciąga pistolet. Taki starodawny. Pistolet skałkowy, chyba tak to się nazywa. Broń tego typu, z jakiej Aaron Burr zastrzelił Alexandra Hamiltona w słynnym pojedynku.

– Podobno doskonale strzelasz – mówi kapitan. To mnie zaskakuje, bo nigdy w życiu nie miałem w ręku broni.

– Kto panu to powiedział? – pytam, nie chcąc zaprzeczyć.

– Wieści się rozchodzą. Powszechnie wiadomo, że pozbyłeś się niejednego wroga na polach koloru.

– A, chodzi panu o paintball.

– Strzelec to strzelec bez względu na uzbrojenie, a godzina działania wybiła. – Potem wręcza mi pistolet, a także mały mieszek z prochem oraz jeden ołowiany pocisk. – Jeden wystarczy, żeby pozbyć się ptaka.

Patrzę na pistolet, starając się wyjść na mniej wystraszonego, niż jestem. Broń jest ciężka. Dużo cięższa, niż na to wygląda. Podnoszę wzrok w kierunku żagli, ale nie widzę papugi. Ulotniła się po zdradzeniu zamiaru zabicia kapitana. Teraz przesiaduje wysoko na drabinkach sznurowych i górnych belkach żagli. Godzina działania wybiła, ale ja wciąż mam wątpliwości, jakie działanie podjąć. To jest jednak dobre uczucie: stać za sterem i być w łaskach kapitana.

– Czy nie miałby pan większej satysfakcji, gdyby zrobił to pan sam? – sugeruję.

Kapitan kręci głową.

– Choć ta pierzasta gadzina ma tylko jedno oko, jest zbyt sprytna, żeby wziąć ją przez zaskoczenie. Musi to zrobić ktoś, komu ufa i komu ja ufam, że to zrobi. – Chwyta mnie za ramię. W jego oczach jest coś, co przypomina dumę. – Namów ją na współpracę. Nie odkrywaj broni aż do ostatniej chwili.

Wsuwam pistolet za pas i zasłaniam koszulą. Kapitan z aprobatą kiwa głową.

– Kiedy uwolnimy się od papugi, będziemy wolni naprawdę.

Uświadamiam sobie, że stoję przed niemożliwym wyborem i nie mam pojęcia, co zrobić.

Jeśli chcecie z kimś pogadać o mentalnych niewypałach, Raoul ma rację. Pogadajcie z Szekspirem.

Kiedy próbuję czytać Szekspira, mózg mi się smaży, ale nauczycielka angielskiego nie zaakceptowałaby wymówki, że „pies mój księgę mi pożarł”, jako powodu nieprzeczytania *Hamleta*. Zabawne, ale po chwili lektury nawet zacząłem rozumieć, co czytam.

Nieszczęsny królewicz duński to koleś stojący przed niemożliwym wyborem. Duch jego ojca każe mu pomścić swoją śmierć, zabijając wuja. Przez resztę sztuki Hamlet bije się z myślami. Czy powinienem zabić wuja? Czy powinienem zignorować ducha? Czy duch jest prawdziwy? Czy oszalałem? A jeśli nie oszalałem, to czy powinienem udawać, że oszalałem? Czy powinienem zakończyć tę udrękę niemożliwych decyzji, odbierając sobie życie? Czy jeśli się zabiję, będę śnił? I czy te sny będą lepsze od koszmaru, w którym mój martwy ojciec każe mi zabić wuja, teraz przy okazji męża mojej matki? Zamęcza się, rozmyśla, aż w końcu zostaje dźgnięty zatrutym ostrzem i cała ta udręczona samoanaliza ustępuje miejsca wiecznemu milczeniu.

Szekspir miał jazdę na punkcie śmierci. I trucizny. I szaleństwa. Ukochana Hamleta, Ofelia, naprawdę dostaje obłądu i tonie. Król Lir traci zmysły od choroby, którą my współcześnie nazwalibyśmy chorobą Alzheimera. Makbet ma urojenia, halucynuje o duchach i nieznośnym sztylcie unoszącym się w powietrzu. To wszystko jest tak bardzo w punkt, że zastanawiam się, czy Szekspir nie pisał z doświadczenia.

Tak czy inaczej, jemu na pewno też ludzie zarzucali, że „coś bierze”.

Jeszcze nie wykonałem polecenia kapitana, żeby zabić papugę. Jeszcze nie postąpiłem zgodnie z ostrzeżeniem papugi, że muszę zabić kapitana. Paraliżuje mnie własna niezdolność działania w jedną albo drugą stronę.

Ale wszystko zmienia się w dniu, gdy stajemy oko w oko z kolejnym zagrożeniem z głębin.

Zaczyna się od zawirowania na lewo od dziobu; spienione bąbelki na powierzchni wody wskazują na to, że pod spodem coś jest.

Kapitan zarządza ciszę na pokładzie, ale trudno wydawać polecenia, kiedy trzeba szeptać, więc wysłał Carlyle'a, żeby powiedział każdemu marynarzowi z osobna, że ma trzymać język za zębami, względnie uciszyć inne hałaśliwe elementy anatomii.

– Zwrot dwadzieścia stopni na prawą burtę – szepce do mnie kapitan.

Obracam ster. Mamy dziś mocny wiatr w plecy, więc statek szybko skręca, oddalając się od wzburzonych wód.

– Co tam było? – pytam.

– Ćśśś – odpowiada kapitan. – Wszystko będzie dobrze, pod warunkiem że nie usłyszą, jak płyniemy.

Potem za prawą burtą widzę kolejne spienione miejsce, jeszcze bliżej statku niż poprzednio. Kapitan bierze głęboki oddech i szepce:

– Lewo na burtę.

Robię, co mi każe, ale obracam koło sterowe za szybko, przez co ster skrzypi. Czuję, że wibracja nasila się w kadłubie jak groźna nuta wiolonczeli. Kapitan się krzywi.

Statek oddala się od dziwnej przestrzeni na morzu i przez moment myślę, że niebezpieczeństwo minęło, ale potem wprost pod nami woda zaczyna się pienić i w tej pianie widzę coś, czego wolałbym nie zobaczyć: obrośnięte muszlami stworzenie blade jak trup oraz ciemną, tłustą mackę innego, oplatającą to pierwsze. Monstra nurkują i morze się uspokaja.

– Czy to było... to, co myślę? – pytam kapitana.

– Tak jest – odpowiada. – Wkroczyliśmy na wody Nemezji.

Płyniemy w milczeniu, czekając... czekając – aż nagle wieloryb, opleciony przez uczeponą go kałamarnicę, wynurza się całkowicie ledwo pięćdziesiąt metrów od naszej prawej burty. Obie istoty są potężne, razem ponaddwukrotnie większe niż nasz statek. Wieloryb się szarpie, ogonem mocno bije w powietrzu, widać teraz, że macki kałamarnicy owinęły go całkowicie i ściskają z zabójczą siłą. Stwory z powrotem wpadają do morza, wzniecając olbrzymią falę, która uderza w burtę statku, a ten przechyla się i brakuje tylko centymetrów, żeby się przewrócił.

Wszyscy ślizgamy się po przekrzywionym pokładzie, za to kapitan ani na moment nie traci równowagi. Gdy tylko statek się prostuje, chwyta mnie i z powrotem stawia za sterem.

– Prowadź nas z dala od tych bestii – mówi. – Wyczuwaj ich obecność i pływ tam, gdzie bezpiecznie.

I choć czuję pod nami wielkie zło, to to wrażenie nie ma kierunku. Zupełnie jakby stwory były wszędzie, więc nie wiem, dokąd skręcić.

– Są zbyt zajęte sobą, żeby nas zauważyć – mówi kapitan. – Zwrócą na nas uwagę, tylko jeśli nas usłyszą. Prowadź nas dobrze, a wyjdziemy bez szwanku.

Przypominam sobie jego opowieść o Nemezjach.

– Ale skoro są w konflikcie ze sobą nawzajem, dlaczego miałyby zaatakować nas? – pytam.

Kapitan szepce mi do ucha:

– Wieloryb nienawidzi chaosu, kałamarnica gardzi porządkiem. Czyż ten statek nie jest bękarcim dzieckiem jednego z drugim?

Te słowa sprawiają, że zaczynam rozumieć. Choć Nemezje wyczuwają w statku odrobinę siebie, widzą tylko to, czego nienawidzą. Z tej przyczyny jesteśmy śmiertelnym wrogiem dwóch śmiertelnych wrogów.

– Może przetrwamy falę przy bliskim wynurzeniu – mówi kapitan. – Ale jeśli nas usłyszą, będzie po nas.

Do kolejnego wynurzenia dochodzi na lewo od dziobu. Tym razem wieloryb wyłania się tylko częściowo, więc fala jest słabsza niż poprzednio. Tak jak mówił kapitan, wieloryb nas nie zauważa. Oczy ma zapadnięte w głąb czaszki, niewidzące. RzUCA się na wszystkie strony, gryzie mackę grubości pnia sekwoi. Kałamarnica wydaje z siebie ogłuszający wrzask. Obracam koło sterowe, żeby od nich odpłynąć – ale tym razem powoli, tak by ster nie zaskrzypiał.

Właśnie wtedy z góry słyszę wrzask niemal tak głośny jak ten kałamarnicy.

– Tutaj! – krzyczy papuga. – Tutaj! Jesteśmy tutaj!

I tuż zanim wieloryb zanurzy się pod wodą, jego gałki oczne obracają się, nie są już białe i niewidzące, ale lśniące i czarne, i mogę przysiąc, że bestia wbija wzrok we mnie.

To koniec naszego ukrycia. Kapitan piekli się, wściekły na papugę.

– Ten pierzasty demon woli zatopić statek niż dopuścić do mojego triumfu! Pozbądź się go, Caden! – rozkazuje. – Zanim nas zgubi!

Sięgam po pistolet skałkowy, który wciąż mam za pasem, ale uciszenie papugi nam nie da. Już za późno – stwory wiedzą, że tu jesteśmy. Kiedy kapitan widzi, że nie próbuję dopaść ptaka, łapie mnie i wypycha zza steru na główny pokład.

– Rób, co do ciebie należy, mały! Chyba że chcesz trafić do brzucha którejś z tych bestii!

Papuga siedzi wysoko na fokmaszcie i skrzeczy zdecydowanie za głośno jak na tak małego ptaka. Wspinam się ku niej po drabinkach. Na mój widok uśmiecha się. W każdym razie myślę, że to uśmiech. Bardzo trudno ocenić.

– Chodź zobacz! Chodź zobacz! – woła do mnie. – Stąd jest lepszy widok!

Nie wie, że przyszedłem ją zabić. Ja wciąż nie wiem, czy potrafię to zrobić.

– Perspektywa! Perspektywa! – pokrzykuje papuga. – Teraz już rozumiesz?

Kiedy patrzę w dół, widzę sytuację znacznie wyraźniej. Stąd dostrzegam, że bestie się rozdzieliły. Okrążają statek po przeciwnych stronach – na tę chwilę dwaj wrogowie zjednoczyli się we wspólnym celu.

– Nemezje zakończą ten rejs. Kapitan pójdzie na dno ze statkiem – mówi papuga. – Jak być powinno. Jak być powinno.

Właśnie wtedy kałamarnica wystrzeliwuje mackę spod wody i chwyta nią dziób. Statkiem szarpie. Trzymam się lin, ile sił.

Ciemny stwór drugą macką mocno owija bukszpryt i odrywa go od dzioba. Gdyby Kaliope wciąż tam była, rozszarpałby ją na pół.

Silny wstrząs o mało nie zrzuca mnie z drabinki. Patrzę w dół i widzę, że wieloryb uderzył w naszą prawą burzę, prawie ją wginając. Kapitan rozkazuje podoficerowi otworzyć ogień z armaty, ale stwór zanurza się zbyt szybko, żeby do niego strzelić. Kałamarnica całkiem już wyciągnęła się z wody i wlaźła na dziób. Jej macki oplatają dolną połowę fokmasztu jak czarna winorośl. Pod ciężarem bestii dziób zanurza się głęboko, marynarze krzyczą i uciekają. Wspinam się wyżej, żeby nie dosięgnął mnie poszukujący czubek najwyższej macki.

Na pokładzie Carlyle dźga kałamarnicę rączką mopa zaostrzoną jak harpun, ale skóra potwora jest zbyt gruba, żeby wyrządził mu większą krzywdę.

- Złap się moich pazurów – mówi papuga. – Zabiorę nas stąd.
- Co z pozostałymi?
- Ich los to nie twoja sprawa.
- Jesteśmy za daleko od lądu.
- Mam silne skrzydła!

Głos papugi jest prawie przekonujący, ale wciąż w to nie wierzę. Jest mała. Wydaje się bezsilna w porównaniu z kapitanem.

- Zaufaj mi – mówi. – Musisz mi zaufać!

Ale nie mogę. Po prostu nie mogę.

I wtedy widzę nawigatora. Wyszedł spod pokładu, pędzi do kapitana, nie zważając na bitwę szalejącą wokół niego. Nawet z tak daleka widzę, że jest w gorszym stanie niż kiedykolwiek. Jego blada skóra łuszczy się na wietrze. Schodzi płatami jak kartki, które fruną za nim na pokład, a potem wciąga je głodna smoła. Nawigator chwyta jedną z łuszczących się kartek i pokazuje kapitanowi – to nowa mapa nawigacyjna – ale kapitan odpycha go na bok, bo nawigacja to w tej chwili ostatnia rzecz, jaka zaprzęta mu umysł.

Wieloryb uderza w nas znowu, a nawigator wreszcie rozgląda się i widzi pełen obraz sytuacji. Na widok jego wyrazu twarzy przechodzi mnie dreszcz. Jest na niej wypisana żelazna determinacja – a ja myślę: pergamin, egzamin, odkupienie, poświęcenie. Wiem, co robi, jeszcze zanim zacznie wspinać się na grotmaszt. Idzie na bocianie gniazdo. I skoczy.

- Niedobrze – mówi papuga, widząc to, co ja. – Niedobrze, niedobrze, niedobrze.
- Jeśli chcesz kogoś ratować, ratuj jego!
- Za późno – odpowiada. – To nie jest nauka ścisła, ale robimy, co możemy.

Nie zaakceptuję tego. Nawigator dotarł już do połowy wysokości grotmasztu. W jego stronę wystrzeliwuje macka, ale chybia, zamiast nawigatora chwyta jedną z gubionych przez niego kartek i ją zgniata. On ani na chwilę nie odrywa wzroku od bocianiego gniazda, które jest tuż nad nim. Muszę go uratować!

Odległość między fokmasztem a grotmasztem jest za duża na skok, a schodząc po drabince, szedłbym wprost w ziejącą paszczę kałamarnicy. Ale może istnieje sposób, żeby bezpiecznie pokonać ten dystans. Zwracam się do papugi:

– Zanieś mnie do nawigatora!

Papuga kręci głową.

– Lepiej nie.

I chociaż nie mam pojęcia, jaka jest moja ranga w całym tym układzie, zdobywam się na jak najbardziej władczy głos i mówię:

– To rozkaz!

Papuga wzdycha, boleśnie wbija mi szpony w ramiona, rozpościera skrzydła i podnosi mnie z drabinki sznurowej fokmasztu. Mówiła prawdę: mimo tak małych skrzydeł ma dość siły, żeby udźwignąć mój ciężar. Suniemy ponad bitwą, a potem upuszcza mnie do bocianiego gniazda zaraz po tym, gdy dociera tam nawigator.

Potrzebuję sekundy, żeby mój wzrok przywykł do zwodniczych rozmiarów tego miejsca: maleńkiego z zewnątrz, ogromnego od środka. Rozglądam się. Nie ma tu marynarzy. Nie ma nic oprócz potłuczonego szkła wokół pustego baru. Wreszcie po drugiej stronie dostrzegam nawigatora, który wdrapuje się na gzyms skoczków. Ledwo go poznaję, tak mało już go jest.

– Nie! – krzyczę. – Stój! Nie musisz tego robić! – Próbuję się do niego dostać, ale spowalnia mnie potłuczone szkło pod stopami.

Po determinacji na jego twarzy został tylko blady uśmiech pogodzenia z losem.

– Ty masz swoje przeznaczenie, a ja swoje – mówi. Teraz nawet jego głos brzmi jak szeleszczący papier. – Przeznaczenie, pogwałcenie, gnębienie... milczenie. – I zanim zdążę do niego dotrzeć, rzuca się w wiatr.

– Nie! – Próbuję go złapać, ale jest za późno. Spada w stronę morza, warstwy pergaminu odrywają się w locie, strona po stronie, aż w końcu nic z niego nie zostaje. Rozwiewa się całkowicie, zanim dosięgnie powierzchni wody. Tylko tysiące kartek niesionych na wietrze jak konfetti jedna po drugiej osiadają na morzu.

Patrzę w tuman kartek i nie mogę uwierzyć, że już go nie ma. Papuga próbuje zasłonić mi oczy skrzydłem.

– Nie patrz, nie patrz.

Odpycham ją zde gustowany.

W dole niszczycielski szal kałamarnicy nagle ustaje. Stwór puszcza statek i zsuwa się z powrotem do morza. Wieloryb, który rozpędził się, żeby nas staranować, nurkuje pod kadłubem, zamiast w niego uderzyć. Kilka chwil później bestie wynurzają się daleko na lewo od dziobu, znowu splecione w znajomych nienawistnych objęciach i już zupełnie o nas nie pamiętające. Nemezje doczekały się ofiary. Statek uratowany.

– Niespodziewane – mówi papuga. – Bardzo niespodziewane.

Odwracam się do niej z wściekłością.

– Mogłaś go powstrzymać! – krzyczę. – Mogłaś go uratować!

Papuga pochyła głowę z udawaną czcią i gwizdże cicho.

– Robimy, co możemy.

Tego, co czuję, nie można ująć w słowa. Moje emocje znów mówią językami. Ale to nic – bo czas na słowa minął. Teraz czas na czyny. Oddaję głos mojej wzburzonej furii, wyciągając pistolet zza pasa. Jest już naładowany. Nie pamiętam, żebym go ładował, ale wiem, że jest. Przyciskam lufę do piersi papugi. Pociągam za spust. Strzał rozbrzmiewa tak głośno jak salwa z armaty, kula przeszywa ciało ptaka. Papuga wbija

we mnie spojrzenie jednego zdrowego oka, wstrząśnięte spojrzenie zdradzonych, i dzieli się ze mną swoim ostatnim świadectwem.

– Widziałeś kapitana już wcześniej – mówi, a jej głos słabnie z każdym słowem. – Widziałeś go wcześniej. Nie jest... tym... czym myślisz.

Papuga wydaje ostatnie, rzeżące tchnienie, po czym wiotczeje. Teraz czas na słowa minął dla nas obojga. Chwytam jej bezwładne ciało i wyrzucam z bocianiego gniazda. Patrzę, jak leci łukiem po niebie niczym pierzasta kula armatnia, aż w końcu pochłania je morze.

Kiedy moi rodzice dowiadują się o Halu, nie mogą dojsć do siebie. Wolałbym, żeby nikt im o tym nie mówił. Rozmawiając z nimi na ten temat, po prostu od nowa to przeżywam, a w przeciwieństwie do Alexy nie czuję potrzeby ponownego doświadczania koszmarów, jeżeli mogę tego uniknąć.

Siedzę w Salonie Vista i patrzę przez okno, tak jak kiedyś robiła to Callie. Nie chcę być po tej stronie szyby, ale nie chcę też być po tamtej. Czuję otępienie. Nie potrafię myśleć jasno. Częściowo to kwestia leków, ale częściowo nie.

– Coś strasznego – mówi moja matka.

– Ja chciałbym wiedzieć, jak to się w ogóle mogło stać – mówi mój ojciec.

Potem siadają przy mnie po obu stronach i próbują dodać mi otuchy, ale ja już jestem owinięty niewidzialną folią bąbelkową. Otucha nie jest mi potrzebna.

– Wziął moją plastikową temperówkę – wyjaśniam im. – Oderwał to małe ostrze od reszty i podciął nim sobie żyły.

– Wiem, co się stało – odpowiada ojciec, wstaje i zaczyna chodzić, tak jak często robię ja. – Ale nie powinno. Przecież tu są kamery, prawda? I kupa pielęgniarek. Co one, u diabła, robiły? Kręciły młynka palcami?

Poruszenie dobiegło końca, ale fale jeszcze nie opadły. Minie chwila, zanim morze będzie spokojne.

– Caden, musisz wiedzieć, że to nie twoja wina – mówi mój ojciec. Ale jakimś cudem z tych wszystkich słów zwracam uwagę tylko na „twoja” i „wina”. – Gdyby nie użył temperówki, znalazłby inny sposób.

– Ta, możliwe – odpowiadam. Wiem, że to, co mówi, jest logiczne, ale część mojego mózgu odpowiedzialna za logikę chyba wciąż pomyka pod pokładem.

Moja mama smutno kręci głową i wydyma usta.

– Kiedy pomyślę o tym biednym chłopcu...

„To nie myśl”, chcę powiedzieć, ale milczę.

– Podobno jego matka zamierza pozwać szpital.

– Jego matka? To między innymi przez nią to zrobił! – mówię im. – To szpital powinien pozwać ją!

Rodzice, którym brakuje kontekstu tej rozmowy, nie mają co powiedzieć.

– No cóż – mówi mój ojciec. – Tak czy siak polecą głowy, to na pewno. Kogoś trzeba pociągnąć do odpowiedzialności.

Potem matka próbuje rozluźnić atmosferę, opowiadając o występie tanecznym mojej siostry, czym udaje jej się wypełnić niemakabryczną rozmowę czas pozostały do zakończenia odwiedzin.

To nie ja znalazłem Hala. Znalazł go pan Wściekłe Ramiona Śmierci. Zajrzałem natomiast do łazienki, kiedy go stamtąd zabierali. Wyglądała tak, jakby ktoś zarzynał tam słonia.

A teraz wszystko jest znowu po staremu. Personel robi pogodne miny i nie chce o tym mówić. Lepiej nie denerwować pacjentów. Lepiej udawać, że nic się nie

wydarzyło. Jakby on nigdy nie istniał.

Tylko Carlyle jest na tyle ludzki, żeby o tym rozmawiać na zajęciach grupowych.

– Całe szczęście – mówi nam – że to się stało w szpitalu. Natychmiast zawieźli go na ostry dyżur.

– Czy Hal nie żyje? – pyta Skye.

– Stracił dużo krwi – wyjaśnia Carlyle. – Jest na intensywnej terapii.

– A powiedziałby nam pan w ogóle, gdyby umarł? – rzucam wątpiaco.

Carlyle nie od razu odpowiada.

– Nie do mnie by to należało – mówi w końcu.

A potem Alexa dotyka szyi i porównuje tę sytuację ze swoją próbą samobójczą, jak zwykle sprowadzając wszystko do rozmowy na własny temat.

Moi rodzice zastanawiali się, czy jestem albo kiedykolwiek byłem skłonny do samobójstwa. Zastanawiają się nad tym moi lekarze. Zastanawiają się formularze ubezpieczeniowe. Nie żebym nigdy o tym nie rozmyślał – zwłaszcza kiedy depresja mocno wbije swoje paskudne pazury – ale czy kiedykolwiek przekroczyłem granicę i naprawdę byłem skłonny popełnić samobójstwo? Nie sądzę. Gdy tylko coś takiego przychodzi mi do głowy, bezpiecznikiem jest moja siostra. Mackenzie miałyby przerąbane do końca życia, gdyby jej brat się zabił. Jasne, moja dalsza egzystencja może być dla niej źródłem nieszczęść, ale nieszczęśliwe życie to zawsze mniejsze zło. Z bratem, z którym jest problem, łatwiej sobie poradzić niż z bratem, z którym problem był.

Wciąż nie umiem stwierdzić, czy odebranie sobie życia to przejaw odwagi, czy tchórzostwa. Nie umiem stwierdzić, czy to egoizm, czy jego zupełny brak. Skrajny akt rozstania się ze sobą czy tani sposób zapanowania nad sobą? Ludzie mówią, że nieudana próba samobójcza to wołanie o pomoc. Możliwe, pod warunkiem że ktoś faktycznie chciał, żeby mu nie wyszło. Ale w takim razie większość nieudanych prób chyba nie jest do końca szczerą, bo powiedzmy sobie uczciwie: jeśli chcesz ze sobą skończyć, istnieje wiele sposobów, żeby mieć pewność, że ci się uda.

Mimo wszystko, skoro trzeba stanąć o włos od śmierci tylko po to, żeby wołać o pomoc, to coś gdzieś jest nie tak. Albo od początku krzyczałeś za cicho, albo ludzie wokół ciebie są ślepi i głusi. Przez co wydaje mi się, że to nie tylko wołanie o pomoc – ale raczej o to, żeby być traktowanym serio. Wołanie: „Tak bardzo cierpię, że świat chociaż raz musi się dla mnie gwałtownie zatrzymać”.

Pytanie: co zrobisz potem? Świat staje, patrzy na ciebie, jak leżysz z zabandażowanymi ranami albo przepłukanym żołądkiem, i mówi: „No dobra, słucham”. Większość ludzi nie wie, jak wykorzystać tę chwilę, jeśli już się jej doczekają. Dlatego koszt dotarcia do tego punktu zdecydowanie się nie opłaca. Zwłaszcza jeśli nieudana próba przypadkowo się uda.

Hal zatemperował sobie ołówek w sobotę. Doktor Poirot przychodzi do mnie z samego rana w poniedziałek. Przyszedłby wcześniej, ale wyjechał na konferencję załatwiać swoje sprawy, podczas gdy Hal załatwiał swoją.

Kiedy pojawia się Poirot, jestem sam w swoim pokoju. Pastelowi zdjęli pościel z łóżka Hala i zabrali jego rzeczy. Pustka po stronie Hala jest niczym żywa próżnia. Nocą słyszę ją, jak oddycha.

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Bardzo przykro – mówi Poirot. Jego jaskrawa hawajska koszula drwi z posępności tego dnia.

Leżę na płask na łóżku i robię, co mogę, żeby na niego nie patrzeć i całkowicie ignorować jego obecność.

– Wiem, że zaprzyjaźniłeś się z Haroldem. To musi być wyjątkowo bolesne.

Wciąż nie odzywam się ani słowem.

– Coś takiego... nigdy nie powinno się wydarzyć.

Wbrew sobie muszę odpowiedzieć na taki zarzut.

– Więc obwinia pan mnie?

– Tego nie powiedziałem.

– Czyżby?

Poirot wzdycha, przyciąga krzesło i siada.

– Dziś będziesz miał nowego współlokatora.

– Nie chcę.

– To nie do uniknięcia. Mamy ograniczoną liczbę łóżek. Przyjeżdża nowy chłopiec, a tylko to jest wolne.

Nadal na niego nie patrzę.

– To była wasza robota, żeby opiekować się Halem. Strzec go przed wszystkim, włącznie z nim samym!

– Wiem. Zawiedliśmy. Przykro mi. – Poirot zerka na próżnię po drugiej stronie pokoju. – Gdybym tu wtedy był...

– To co? Wpadłby pan tutaj i go powstrzymał?

– Chcę wierzyć, że może wyczułbym poziom frustracji Harolda. Ale może nie. Może i tak by się to stało.

Wreszcie patrzę na Poirota.

– Czy on umarł?

Poirot zachowuje wyćwiczoną minę pokerzysty.

– Jego rany są poważne. Jest pod najlepszą możliwą opieką.

– Powiedziała mi pan, gdyby umarł?

– Tak. Jeśli uznałbym, że to zniesiesz.

– A jeśli uznałby pan, że nie?

Poirot waha się i za żadne skarby nie umiem ocenić, czy aby nie tuszuje kłamstwa.

– Po prostu musisz mi zaufać – mówi.

Ale nie ufam. I nie mówię mu, że Hal przestał brać leki. Kazał mi przysiąc, że

dochowam tajemnicy. Czy jeszcze żyje, czy nie, nie zdradzę jego zaufania. Oczywiście wiem, że gdybym na niego doniósł, może byłby zbyt odurzony lekami, żeby zrobić to, co zrobił. To chyba sprawia, że oskarżycielski palec jeszcze wyraźniej wskazuje w moją stronę. Dlatego jestem tym bardziej zdeterminowany, żeby go odepchnąć.

– Powinien był go pan uratować – mówię do Poirota. – Ma pan rację, zawiedliście.

Poirot przyjmuje to jak uderzenie w twarz, ale nadstawia drugi policzek.

– Pracowity dzień, pracowity. Muszę zajrzeć do innych pacjentów. – Wstaje do wyjścia. – Obiecuję, że jeszcze do ciebie wpadnę, dobrze?

Ale ja mu nie odpowiadam i postanawiam nigdy więcej się do niego nie odzywać. Od tej chwili Poirot jest dla mnie martwy.

– Caden, tak sobie myśleliśmy... – mówi nazajutrz moja mama. Zerka na mojego ojca, żeby upewnić się, że są zgodni. – Może po tym, co tu się stało, wolałbyś być gdzie indziej.

– Mogę wrócić do domu?

Mój ojciec wyciąga rękę, żeby złapać mnie za ramię, mocno i uspokajająco.

– Jeszcze nie – odpowiada. – Ale niedługo. A tymczasem są inne miejsca.

Potrzebuję chwili, żeby zrozumieć, co sugeruje.

– Inny szpital?

– Gdzie takie rzeczy się nie zdarzają – dodaje mama.

To wywołuje u mnie głośne parsknięcie śmiechem. Bo „takie rzeczy” mogą się zdarzyć wszędzie. Nawet gdyby Halowi przydzielili osobistego ochroniarza, nie ochroniłoby go to przed nim samym. Wiem, że istnieją inne „ośrodki” takie jak ten. Pacjenci opowiadają o szpitalach, w których byli wcześniej. Z tego, co mówią, wszędzie jest gorzej niż tutaj. Nawet jeśli nie chcę tego przyznać, rodzice wybrali to miejsce, bo było najlepsze w okolicy. Więc może to prawda.

– Nie, zostanę – mówię im.

– Jesteś pewien, Caden? – Mój ojciec próbuje wyczytać coś w moich oczach spojrzeniem, które sprawia, że odwracam wzrok.

– Tak, podoba mi się tu.

Oboje są tym zaskoczeni. Sam jestem tym zaskoczony.

– Naprawdę?

– Tak – mówię. – Nie – mówię. – Ale tak.

– Może jeszcze nad tym pomyślisz? – pyta moja mama, być może rozczarowana moją decyzją. Ale ja nie chcę nad tym myśleć, tak samo jak nie chcę myśleć o Halu. To miejsce jest piekłem, do którego już przywykłem. Jak to mówią? Z dwojga złego lepszy diabeł znajomy.

– Nie, jestem zdecydowany – odpowiadam.

Akceptują moją decyzję, ale pozostaje w nich jakaś niezaspokojona tęsknota.

– No dobrze, po prostu chcieliśmy, żebyś miał tę możliwość – mówi mój tata. Potem zaczynają opowiadać o Mackenzie, o tym, że za mną tęskni i że chyba znów tu z nią przyjadą, ale zdają się ode mnie oddalać. Nagle uświadamiam sobie na temat moich rodziców coś strasznego. Nie są truciicielami. Nie są wrogami...

...ale są bezsilni.

Chcą coś zrobić – cokolwiek – żeby mi pomóc. Cokolwiek, żeby zmienić moją sytuację. Ale są równie bezradni jak ja. Oboje siedzą teraz w szalupie ratunkowej, razem, ale tak bardzo samotni. Wiele mil od brzegu, ale i wiele mil ode mnie. Szalupa przecieka i muszą we dwoje wygarniać wodę, żeby utrzymać się na powierzchni. To na pewno wyczerpujące.

Straszliwa prawda o ich bezsilności jest prawie nie do zniesienia. Chciałbym móc wziąć ich na pokład, ale nawet gdyby zdołali do nas dotrzeć, kapitan nigdy by na to nie

pozwoleń.

Moje życie jest w tej chwili do kitu – ale dotąd nie przyszło mi do głowy, że ich też.

Mam w kajucie nowego współlokatora, którego nie znam i nie chcę poznać. To tylko kolejny członek anonimowej załogi. Teraz to ja jestem weteranem – tym, kto wie, co i jak – tak jak nawigator, kiedy tu trafiłem. Nie lubię być nowicjuszem, ale wprawionym wilkiem morskim też nie.

Kapitan odwiedza moją kajutę kilka wieczorów po tym, gdy nawigator rozsypał się nad morzem. Siada na końcu mojego łóżka i przygląda mi się zdrowym okiem. Mam wrażenie, że nędzna prycza powinna się ugiąć pod jego ciężarem, ale tak się nie dzieje. Jakby nic nie ważył. Jakby był niematerialny, niczym duch.

– Powiem ci coś, mały – odzywa się łagodnie – ale w świetle dnia zaprzeczę. – Zawiesza głos, żeby się upewnić, że słucham go uważnie. – Jesteś najważniejszym marynarzem na tym statku. Jesteś duszą naszej misji. Jeśli ci się powiedzie, a wiem, że tak, czeka nas wielka chwała. Odbędziemy we dwóch wiele wspólnych rejsów. Aż pewnego dnia sam zostaniesz kapitanem.

Nie mogę zaprzeczyć, że przedstawiona przez kapitana wizja jest kusząca. Bardzo dobrze jest mieć cel. A jeśli chodzi o przyszłe podróże, przyzwyczałem się już do natury tego statku i tych wód. Kolejne rejsy w roli marynarza wcale nie są wykluczone.

– Zanurkuje tylko jeden członek załogi – mówi kapitan – i wybrałem ciebie. Ty jeden osiągniesz Głębię Challengeera i odkryjesz jej skarby.

Moje uczucia w tej kwestii są równie głębokie i mroczne jak sam rów.

– Panie kapitanie, bez właściwego sprzętu zmiażdży mnie ciśnienie i...

Podnosi dłoń, żeby mnie uciszyć.

– Wiem, w co wierzysz, ale tutaj jest inaczej. Jesteś już tego świadom, już to widziałeś. Zanurzenie będzie niebezpieczne, temu nie przeczę, ale nie w takim sensie, jak myślisz. – Potem klepie mnie po ramieniu. – Uwierz w siebie, Caden, bo ja w ciebie wierzę.

Nie po raz pierwszy to słyszę.

– Papuga też we mnie wierzyła – mówię.

Na wzmiankę o ptaku się wzdryga.

– Żałujesz, że uwolniłeś nas od tego zdrajcy?

– Nie...

– Papuga dopilnowałaby, żebyś nigdy nie dokończył rejsu. – Kapitan wstaje i zaczyna się przechadzać po ciasnej przestrzeni. – Papuga zakończyłaby twoje przygody raz na zawsze! – Potem celuje we mnie zakrzywionym palcem. – Wolałbyś być kaleką w jej świecie czy gwiazdą w moim?

Wychodzi szybkim krokiem, nie czekając na odpowiedź – a po chwili od jego wyjścia odzywa się strzępek wspomnienia. „Widziałeś kapitana już wcześniej”, powiedziała papuga. Po raz pierwszy uświadamiam sobie, że miała rację... ale strzępek wspomnienia ucieka mi i wsysa go cuchnąca smoła, która spaja statek.

Z każdym upływającym dniem coraz wyraźniej czuję obecność Głębinowego Węża. Płynie za statkiem – za mną. Dostosowuje tempo do naszego. Nie atakuje tak jak grzywoklacze czy Nemezje. Tylko nas śledzi. Co jest jeszcze gorsze.

– Nigdy nie da ci spokoju, mały – mówi mi kapitan, gdy oglądamy przez rufę nasz kilwater. Nie widzę węża, ale wiem, że tam jest, płynie na tyle głęboko, żeby ukryć się przed moim wzrokiem, ale nie przed moją duszą. – Z całą pewnością ma wobec ciebie plany. Plany z wykorzystaniem soków trawiennych. Ale myślę, że on lubi być głodny. Pościg sprawia mu równie dużą przyjemność jak samo pożeranie. To jego słabość.

Kiedy kapitan udaje się na popołudniową herbatkę, albo cokolwiek innego, co człowiek taki jak on robi w wolnym czasie człowiek taki jak on, wspinam się na bocianie gniazdo, żeby być jak najdalej od Głębinowego Węża.

Znienawidziłem bocianie gniazdo prawie tak bardzo jak kapitan. Nigdy nie zaskakują mnie dziwne rzeczy, które tam widuję. Dziś w rytm kołysania morza, niczym kule zielska po pustyni, toczą się głowy. Jedna, mijając mnie, odbija się od mojej nogi.

– Przepraszam – mówi. – To było nie do uniknięcia.

Chyba rozpoznaję jej twarz, ale trajektoria kieruje głowę pod krzesło, gdzie chwilowo utyka, więc nie mam pewności.

Dziś jest nowa barmanka. Ma lodowaty wyraz twarzy, więc przy barze nikt nie siedzi. Bije od niej fala nieprzystępności, niczym pole siłowe. Mimo wszystko podchodzę, choćby na złość.

– Gdzie Dolly? – pytam.

Nowa barmanka wskazuje na jedną z toczących się głów. Rozpoznaję Dolly natychmiast.

– Cześć, Caden – mówi jej głowa, turlając się wskutek nagłej fali. – Pomachałabym ci, gdybym mogła.

– To niefortunne – stwierdza nowa barmanka – ale rozsypanie się nawigatora było wyraźnym znakiem, że konieczne są zmiany.

Potem obok mnie przetacza się kolejna ofiara dekapitacji. Ma krótkie rude włosy. Gonię za tą głową, żeby ją złapać. Podnoszę i patrzę w znajome oczy.

– Carlyle?

– Przykro mi to mówić, Caden, ale nie będę już prowadził waszych zajęć.

Brak mi słów. Nie umiem przyswoić tej wiadomości.

– Ale... ale...

– Nie martw się – odpowiada. – Dziś po południu będzie ktoś nowy.

– Nie chcemy nikogo nowego!

W korytarzu jesteśmy tylko my. Stoję między nim a wyjściem. Wiedziałem, że po tym, co się stało z Halem, ludzie dostaną po tyłku, może nawet wylecą z pracy, ale dlaczego Carlyle?

– Pan nie miał z tym nic wspólnego – mówię. – Przecież tamtego dnia pana tu nawet nie było! – Lodowata nowa pielęgniarka zerka na mnie z głównej dyżurki,

zastanawiając się, czy mój podniesiony głos może oznaczać problemy.

– Uznano, że moje zajęcia były... emocjonalnie toksyczne, przynajmniej dla Hala.

– Wierzy pan w to?

– Nie ma znaczenia, w co wierzę. Szpital musi dać komuś klapsa, a ja byłem łatwym celem. Tak to już działa. – Rozgląda się nerwowo, jakby nawet przyłapanie go na rozmowie ze mną mogło pogorszyć jego sytuację. – Nie martw się o mnie – mówi. – To nie jest tak, że nie mam co robić. Byłem tu ochotnikiem, pamiętasz? – Mija mnie i rusza do drzwi.

– Ale... ale... kto teraz będzie sprzątał wściekle mózgi?

Śmieje się pod nosem.

– I tak jest tu tego dużo beze mnie – odpowiada. – Trzymaj się, Caden.

Potem przytyka kartę do czytnika. Otwierają się wewnętrzne drzwi, wpuszczając go do niedużej śluzy mającej uniemożliwić pacjentom ucieczkę. Potem, kiedy wewnętrzne drzwi się zamykają, otwierają się te zewnętrzne do świata, który leży poza nimi, i Carlyle odchodzi.

Nie wiem, co robić. Nie wiem, na kogo krzyczeć. Barmanka sobie na to nie pozwoli, a chociaż pan Wściekle Ramiona Śmierci wciąż tu jest, on i jego czaszki po prostu się cieszą, że nie turlają się razem z Dolly i całą resztą.

Opuszczam bocianie gniazdo i wpadam do kapitana, żeby się poskarżyć i powiedzieć, że bezgłowe ciało Carlyle'a właśnie zeszło z deski do morza – ale on jest niewzruszony.

– Majtkowie przychodzą i odchodzą – mówi, trzymając po jednej głowie pod każdą pachą. – Idę pod pokład pograć w kręgle. Dołączysz?

– Dzień dobry! Mam na imię Gladys, jestem waszą nową moderatorką na porannych zajęciach grupowych.

Nastrój w sali jest równie bojowy jak w klasie dla trudnej młodzieży. A dzisiaj przyszła nauczycielka na zastępstwo.

Gladys nie przypomina kogoś o imieniu Gladys. Choć w zasadzie nie wiem, jak powinny wyglądać Gladys, nie licząc tych ze starych czarno-białych sitcomów w telewizji. Ma trzydzieści parę lat, blond trwała i lekko niesymetryczne rysy twarzy, co widać wyraźniej, kiedy się uśmiecha.

– Może na początek każdy powie, jak się nazywa.

– My już wiemy, jak się nazywamy – mówi ktoś.

– Ja też chciałabym się dowiedzieć.

– Już pani wie – mówi ktoś inny. – Widziałem, jak przed wejściem czytała pani nasze teczki.

Uśmiecha się do nas łagodnie swoim asymetrycznym uśmiechem.

– Tak, ale dobrze by było połączyć imiona z twarzami.

– To by chyba bolało – rzucam. Skye i parę innych osób śmieją się dla porządku, ale zdawkowy śmiech to za mało, żeby ciągnąć ten sarkazm. Żeby mieć to już z głowy, mówię: – Jestem Caden Bosch.

Kolejne osoby przedstawiają się zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Ku mojemu zdziwieniu nikt nie mówi, że nazywa się „John Dupinsky” albo „Freda Marstch”. Chyba zepsułem zabawę, kiedy podałem swoje prawdziwe nazwisko.

Do grupy dołączyli mój obecny współlokator i jakaś nowa dziewczyna. Parę dni temu zwolniono kilka osób, których już nie pamiętam. Twarze się zmieniają, ale przedstawienie pozostaje bez zmian, jak w sztuce na Broadwayu.

Dzisiaj mało osób dzieli się uczuciami. Ja na pewno nie chcę się dzielić z Gladys niczym. Nigdy. Potem ktoś dyskretnie zaczyna ją nazywać GłaDOS, imieniem złego komputera z serii gier *Portal* – i jeśli do tej pory te zajęcia nie były parodią, to teraz są już na pewno. Kolejno rzucamy nawiązaniami do gry, których ona nie wychwytuje – na przykład jeden chłopak pyta, czy kiedy skończymy, będzie ciasto.

– Nie – odpowiada asymetrycznie zmieszana Gladys. – Nic mi o tym nie wiadomo.

– Czyli... – stwierdza chłopak – chce pani powiedzieć, że ciasto to kłamstwo?

Chichoczą nawet ci, którzy nie mają pojęcia, o czym on mówi, bo to bez znaczenia, że oni nie kumają – grunt, że nie kuma GłaDOS.

W zwykłych okolicznościach może byłoby mi jej żal, ale już nie za bardzo wiem, co to normalne okoliczności, a zresztą nie chcę obdarzać jej swoim współczuciem. Wiem, że to nie jej wina, że zwolnili Carlyle’a, ale teraz robi za worek treningowy, a ja nie mam nic przeciwko temu, żeby okładać go wraz z innymi.

Leżę na łóżku i czekam na koniec świata.

Musi w końcu nadejść, bo nie wyobrażam sobie, żeby świat trwał tak dalej. Ta procesja szarych dni spowitych mentalną mgłą musi się kiedyś skończyć.

Nie mam wiadomości od Callie. Nie spodziewam się, że skontaktuje się ze mną tutaj; nie pozwalają nam mieć telefonów ani dostępu do komputerów, a listu raczej nie napisze. Posunąłem się nawet do poproszenia rodziców, żeby sprawdzali moją pocztę. Podałem im wszystkie hasła, bo prywatność mało już znaczy. Mam gdzieś, czy przeczytają mój spam, a w tym momencie, oprócz wiadomości od Callie, pewnie tylko on przychodzi na skrzynkę. Ale ona nie napisała. Albo rodzice tak mi mówią. Czy powiedzieliby mi, gdyby napisała? Wierzę im tak samo jak tym, którzy mówią, że Hal żyje. Jeśli wszyscy wmówili sobie, że można mnie okłamywać dla mojego dobra, to jak mam wierzyć w cokolwiek, co słyszę?

Czy kłamią, kiedy mówią, że jestem tu od sześciu tygodni? Pewnie nie. Mam wrażenie, że to raczej sześć miesięcy. Mgła i monotonia praktycznie uniemożliwiają ocenę mijającego czasu. Tu nie nazywają tego jednak monotonią. Nazywają to rutyną. Ta rutyna ma nas podnosić na duchu. Ludzie genetycznie dążą do tego, żeby było po staremu, i ta skłonność sięga czasów pierwszych kręgowców. Bezpieczeństwo przez niezmiennosc.

Chyba że ktoś postanowi sprowokować zmianę.

Na przykład wtykając mi nowego współlokatora, do którego nie zamierzam się odzywać. Albo zwalnając jedyną osobę, która pomogła mi zobaczyć bledziutki promień nadziei.

W duchu przeklinam za to wszystkich, w głębi serca wiedząc, że powinienem przeklinać siebie, bo nic z tego by się nie wydarzyło, gdybym złamał przysięgę daną Halowi i na niego doniósł.

– Jeśli nadal będziesz robił postępy – powiedziała mi dziś rano jedna z pielęgniarek – nie widzę powodu, żebyś za kilka tygodni nie wrócił do domu. – Potem dodała: – Ale nie powtarzaj, że to mówiłam. – Unikanie zaangażowania szerzy się wśród zaangażowanych.

Nie czuję postępów, które widzą inni. Jestem tak bardzo zamknięty w chwili obecnej, że nie pamiętam, jaki byłem, zanim trafiłem tutaj. I myślę sobie, że skoro *to* jest lepsze niż *tamto*, czy tego właśnie powinienem się spodziewać, kiedy wrócę do domu? Że będzie po staremu?

Do pokoju przychodzi pielęgniarka z wieczornymi lekami. Najpierw zajmuje się moim współlokatozem, a potem mną. Zaglądam do wesołego papierowego kubeczka. Mój obecny, acz stale zmieniający się koktajl, wieczorem składa się z trzech leków. Zielonej podłużnej pastylki, niebiesko-białej kapsułki i żółtej tabletki rozpuszczającej się w ustach jak cukierek bez smaku. Łykam je pojedynczo, popijając wodą z kubka, który podaje mi pielęgniarka, nieco większego niż ten z lekarstwami. Potem, ponieważ znam procedurę, otwieram usta i rozwieram policzki palcami, jakbym robił do niej

miny, żeby pokazać, że naprawdę wszystko połknąłem.

Po wyjściu pielęgniarki idę do łazienki i wyławiam niebiesko-białą kapsułkę z głębi jamy ustnej, bo ukryłem ją jak chomik wysoko przy dziąsłach. Nigdy by jej nie znalazła, chyba że sprawdziłaby palcami każdy centymetr moich ust. Kiedy kogoś złapią na chomikowaniu leków, naprawdę tak robią. Ale ja byłem grzecznym chłopcem. Do dzisiaj.

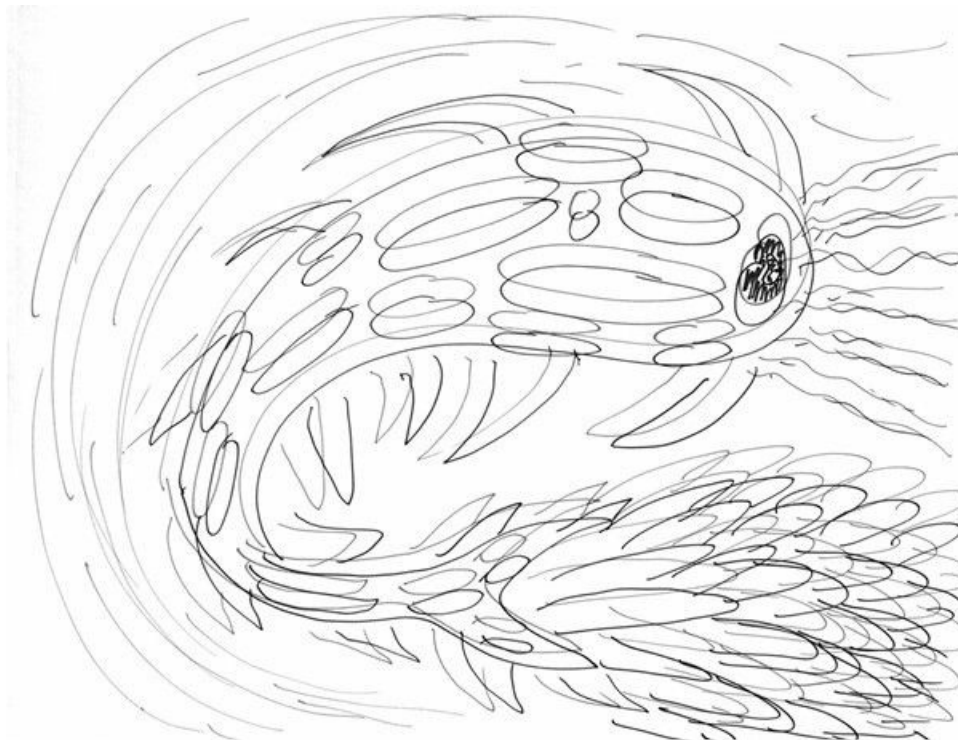
Wiem, że na rozpuszczającą się tabletkę nic nie poradzę, ale może przy odrobinie wprawy uda mi się zachomikować i kapsułkę, i zieloną pastylkę. Cokolwiek czuł Hal, kiedy zrobił to, co zrobił, przynajmniej coś czuł. W tym momencie nawet rozpacz byłaby sukcesem. Dlatego wrzucam proszek do ubikacji i jeszcze na niego sikam dla efektu, a potem spuszczam wodę, zadowolony, że zapewnię leczenie farmakologiczne jakimś obrzydliwym istotom z kanałów.

Potem wracam do łóżka i czekam na koniec świata.

Wiem więcej o lekach psychotropowych, niż może bezpiecznie wiedzieć jeden człowiek. Coś jak diler narkotyków, który spróbował wszystkiego, więc umie ze znanstwem mówić o różnych rodzajach haju.

Większość leków przeciwłękowych działa szybko, robi swoje, a potem wyłapuje je wątroba – ten policjant organizmu – i wypłukuje po niecałej dobie. Lorazepam w zastrzyku uspokaja natychmiastowo. Przyjęty doustnie – w ciągu niespełna godziny, ale już po kilku jego działanie mija.

Z kolei zyprazydon, rysperydon, kwetiapina i wszystkie inne mocarne leki przeciwpsychotyczne mają znacznie dłuższy okres półrozpadu i dłużej uciekają wątrobie. Co więcej, „działanie terapeutyczne”, jak to nazywają, pojawia się z czasem. Trzeba te lekarstwa łykać całymi dniami, a nawet tygodniami, zanim zaczną robić to, za co im się płaci.



Oczywiście większość efektów ubocznych tych leków jest natychmiastowa, w ciągu godziny sprawiają, że czujesz się czymś innym niż człowiek. Kiedy nagle przestajesz je przyjmować – pod warunkiem że nie dostaniesz ataku padaczki i nie umrzesz – te efekty uboczne mijają po dobie albo dwóch. Faktyczne skutki terapeutyczne znikają później, tak samo jak później się pojawiły.

Innymi słowy, na kilka złotych dni przypominasz sobie, jak to jest być normalnym, a dopiero potem spadasz głową w dół w przepaść bez dna.

Poranna mgła się wypala, pozostawiając po sobie bezlik chmur z białej waty ciągnących się od horyzontu po horyzont. Szybko przesuwiają się po niebie, wypełniając dzień stroboskopowymi migawkami słońca i cienia. Poniżej tej dramatycznej perspektywy morze jest jak szkło – idealnie odbijająca obraz powierzchnia, w której niebo przegląda się jak w lustrze. Chmury w górze, chmury na dole. Nie widać różnicy między przestworzem a głębiną.

Nawet nieustanny pęd statku – niesionego teraz przez jednostajny wiatr – nie jest w stanie zmącić tych wód. Zupełnie jakbyśmy ślizgali się po morzu, zamiast po nim płynąć. Wiem, że Głębinowy Wąż podąża za nami gdzieś pod szklistą powierzchnią wody, ale, tak samo jak statek, porusza się całkiem niepostrzeżenie, nie pozostawiając żadnego śladu.

Po bocianim gnieździe nie turla się już ani głowa Carlyle’a, ani niczyja inna. Szczerze mówiąc, to miejsce zupełnie straciło magię. Nie ma baru, nie ma krzeseł, nie ma wstawionych klientów zatraconych w neonowych koktajlach. Bocianie gniazdo jest teraz w środku dokładnie takie, jak wygląda z zewnątrz: beczka o średnicy metra, dostatecznie duża, żeby zmieścił się tam obserwator lustrujący horyzont.

– Jak każdy inny narząd – mówi mi kapitan – zanikło od nieużywania.

Bez otepiałego koktajlu moje zmysły są ostre jak nóż rzeźniczy. Ta klarowność przecina mięso i kości, odsłania miejsca wewnątrz, które nigdy nie powinny ujrzeć światła dziennego. Oczyszcza mnie, wypłukuje od środka i z zewnątrz.

Teraz zostaliśmy tylko ja i kapitan. Reszta załogi zniknęła. Może zostawili nas nocą. A może stwory z głębin zabrały ich za burtę. A może zostali wciągnięci między miedziane płytki i strawieni przez żywą smołę, która spaja statek. Nie tęsknię za nimi. W pewnym sensie to tak, jakby od początku nigdy ich tutaj nie było.

Kapitan stoi za mną przy sterze i przemawia do swojego jednoosobowego zgromadzenia.

– Ma w sobie piekło i dzień, i noc – mówi. – Siedziałem w palącym żarze dnia pod bezlitosnym słońcem i pod kamiennym spojrzeniem niezainteresowanej ludzkości. – Dotyka miedzianej barierki, przesuwa po niej palcem, jakby szukał kurzu. – Łakniesz choćby miedziaka, ale masz żal, kiedy się trafi. Nadążasz?

– Tak.

Uderza mnie mocno w tył głowy.

– Za nikim masz nie nadążać! Masz zawsze prowadzić.

Rozcieram bolący kark.

– Kogo, skoro nikt już tu nie został?

Kapitan rozgląda się i jakby po raz pierwszy zauważa, że na pokładzie nie ma nikogo innego.

– Słuszna uwaga. W takim razie nigdy nie powinieneś napawać się tym, że zostałeś ostatni na placu boju.

– Czego szukamy, panie kapitanie? – pytam, zerkając na chmury powyżej i poniżej

horyzontu. – Skąd będziemy wiedzieć, że jesteśmy na miejscu?

– Będziemy. – Tylko tyle mówi na ten temat.

Trwam za sterem. Bez map nawigacyjnych obracam koło pod wpływem impulsu, jaki mi przyjdzie do głowy. Kapitan nie gani żadnych moich decyzji.

Wreszcie przed nami coś się pojawia. Na początku to tylko kropka, ale gdy się zbliżamy, zmienia się w słup sterczący z wody.

Kieruję nas w jego stronę i gdy dopływamy jeszcze bliżej, widzę, że to więcej niż słup. Jest tam poprzeczka oraz przyczepiona do niej oklapła postać.

Strach na wróble.

Ramiona ma szeroko rozpostarte, a oczy uniesione ku usianemu chmurami niebu w wiecznie błagalnym spojrzeniu – i przychodzi mi do głowy, że wszystkie strachy na wróble wyglądają tak, jakby je ukrzyżowano. Może właśnie to odstrasza wróble.

Ale tak daleko na morzu nie ma żadnych wróbli do odstraszenia. Nie ma mew ani gwarków, w ogóle nie ma żadnych ptaków, nawet papugi. Tak jak mnóstwo innych rzeczy w świecie kapitana, ten strach na wróble wypełnia bezsensowne zadanie.

– Strach na wróble to ostatni znak – mówi mi kapitan z powagą w głosie. Z nutą strachu u człowieka, który nie okazuje strachu. – Dokładnie pod nim jest najgłębsze miejsce na świecie.

Kiedy zbliżamy się do stracha na wróble, wiatr, który wiał tak równo, że przestałem go zauważać, nagle słabnie i znika, pozostawiając po sobie całkowitą ciszę, aż w uszach słyszę bicie własnego serca. Nad nami żagle tracą wypukłą sztywność, zwieszają się wiotkie i bez życia. Suniemy jeszcze trochę, po czym kapitan spuszcza kotwicę. Łańcuch wysuwa się ze szczękiem, a potem się napina. Jego długość jest niczym w porównaniu z głębokością rowu pod nami, ale sekret kotwic polega na tym, że nie muszą dotknąć dna ani nawet się do niego zbliżyć, żeby utrzymać w miejscu największe statki.

Strach na wróble wciąż jest sto metrów przed nami, mniej więcej na jedenastej godzinie za lewą burtą.

– Blżej już nie śmiem podpłynąć, mały – mówi mi kapitan. – Reszta podróży należy tylko i wyłącznie do ciebie.

Wciąż jednak nie ma batyskafu ani dzwonu nurkowego. Niczego, w czym mógłbym dotrzeć na dno.

– Ale jak...

Kapitan unosi dłoń, wiedząc, co chcę powiedzieć.

– Nie dotarłbyś tak daleko, gdyby nie było ci to pisane – mówi. – Metoda objawi się sama.

Rzucam mu chytry uśmiech.

– Metoda w tym szaleństwie?

Nie odpowiada uśmiechem.

– O szaleństwie mówiła papuga, ale dla ludzi takich jak ja i ty to jest jak nauka.

– Nauka, panie kapitanie?

Kiwa głową.

– Tak jest, nadzwyczajna alchemia przemiany tego, co być nie może, w to, co jest. „Szaleństwo”, tak nazywała to papuga, ale cokolwiek gorszego to dla mnie miernota. – Potem patrzy na mnie z odrobiną desperacji, którą próbuje ukryć. – Zazdroszczę ci – mówi. – Całe życie marzyłem o nagrodzie, która czeka tam w dole i która aż do dziś była poza moim zasięgiem. Ale ty przyzwiesz te skarby. Ty wypełnisz nasze luki aż po brzegi łupami przekraczającymi ludzką wyobraźnię.

Zastanawiam się, jak miałbym wydobyć z głębin taki skarb, ale wiem, że odpowiedź będzie identyczna jak w przypadku pytania o sposób zanurzenia. Metoda w tym szaleństwie sama się objawi.

A potem kapitan pyta:

– Wierzysz mi, Cadenie?

Poznaję, że nie zadaje tego pytania ot tak ani nawet dla mojego dobra. On potrzebuje, żebym mu wierzył, tak jakby od tego zależało jego życie. W tym momencie uświadamiam sobie, że wszystko się odwróciło. Już nie on prowadzi mnie – ale ja jego. Nie tylko jego, ale wszystko inne w tym jego świecie. Czuję, że nawet Głębinowy Wąż czeka nerwowo na mój kolejny krok. To przerażająca perspektywa, która uderza do

głowy: być królem wszelkiego przeznaczenia.

- Wierzysz mi, Cadenie? – powtarza pytanie kapitan.
- Tak, wierzę.
- Czy wyrzekasz się papugi i wszystkich jej kłamstw?
- Wyrzekam się.

Wreszcie się uśmiecha.

- W takim razie pora, by ochrzciła cię głębina.

Wsiadam do szalupy – miedzianej łodzi wiosłowej tak małej, że chyba sama nie utrzyma się na powierzchni, a co dopiero obciążona moim ciężarem. Kapitan ją spuszcza, a gdy łódka dotyka wody, nie wywołuje na niej nawet zmarszczki. Wyglądam za burtę i na lustrzanej tafli nie widzę nic oprócz własnego odbicia. Wiem, że to moja twarz, ale jej nie poznaję.

Za każdym razem, kiedy tam zerkam, spodziewam się, że spod wody wystrzeli Głębinowy Wąż, zaciśnie paszczę na mojej głowie i porwie mnie w dół. Zastanawiam się, na co on czeka.

– Z Bogiem, ku nagrodzie! – zachęca kapitan.

Uwalniam szalupę od bloczków i samotnie wypływam na morze.

Wiosłuję w równym tempie w kierunku stracha na wróble, słuchając rytmicznego skrzypienia dulek, które skarżą się przy każdym ruchu. Jestem zwrócony twarzą w stronę statku, bo wiosłuje się zawsze plecami do celu. W miarę jak się oddalam, statek zdaje się kurczyć. Wykonany z zielonego metalu, wydawał mi się taki wielki, kiedy na nim przebywałem, a teraz wygląda jak łódka zabawka. Nie widzę kapitana.

W końcu dopływam do stracha. Sądziłem, że znajduje się na pływającej boi, ale słup to naprawdę drewniany pal, który znika w głębinie i zapewne sięga do samego dna prawie jedenaście kilometrów w dół. Nigdy nie wyrosło drzewo dostatecznie długie, żeby powstał z niego taki pal. Obrastają go muszle i skorupiaki aż do trzydziestu centymetrów nad poziomem wody, prawie dotykają robociarskich butów stracha. Jego dzinsy i flanelowa koszula w kratę nie pasują do tutejszego tropikalnego klimatu, ale co ja mówię? On nie pasuje tu pod żadnym względem.

Na głowie ma słomkową białą fedorę swojego ojca. Jego nos to złamany czerwony obcas buta mojej matki. Oczami są duże niebieskie guziki żółtego wełnianego płaszczyka Mackenzie. Zastanawiam się, czy gdyby uwolnić go ze słupa, chodziłby po wodzie jak Kaliope? Czy jego kończyny to coś jeszcze poza materiałem i wypełnieniem? Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

– Umiesz mówić – pytam – czy mimo wszystko jesteś tylko strachem na wróble?

Czekam, a gdy nie odpowiada, zaczynam mieć wrażenie, że może to robota głupiego. Może jestem skazany na siedzenie w tej łódce w cieniu postaci z rozpostartymi ramionami aż do zmierzchu i jeszcze dłużej. Potem, z cichym zgrzytem płóciennej skóry, strach przechyla do mnie głowę, a jego niebieskie guzikowe oczy lekko się obracają jak szkła lornetki, kiedy łapie ostrość.

– A więc jesteś – mówi, jakby mnie znał i jakby czekał, aż się zjawię. Jego głos jest przytłumiony, lecz donośny, składa się z wielu tonów, jak głos szepczącego chóru.

Nakazuję sercu przestać gwałtownie dudnić.

– Jestem. Co teraz?

– Masz misję dotarcia na dno – odpowiada. – Jest na to wiele sposobów. Możesz na przykład przywiązać nogę do kotwicy statku i niech cię pociągnie.

– To by mnie zabiło – zauważam.

Strach na wróble wzrusza ramionami, o ile w ogóle jest do tego zdolny.

– Owszem, ale na dno byś dotarł.

– Chciałbym tam dotrzeć żywy.

– Ach – mówi. – To już inna bajka.

Potem milczy, patrząc w nicość, tak jak go zastałem. Cisza robi się niezręczna. Zastanawiam się, czy zdążył stracić zainteresowanie i dał sobie ze mną spokój – a potem pojmuję, że czeka na mój ruch, chociaż nie wiem na jaki. Zdaję sobie sprawę z tego, że muszę coś zrobić, więc podpływam szalupą jak najbliżej i przywiązuję linę do słupa, cumując łódkę na znak, że się stąd nie ruszę. Mogę czekać, jak długo będzie trzeba. Zauważam małego kraba, który wyłazi z kieszeni koszuli stracha. Patrzy na mnie, a potem znów się chowa.

Strach na wróble lekko obraca głowę. Na jego płóciennej twarzy maluje się zamyślenie.

– Cyklon idzie – mówi.

Patrzę w niebo. Puchate chmury wciąż suną w równym tempie, ale sztormu nic nie zapowiada.

– Na pewno?

– Murowanie – stwierdza.

I właśnie wtedy morze, które było nieruchome jak tafla szkła, zaczyna się ruszać.

Zauważam zmarszczkę po prawej stronie i wiodę za nią wzrokiem. Coś wynurzyło się na powierzchnię. Widać to tylko niewyraźnie. Ostre metaliczne łuski. Falujące robakowate ciało. Rozpoznaję tę bestię natychmiast. Głębinowy Wąż krąży wokół nas, a ja jestem przerażony. W miarę jak przyśpiesza, całe morze jakby dostosowuje się do jego ruchu, z początku obraca się wolnym wirem, ale szybko nabiera prędkości. Woda zaczyna wirować wokół słupa stracha na wróble, a lina przytrzymująca moją szalupę napina się. Pod wirującą wodą widzę jedno świecące czerwone oko strasznego węża. Jest równie władcze jak oko kapitana. Równie zaczepne jak oko papugi. Jest kwintesencją wszystkich oczu, które kiedykolwiek oglądały i oceniały moje życie.

– Cyklon idzie – powtarza strach na wróble. – Lepiej się schowaj.

Ale nie mam gdzie się schować i on o tym wie. Wąż krąży coraz szybciej. Wirująca woda opada pośrodku, odsłaniając kolejne warstwy morskiego życia przyklepione do słupa, który sam stał się pionową rafą. Szalupa kołysze się w narastającym prądzie i widzę, że lina łącząca ją ze słupem zaczyna strzępić się od ostrych muszli.

Zeskakuję z łódki, gdy ta odrywa się od słupa, i uczepiam się nóg stracha. Nieszczęsna szalupa kołuje wokół pala w coraz większym leju wodnym. Smoła spajająca miedziane deski opuszcza łódkę i wylewa się do morza jak plama oleju. Szalupa rozpada się na kawałki. W wodzie kręcą się też inne rzeczy. Widzę fragmenty nasiąkniętego pergaminu oraz jasne pióra obracające się wraz ze złowrogą czarną smołą. Wirują i wirują jak składniki nowego koktajlu.

Trzymając się mocno nóg stracha na wróble, spoglądam w dół i dostaję zawrotów głowy. Lej pogłębia się w zastraszającym tempie, obracająca się spiralnie woda oddala się, aż wreszcie patrzę w krater bez widocznego dna. Wir huczy mi w uszach jak pociąg towarowy. Od smaku słonej piany prawie się duszę.

Strach na wróble mówi:

– Jeżeli się tam wybierasz, teraz jest dobry moment.
Do tej chwili myślałem tylko, żeby trzymać się mocno.

– Zaraz, w sensie...

– Chyba że twoim zdaniem wersja z kotwicą to był jednak lepszy pomysł.

Na myśl o spuszczeniu się środkiem wiru chwytam się mocniej i zaczynam się wspinać, aż w końcu znajduję się na wysokości jego ramion.

Jeśli się zdecyduję, nie będzie odwrotu. Nie ma liny zabezpieczającej, żeby spowolnić upadek, nie ma kamery, żeby go udokumentować. Nikt nie złapie mnie na dole i wesoło nie odeśle. A jednak wiem, że muszę to zrobić. Muszę oddać się grawitacji. Po to tu jestem. Wypełniam więc głowę wszystkimi myślami, które napędzały mnie do tej pory. Myślę o rodzicach i koszmarze ich bezsilności. O nawigatorze i jego decyzji, żeby się poświęcić. O mojej siostrze, która rozumie, że kartonowe forty mogą się stać aż za bardzo prawdziwe, i o kapitanie, który mnie nękał, ale przygotował mnie do tej chwili. Dam się ochrzcić głębinie. Papuga na pewno nazwałaby to największą z porażek. No cóż, jeśli to kulminacja porażek, uczynię z niej wspinały sukces.

– Po drodze uważaj na słup – mówi strach na wróble. – Pa, pa.

Puszczam się i spadam w lej, wreszcie gotów poznać niepoznane czeluście Głębi Challengeera.

Są książki, których nigdy nie skończę czytać, gry, w które nigdy nie skończę grać, filmy, które zacząłem, ale nie obejrzę ich do końca. Nigdy.

Bywają chwile, kiedy obiektywnie stajemy wobec tego nigdy, i to nas przytłacza.

Raz próbowałem sprzeciwić się przytłaczającemu nigdy, kiedy uświadomiłem sobie, że w moim katalogu muzyki są piosenki, których pewnie nigdy więcej nie usłyszę. Poszedłem do komputera i stworzyłem playlistę złożoną ze wszystkich utworów. Było ich 3628, a odtworzenie całości wymagało 223,6 godziny. Playlista leciała przez kilka dni, aż straciłem zainteresowanie.

Dlatego teraz jestem w żałobie. Opłakuję piosenki, które nigdy więcej nie osiągną moich uszu. Słowa i historie leżące na wiecznie nieotwartych stronach. I mój piętnasty rok. To, że nigdy, od teraz aż po kres czasu, nie będę mógł go skończyć tak, jak powinienem. Przewinąć i przeżyć ponownie, tym razem bez kapitana, papugi, proszków i bezsznurówkowych trzewi Plastikowej Białej Kuchni. Gwiazdy zgasną i skończy się wszechświat, zanim odzyskam ten rok.

To właśnie jest ciężar przykuty do mojej kostki, znacznie cięższy od jakiegokolwiek kotwicy. To jest to przytłaczające nigdy, któremu muszę stawić czoło. I wciąż nie wiem, czy w nim zniknę, czy znajdę sposób, żeby precyzyjnie przecisnąć się na drugą stronę.

Spadam w oko wiru głębokiego na prawie jedenaście kilometrów. Oddaję mu się, rozpościerając ramiona jak spadochroniarz. Ocean wiruje wokół mnie, siła wodnej spirali tworzy pionowy korytarz powietrza niczym tunel czasoprzestrzenny.

Przez wściekle wzburzone ściany leju widzę Głębinowego Węża, który opuszcza się spiralnym ruchem razem ze mną, dopasowuje tempo do prędkości mojego spadania, tak jak wcześniej dopasowywał je do szybkości statku.

Czekam, aż wyskoczy z wody, żeby mnie pożreć, ale wciąż tego nie robi. Słońce i niebo to tylko kropka w górze, więc światło dokoła ma teraz ciemniejszą lazurową barwę. Czy granat przejdzie w czerń i pozostanie w całkowitej ciemności?

Spadanie na dno rowu powinno trwać trzy i pół minuty, ale spadam znacznie dłużej. Minuty rozciągają się i wydają godzinami. Nie da się zmierzyć tego, jak długo lecę, chyba że strzelaniem w uszach w miarę wzrostu ciśnienia. Ile atmosfer teraz na mnie działa? Nie zmierzyłby tego żaden barometr na świecie.

„Ci, co twierdzą, że widzieli dno, łąą”, powiedział kapitan. Teraz wiem, że mówił prawdę.

Potem pode mną dostrzegam niepewne światło i wiem, że muszę zbliżyć się do dna. Przez ściany wiru przebijają wyszczerbione resztki wraków. Uderzam o czubek jakiegoś masztu, a on się łamie. Spadam przez poszarpane resztki pradawnego żagla, potem kolejnego i kolejnego, każdy próbuje mnie złapać, ale bez skutku, aż wreszcie zagłębiam się w mulisty szary osad pokrywający dno świata. Szary, nie czarny. To tutaj umiera czarna smoła.

Jestem obolały, lecz nie połamany. Żagle nie zatrzymały mnie, ale spowolniły. Wstaję, zmuszając drżące kolana, żeby utrzymały mój ciężar.

Zrobiłem to! Jestem tutaj!

Wir wciąż szaleje, ale tu, w jego oku, oglądam mokry księżycowy krajobraz o średnicy pięćdziesięciu metrów. I ku mojemu zaskoczeniu widzę, że ten krajobraz jest usiany mnóstwem stosów złota i klejnotów. Wszystkie skarby dążą do najniższego punktu świata. Oto bogactwa Głębi Challengeera!

Zdębiały i oszołomiony chodzę po tych skarbach, z trudem stawiając kroki w brei wypełniającej przestrzeń między poszczególnymi stosami.

Na brzęk monet odwracam się i widzę, że jest tu ze mną jakaś istota. Mała. Niezdarnie próbuje przeleźć przez jeden ze stosów. Jest mniej więcej wielkości małego psa, ale chodzi na dwóch nogach. Jej ciało ma niezdrowy odcień różu. Istota posiada niezgrabne ramiona, ale bez dłoni. Nie poznaję jej, dopóki nie mówi:

– Słuszna zapłata, słuszna zapłata. Nic w niej słusznego.

To papuga, a przynajmniej jej duch albo może nieumarłe resztki; pewności nie mam. Bez piór wygląda na drobną i niedożywną, jak te małe, chude kury, które można kupić w supermarkecie. Z jej rany po kuli coś się sączy, ale nie krew. Dopiero po chwili poznaję, że to pomarańczowa galaretka. Taka z małymi kawałkami ananasa.

Ruszam w stronę papugi, gotów triumfować. Kapitan miał rację, ona nie. Wybrałem

mądrze. Teraz mogę się tym chełpić. Ale papuga patrzy smętnie swoim niezastłoniętym okiem, jakby to mnie należało współczuć.

– To było do przewidzenia – mówi. – Można doprowadzić konia do wody... można go nawet zmusić, żeby się napił. Ale żeby pił dalej, cóż, to już zależy od konia, od konia, to żadna ironia.

Przez chwilę dziobie słup stracha na wróble, który wznosi się pośrodku oka wiru, odrywa małego fosforyzującego ślimaka morskiego i go pożera. Teraz widzę, że te małe ślimaki są wszędzie, wszystko ma od nich upiorny blask. Ich światło tańczy na klejnotach i stosach złota, sprawiając, że skarb kusi jeszcze bardziej.

– Zmierzyłem się z Rowem Mariańskim i podbiłem Głębię Challengeera – mówię papudze. – Więc możesz wracać do ptasiego piekła czy skąd tutaj przybyłaś.

– Owszem, osiągnąłeś dna – odpowiada. – Ale dno pogłębia się z każdą wyprawą. Wiesz o tym, prawda?

Mdli mnie. Czyżby to wstrząśnienie mózgu od upadku?

– No to bierz ten swój skarb – mówi papuga. – Bierz, bierz. Na pewno pójdzie za tobą wszędzie, gdzie chcesz.

Sięgam w kierunku stosu i wydaję jeden dublon. Wydaje się lżejszy, niż przypuszczałem. Zdecydowanie za lekki jak na złoto. Mdłości zaczynają rozlewać się po ciele. Czuję, że dosięgają palców trzymających monetę. Zaraz coś mnie olśni. Nie chcę tego. Chcę pozostać błogo nieświadomy, ale nie mogę. Obracam dublon w dłoni. Potem drugą ręką dotykam jego krawędzi, podważam kciukiem i odrywam złotą folię, odsłaniając ciemnobrązowe wnętrze.

– To czekolada...

Papuga rzuca mi ten swój wieczny uśmiech.

– Zapas na całe życie.

Wtedy rozglądam się dokoła – tak naprawdę się rozglądam – i widzę, że do wszystkich klejnotów przyłączone są kawałki plastiku. To wcale nie są klejnoty. To lizaki w kształcie pierścionków. Widzę, że zaczynają rozpuszczać się w szlamie.

– Prima aprilis – mówi papuga. – I w kwietniu, i w maju, i w czerwcu, i w lipcu.

Mdłości opanowały mój kręgosłup. Pną się krąg za kręgiem po mojej szyi. Czuję, jak rozpalają mi policzki i uszy. Próbuję wznieść mentalny mur, który nie dopuści ich do mózgu, ale wiem, że nie wytrzyma.

– Przyjrzyj się dokładniej dublonowi – mówi papuga. – No dalej, no dalej!

Ponownie patrzę na czekoladową monetę i wreszcie to widzę. Wytłoczona na niej twarz to twarz kapitana, ale nie taka, jaką znam. Ta twarz jest dużo straszniejsza. Dużo prawdziwsza. Słyszę skrzek papugi, ale znajduje się coraz dalej i dalej. Znowu spadam. Chociaż jestem już na dnie świata, spadam.

Jak dublon, to festyn. Jak festyn, to fetor. Jak fetor, to fenkuł. A jak fenkuł, to...

Westybul sypiącego się budynku.

Jesteśmy na wakacjach w Nowym Jorku. Mam dziesięć lat. Festyn uliczny zatamował ruch, więc znowu pojechaliśmy metrem. Moi rodzice, siostra i ja ponownie wyszliśmy spod miasta w niewłaściwym miejscu. Złym miejscu. Miejscu, w którym – wiem to – raczej nie powinniśmy być.

Nasz hotel znajduje się w Queens. To nie jest Queens. Może to Bronx. Tak sądzi moja mama. Ja nic nie mówię, ale w sekrecie myślę, że może znajdujemy się w dzielnicy, której nie ma na żadnej mapie. Jestem roztrzęsiony i trochę mi niedobrze. Dopiero co byliśmy na Times Square, odwiedziliśmy sklep z czekoladą Hershey's, gdzie kupiliśmy zdecydowanie za dużo jadalnych pamiątek. Oboje z Mackenzie objadaliśmy się nimi podczas tej tajemniczej podziemnej podróży.

Mama i tata się kłócą. Tata upiera się, że metro to wciąż najlepszy sposób, żeby dotrzeć tam, gdzie trzeba. Mama upiera się, żeby złapać taksówkę.

Rozglądam się. Jesteśmy na rogu ulicy, niedaleko sklepu spożywczego, ale jego drzwi i okna są zasłonięte stalowymi roletami pokrytymi graffiti. Przy krawężniku stoją przeładowane kartony warzyw czekających na zbiórkę śmieci, która może nastąpi dopiero za parę dni. Kapusta, ziemniaki, fenkuły, marchewki. Fetor zgnilizny nie robi mi dobrze na przeczekoladowany żołądek.

Właśnie wtedy obracam się i widzę mężczyznę siedzącego w łukowatym wejściu do starego budynku po sąsiedzku. Westybul. Tego słowa nauczył mnie tata, kiedy mijaliśmy dworzec Grand Central. „Tak wielki budynek – powiedział – potrzebuje oddzielnego słowa na nazwanie wejścia”. Powtarzałem je sobie, bo podobało mi się jego brzmienie.

Ten westybul to sklepiony przedsionek prowadzący do ciemnego budynku, który pod każdym względem wygląda na opuszczony. Mężczyzna ma postrzępione ubranie, tak brudne, że nie sposób stwierdzić, w jakim pierwotnie było kolorze. Jego gęsta broda jest splątana. Usiadł w miejscu, gdzie uderza w niego ostre słońce. Pół metra dalej mógłby skryć się przed nim w cieniu, ale zdaje się, że unika cienia jak zarazy. Jest jednak coś, co osłania go przed słońcem.

Na głowie ma karton płatków kukurydzianych Kapitan Crunch.

Na jego widok Mackenzie się śmieje.

– Myślisz, że karton jest pełen, czy zanim włożył go na głowę, najpierw zjadł płatki?

Ale mnie nie wydaje się to śmieszne. Nie jestem pewien, jakie mi się wydaje, ale nie śmieszne.

Widzę, że tata uległ i stoi przy krawężniku, próbując złapać taksówkę, a mama poucza go, żeby robił to bardziej zdecydowanie.

Panicznie boję się mężczyzny w wejściu do domu, z kartonem płatków na głowie, ale jest w nim coś tak pociągającego, że muszę przyjrzeć się z bliska.

Znajduję się kilka kroków od niego, kiedy mnie zauważa. Mruży w słońcu jedno oko, a potem uświadamiam sobie, że wcale go nie mruży. Zamyka mu je sina opuchlizna.

Zastanawiam się, jak do tego doszło. Może pobił go ktoś, komu nie podobało się, że przesiaduje w tym westybulu. Mężczyzna patrzy na mnie swoim jednym widzącym okiem, równie nieufny wobec mnie, jak ja wobec niego. To oko jest jasne i czujne. Więcej niż czujne – zdaje się patrzeć głębiej niż zwyczajne oczy. Wiem, że to oznacza, że coś z nim jest nie tak. Może nawet gorzej niż nie tak. Ale nie mogę nie zauważyć, że kolorem jego oko niewiele różni się od moich.

– Więc to prawda? – pyta.

– Że co? – Mój głos jest słaby i drżący.

– Ptaki – odpowiada. – Że nie mają tętna. Szczury też nie. Wiesz o tym, co?

A kiedy nic nie mówię, wyciąga rękę.

– Dasz grosika?

Sięgam do kieszeni, żeby coś wyjąć. Mam tylko czekoladowe monety ze sklepu Hershey's, już trochę miękkie od noszenia w spodniach. Wkładam mu do ręki całą garść.

On patrzy na monety i zaczyna się śmiać.

W tym momencie matka prawie wyrywa mi ramię ze stawu.

– Caden! Co ty robisz?

Jąkam się przez chwilę, ale nie znajduję odpowiedzi.

– Pani da chłopakowi spokój! – mówi Kapitan. – To dobry chłopak. Prawda, synu?

Mama zasłania mnie własnym ciałem i patrzy niespokojnie na mężczyznę ustrojonego w karton po płatkach. A potem moja mama – która uważa, że uliczni menele wszystkie pieniądze przepijają, która wierzy, że dając jałmużnę, przyczyniamy się do tego, że żebracy pozostają żebrakami, która datki na cele charytatywne wpłaca tylko przy użyciu karty kredytowej – wyjmuję portmonetkę i wręcza mężczyźnie dolara. Widać, że miał w sobie coś takiego, co zmotywowało ją do sięgnięcia po pieniądze, tak jak wcześniej zmotywowało mnie.

Tata, który wreszcie złapał taksówkę, woła od krawężnika, nieco zdziwiony tym, że jego rodzina tak się nagle zainteresowała bezdomnym.

– Dobrze, że taryfą jedziecie, a nie metrem – mówi do nas Kapitan, ale to na mnie patrzy swoim zdrowym okiem. – O tej godzinie metro jest do luftu. Tam na dole można by spędzić wieczność.

Westybul, fenkuł, fetor, festyn, dublon.

Ściskam dublon tak mocno, że zaczyna mi się topić w palcach.

– Odpowiedź miałeś cały czas w kieszeni – mówi papuga. – Zabawne, jak to się układa.

Potem patrzy za mnie, a ja podążam za jej spojrzeniem. Przestrzeń wokół nas gwałtownie się kurczy. Stosy fałszywych bogactw zmywa wzburzona woda. Wir się zapada.

Papuga gwizdże.

– To dopiero, to dopiero. Objawienia rzadko są wygodne, a często przychodzą za późno. – Wydaje się nie tyle zadowolona z siebie, ile po prostu zrezygnowana.

– Czekaj! Musisz mi pomóc!

Wzrusza ramionami.

– Muszę pomóc. Pomagam. Pomogę. Ale tu nie ma cudów. Tylko pęd. Miejmy nadzieję, że wznoszący.

Odwraca się, przeskakuje z jednego stosu fałszywego złota na drugi, a potem wprost w wirującą wodę i znika, zostawiając mnie samego na dnie świata.

Kiedy przestrzeń dokoła mnie niknie, woda wyrywa stosy „skarbów”, które stają się teraz śmieciami wirującymi w zacieśniającym się morskim kręgu. Nikogo nie mogę zawołać, nikt mi nie pomoże. Oprócz siebie wyczuwam tylko obecność węża. Jego zniecierpliwienie osiąga apogeum. Wody zamkną się wokół mnie, a wtedy wreszcie będzie mnie miał i nikt, nawet przeklęty kapitan, nigdy mnie nie znajdzie.

Przywieram do słupa stracha na wróble pośrodku kurczącego się pierścienia. Próbuje się wspinać, ale pokrywają go śliskie algi. Nie mogę się nawet dobrze uchwycić.

Skoro sam sprowadziłem siebie w to miejsce, to musi być jakiś sposób, żeby się wydostać, ale jak? Co mi umyka?

Jedyna odpowiedź, jakiej się doczekam, pochodzi od węża. On do mnie przemawia. Nie słowami, gdyż nie zna żadnego języka. Przemawia do mnie uczuciami, śle mi beznadzieję tak przytłaczającą, że sam Bóg załamałby się pod jej ciężarem.

„Twój los jest nieunikniony – mówi to uczucie. – Byłeś skazany na zgubę, odkąd tylko podjąłeś się zanurzenia. Rozewrę szczęki i cię pochłonę. Ale cię nie pożrę. Nie, to byłoby zbyt proste. Będę cię żuł jak gumę tak długo, aż ostatni ślad Cadena Boscha zniknie i zostaniesz już tylko czarną smołą między moimi zębami. I tam pozostaniesz, uwięziony w paszczy szaleństwa na całą wieczność”.

Tak łatwo byłoby się poddać. Jedenaście kilometrów oceanu zaraz zwali mi się na głowę, a tuż obok mnie jest apokaliptyczny demon. Czemu nie miałbym od razu rzucić się w jego gardziel? Dawid do walki z Goliatem miał przynajmniej procę.

A co mam ja?

Co mam?

W tych ostatnich chwilach, gdy oko wiru zaciska się wokół mnie ze wszystkich stron, przypominają mi się słowa papugi. „Odpowiedź miałeś cały czas w kieszeni”.

Patrzę na dublon, który wciąż ściskam w prawej ręce. Myślałem, że papudze chodziło o czekoladowe monety z moich wspomnień – ale jej w tych wspomnieniach nie było. Papuga wie mnóstwo rzeczy, ale tego wiedzieć nie mogła!

Wpycham drugą rękę do kieszeni. Z początku wydaje mi się, że nic tam nie ma – ale potem coś znajduję. Ma dziwny kształt i nie rozumiem, co to takiego, dopóki tego nie wyjmę.

To niebieski puzzel.

Ma dokładnie ten sam odcień błękitu co maleńka plamka nieba wiele kilometrów nad moją głową.

I nagle czuję, że wąż się wzdryga.

Bo do ukończenia nieba brakuje tylko tego jednego kawałka...

...a niebo pragnie zostać ukończone jeszcze bardziej, niż wąż pragnie mnie.

Patrzę na swoją prawą rękę, w której trzymam monetę, i lewą, trzymającą obietnicę nieba. Wiem, że padłem ofiarą wielu rzeczy poza moją kontrolą – ale oto w tej chwili, w tym miejscu, jest coś, co sam mogę wybrać. „Tutaj nie ma cudów”, powiedziała papuga – ale nie ma też beznadziei, bez względu na to, co chce mi wmówić wąż. Nic nie jest nieuniknione.

Kiedy lej ma już niecały metr średnicy i stale się zwęża, upuszczam dublon, zaciskam palce na kawałku układanki i unoszę pięść, żeby dopełnić dalekie niebo.

I nagle się wznoszę.

Kiedy wokół mnie zapada się wir, wystrzeliwuję w górę, jakby ktoś chwycił mnie za nadgarstek.

Spieniona woda burzy się pod moimi stopami. Czuję wściekły skowyt węża. Wyczuwam żar jego ognistego oka. Wąż kłapie paszczą tuż za mną, ale wciąż jest o centymetr za daleko od moich pięt.

Mam wrażenie, że impet zaraz wyrwie mi rękę. Czuję siłę pędu w każdym stawie ciała, znacznie szybszego, niż kiedy spadałem. Szybszego od nędznej siły grawitacji. Szybszego niż wąż, nadal usiłujący zalać mój umysł swoim requiem beznadziei.

Niebieski krążek nieba nade mną rośnie i rośnie, aż w końcu wystrzeliwuję obok stracha na wróble i oddalam się od głębiny.

Szybuję w górę, w objęcia przestworzy, i widzę tylko błękit.

Jest wiele rzeczy, których nie rozumiem, ale jedno wiem na pewno: nie istnieje coś takiego jak „prawidłowa” diagnoza. Są tylko objawy i hasła odnoszące się do grup objawów.

Schizofrenia, zaburzenie schizoafektywne, choroba dwubiegunowa typu pierwszego, choroba dwubiegunowa typu drugiego, depresja, zaburzenie obsesyjno-kompulsyjne i tak dalej, i tak dalej. Te łatki nic nie znaczą, bo nigdy nie ma dwóch takich samych przypadków. Każdy wykazuje inne objawy i inaczej reaguje na leki, a żadne rokowanie nigdy nie jest pewne.

Jesteśmy natomiast gatunkiem skorym do szufladkowania. Chcemy, żeby wszystko w życiu upakować w pudełka, które da się opisać. Ale to, że potrafimy je opisać, nie oznacza jeszcze, że naprawdę wiemy, co się w każdym znajduje.

To trochę jak z religią. Daje nam komfort przekonania, że zdefiniowaliśmy coś, co z natury jest niedefiniowalne. Jeśli chodzi o to, czy trafiliśmy w sedno – cóż, to tylko kwestia wiary.

Moja wyprawa w niebo prowadzi do wielu miejsc, których nie pamiętam, trwa wiele dni, których nie zliczę, aż wreszcie trafiam z powrotem tam, skąd zacząłem. Do białego pokoju oświetlonego fluorescencyjnym światłem, zamkniętego w niewidzialnej galaretkce. Czuję, że moje ciało drży, ale nie jest mi zimno. Wiem, że to przez leki – coś na mnie działa albo właśnie przestaje.

Z góry patrzy na mnie pastelowa persona. Zadaje mi pytanie po cirquijsku, a ja odpowiadam po klingońsku. Na chwilę zamykam oczy, noc zmienia się w dzień i nagle zamiast pastelowej stoi przede mną doktor Poirot. Już się nie trzęsę, a on mówi nawet po angielsku, chociaż jego głos nie do końca pokrywa się z ruchem ust.

– Czy wiesz, gdzie jesteś? – pyta.

Tak, chcę powiedzieć, w Plastikowej Białej Kuchni – ale wiem, że on nie taką odpowiedź chce usłyszeć. Co ważniejsze, nie w taką odpowiedź ja chcę wierzyć.

– W szpitalu Seaview – mówię. – Oddział psychiatrii dzieci i młodzieży. – Słyszając te słowa wydobywające się z moich ust, jestem o krok bliżej uwierzenia, że to prawda.

– Miałeś lekkie pogorszenie – mówi Poirot.

– Co pan nie powie.

– Owszem, ale najgorsze masz już za sobą. Z przyjemnością stwierdzam, że przez ostatnie kilka dni obserwuję u ciebie wyłącznie pęd wznoszący. Twoja świadomość otoczenia to dobry znak, bardzo dobry znak.

Świeci mi punktową latarką w oczy i zerka do karty. Spodziewam się, że wyjdzie albo może znów przeistoczy się w którąś z pielęgniarek, ale on przysuwa sobie krzesło i siada.

– Tydzień temu badanie krwi wykazało u ciebie nagły spadek poziomu leków. Masz pomysł dlaczego?

Rozważam, czy rozkosznie strugać głupiego, ale po co?

– Tak – odpowiadam, nie owijając w bawełnę. – Chomikowałem proszki.

Na jego twarzy pojawia się przewrotny uśmiezek i Poirot mówi coś, czego się w ogóle nie spodziewałem:

– Dobrze.

Przyglądam mu się przez chwilę, usiłując stwierdzić, czy naprawdę tak powiedział, czy tylko usłyszałem to w głowie.

– Jak to dobrze? – pytam.

– To znaczy wtedy nie było to dobre, nawet wcale, ale teraz owszem. Bo teraz widzisz skutki. Przyczyna i skutek, przyczyna i skutek. Teraz już wiesz.

Chcę być na niego zły, a przynajmniej lekko poirytowany, ale nie mogę. Może dlatego, że ten jeden raz nie przeszkadza mi, że chyba ma rację. Albo może to przez leki.

Z Poirotem jest coś nie tak. Dotąd majaczyło to na granicy mojego postrzegania, ale teraz doktor przysuwa się na tyle, że już rozumiem, o co chodzi. Zniknął jego kolorowy strój. Zamiast niego Poirot ma na sobie beżową koszulę z kołnierzykiem na guziki

i równie nieciekawym krawatem.

– Gdzie hawajska koszula? – pytam.

Wzdycha.

– No cóż, dyrekcja szpitala uznała, że nie kojarzy się z profesjonalizmem.

– Idioci – stwierdzam.

Słyszając to, doktor parska skrzelikowym śmiechem.

– W życiu przekonasz się, że wiele decyzji podejmują idioci na górze.

– Sam byłem idiotą na górze – mówię. – I chyba lepiej sobie radzę na ziemi.

Uśmiecha się do mnie. To trochę inny uśmiech niż ten terapeutycznie przyklejony do twarzy. Ciepleszy.

– W poczekalni są twoi rodzice. To nie pora odwiedzin, ale udzieliłem specjalnej zgody, żeby tutaj byli. Oczywiście pod warunkiem, że chcesz się z nimi zobaczyć.

Rozważam tę perspektywę.

– No... Czy mój ojciec ma na głowie słomkową fedorę, a matka chodzi ze złamanym obcasem?

Poirot lekko przekręca głowę, żeby przyjrzeć mi się uważniej swoim zdrowym okiem.

– Nie wydaje mi się.

– Dobrze, czyli są prawdziwi. W takim razie chcę się z nimi zobaczyć.

Każda inna osoba po takich słowach dziwnie by na mnie spojrzała, ale nie Poirot. Z jego punktu widzenia fakt, że wykształcam „kryteria realności”, to pozytyw. Wstaje.

– Przyślę ich – mówi. Potem chwilę się waha, przygląda mi się jeszcze przez chwilę, i dodaje: – Witaj z powrotem, Caden.

Gdy wychodzi, postanawiam, że jeśli kiedyś stąd wyjdę, kupię mu drogi jedwabny krawat w kolorowe ptaki.

Chcę oddać Skye puzzla, ale nie mogę go znaleźć. Jej układanka wciąż leży kompletna z wyjątkiem tego jednego kawałka. Nikomu nie wolno jej dotknąć, by nie narazić się na straszliwy gniew Skye. Potem pewnego dnia Skye zostaje wypuszczona, a wtedy pastelowi rozbierają puzzle i chowają je do pudełka, żeby czekały na innych pacjentów. Moim zdaniem to straszliwie okrutne: zatrzymać układankę, o której wiadomo, że brakuje w niej jednego kawałka.

Hal już nie wraca i nikt nigdy nie mówi mi przekonująco, czy przeżył, czy umarł. Otrzymuję za to list pokryty liniami, bazgrołami i symbolami, których nie umiem odczytać. Może pochodzi od Hala, może to dowcip kogoś z co bardziej nieprzyjemnych pacjentów wypuszczonych do domu, a może przysłał go ktoś, komu na mnie zależy i kto chce mnie uspokoić – mniej więcej tak, jak moi rodzice pisywali odpowiedzi na moje listy do Świętego Mikołaja, kiedy byłem mały. W tej kwestii wszystkim teoriom przypisuję jednakowe prawdopodobieństwo.

Callie już nigdy się nie odzywa. To nic. Nie liczyłem na to. Mam nadzieję, że życie zabierze ją bardzo daleko od wszystkiego, co przypominałoby jej o tym miejscu, a jeśli to oznacza, że również daleko ode mnie, zaakceptuję to. Chodziła po wodzie, zamiast utonąć. To mi wystarczy.

Potem pewnego dnia wreszcie zapada decyzja, że znowu tworzę całość ze światem rzeczywistym – a przynajmniej jest on w moim zasięgu – i zostaję wypuszczony w czułe objęcia mojej rodziny.

W ostatni dzień noszenia „mentalnego gipsu” siedzę w swoim pokoju, wszystkie rzeczy mam spakowane w solidne plastikowe torby zapewnione przez szpital. Są w nich wyłącznie moje ubrania. Artykuły plastyczne postanowiłem zostawić innym pacjentom. Kredki ołówkowe pewnego dnia, kiedy nie patrzyłem, zabrał mi personel, zostawiając tylko plastikowe flamastry i miękkie pastele – to, czego nie trzeba ostrzyć.

Rodzice przyjeżdżają o 10.03 rano, jest z nimi nawet Mackenzie. Mama i tata podpisują równie dużo dokumentów jak wtedy, gdy mnie przyjmowano, i tak po prostu jest po wszystkim.

Proszę o kilka minut, żeby móc się pożegnać, ale zajmuje to mniej czasu, niż sądziłem. Pielęgniarki i różni pastelowi życzą mi wszystkiego dobrego. Pan Wściekłe Ramiona Śmierci przybija ze mną żółwika i mówi, żebym „zawsze był sobą”, co zakrawa na tak wielką ironię losu, że ani on, ani jego czaszki tego nie pojmą. GłaDOS prowadzi zajęcia i chociaż wtykam głowę do sali, żeby powiedzieć do widzenia, dla wszystkich to krępujące. Już wiem, jak się czuła Callie, kiedy odchodziła. Jest się po drugiej stronie szyby, zanim jeszcze wyjdzie się na zewnątrz.

Tata łagodnie kładzie rękę na moim ramieniu i przygląda mi się, zanim przejdziemy przez służbę drzwi wyjściowych.

– Wszystko w porządku, Caden? – Czyta we mnie w taki sposób, jak jeszcze nigdy wcześniej. Jak Sherlock Holmes przez lupę.

– Tak, jest okej – odpowiadam.

Uśmiecha się.

– No to zjeżdżajmy stąd.

Mama mówi, że w drodze do domu zahaczymy o lodziarnię Cold Stone, bo wie, że to moja ulubiona. Dobrze będzie nie jeść lodów drewnianą łyżką.

– Mam nadzieję, że nie zrobiliście w domu żadnego wielkiego numeru z balonami, transparentem „witaj w domu” i tak dalej – mówię.

Niezręczna cisza to znak, że owszem, w domu czeka na mnie wielki numer.

– Balon jest tylko jeden – odpowiada mama.

Mackenzie spuszcza wzrok.

– Ja ci kupiłam balon. To co?

Teraz mam wyrzuty sumienia.

– No... Czy to jest taki wielki balon, jakby uciekł z parady na Święto Dziękczynienia?
– pytam.

– Nie, taki to nie – mówi.

– W takim razie wszystko w porządku.

Stoimy przed wyjściem. Otwierają się wewnętrzne drzwi i wchodzimy do ciasnej śluzy. Mama obejmuje mnie ramieniem i widzę, że robi to nie tylko dla mnie, ale też dla siebie. Potrzebuje otuchy płynącej z tego, że wreszcie może dodać jej mnie – czego nie mogła zrobić od bardzo dawna.

Moja choroba przeczołgała nas przez rowy i okopy, a choć w moim przypadku był to, cóż, Rów Mariański, nie zlekceważę tego, przez co przeszła moja rodzina. Nigdy nie zapomnę, że rodzice przyjeżdżali do szpitala każdego dnia, nawet kiedy ja byłem zupełnie gdzie indziej. Nigdy nie zapomnę, że moja siostrzyczka trzymała mnie za rękę i próbowała zrozumieć, jak to jest tam przebywać.

Za nami drzwi wewnętrzne już się zamknęły. Wstrzymuję oddech. Potem otwierają się drzwi zewnętrzne i znowu jestem dumnym członkiem racjonalnego świata.

Godzinę później, po obłędnie dekadencjonalnej uczcie lodowej, przyjeżdżamy do domu. Gdy tylko skręcamy w naszą ulicę, widzę balon Mackenzie. Jest przywiązany do skrzynki pocztowej na trawniku i leniwie kołysze się na wietrze. Śmieję się na głos, widząc jego kształt.

– Gdzieś ty znalazła foliowy mózg? – pytam Mackenzie.

– W internecie – odpowiada, wzruszając ramionami. – Mają też wątroby i nerki.

Przytulam ją.

– Najlepszy balon świata.

Wysiadamy z samochodu, a potem, za zgodą siostry, odwiązuje napęczniony helem mózg i wypuszczam go, po czym patrzę, jak unosi się, unosi, a w końcu znika.

Dziewięć tygodni. Tyle byłem w szpitalu. Upewniam się, zerkając do kalendarza w kuchni, bo wydawało mi się, że minęło znacznie więcej czasu.

Są już wakacje, ale nawet gdyby szkoła jeszcze się nie skończyła, nie byłbym zdolny do koncentracji w klasie. Poziomem uwagi i motywacji mogę konkurować z morskim bezkręgowcem. Częściowo to skutek choroby, a częściowo – działania leków. Podobno będzie mi się powoli poprawiać. Wierzę, choć bez przekonania. To również przeminie.

Jeszcze nie wiadomo, co będzie, kiedy zacznie się nowy rok szkolny. Może wrócę dopiero w styczniu i powtórzę drugi semestr drugiej klasy. A może pójdę do nowej szkoły, gdzie będę miał świeży start. Może przerobię program w domu, żeby nadgonić materiał. Może we wrześniu pójdę do trzeciej klasy jak gdyby nigdy nic, a zaległości nadrobię w przyszłym roku na letnich kursach. Nawet w analizie matematycznej jest mniej zmiennych niż w mojej edukacji.

Mój lekarz mówi, że mam się tym nie martwić. Mój nowy lekarz – nie Poirot. Po wyjściu ze szpitala dostaje się nowego lekarza. Tak to działa. Ten nowy jest w porządku. Poświęca mi więcej czasu, niż się spodziewałem. Przepisuje mi leki. Biorę je. Nie cierpię ich, ale biorę. Jestem otępiały, lecz nie tak otępiały jak kiedyś. Teraz galaretka jest już trochę roztrzepana.

Mój nowy lekarz to doktor Fischel. Pasuje, bo z twarzy przypomina pstrąga. Zobaczymy, jak z nim pójdzie.

Mam taki sen. Chodzę z rodziną po jakimś nadmorskim deptaku. Może w Atlantic City albo Santa Monica. Mackenzie zaciąga rodziców na molo z lunaparkiem – kolejka górską, samochodziki – a ja, choć próbuję iść z nimi, zostaję z tyłu i nie mogę nadążyć. Wkrótce gubią mi się w tłumie. A potem słyszę taki głos:

– Ej, ty tam! Miałem cię na oku!

Odwracam się i widzę jacht. Nie taki zwyczajny, ale rozmiarów godnych złoczyńcy z filmów o Bondzie. Lśni złotem, okna ma całkiem czarne. Jest jacuzzi, leżaki, a cała załoga składa się z pięknych dziewczyn w skąpych bikini. Na kładce natomiast stoi znajoma postać. Ma przystrzyżoną bródkę, a jako mundur nosi białą dwurzędową marynarkę ze złotą lamówką. Mimo wszystko wiem, kto to jest.

– Nie możemy wypłynąć bez pierwszego oficera. A jesteś nim ty.

Gdy się oglądam, znajduję się w połowie pomostu, zaledwie kilka kroków od jachtu. Nie pamiętam, żeby tam szedł.

– Twoja obecność na pokładzie to będzie dla mnie przyjemność – mówi kapitan.

– Co to za misja? – pytam, dużo bardziej zaciekawiony, niż chciałbym być.

– Rafa na Karaibach – odpowiada. – Jeszcze żaden człowiek nie widział jej na oczy.

Masz uprawnienia do nurkowania z akwalungiem, co?

– Nie – mówię.

– No cóż, to ja ci je muszę przyznać, prawda?

Uśmiecha się do mnie. Jego zdrowe oko przygląda mi się ze znajomą przenikliwością, która jest niemal przyjemna. Niemal czuję się jak w domu. Na drugim oku kapitana nie ma przepaski, a pestkę brzoskwini zastąpił brylant, który lśni w południowym słońcu.

– Wszyscy na pokład! – woła kapitan.

Zwlekam, stojąc na pomoście.

Zwlekam.

Zwlekam jeszcze trochę.

A potem mówię mu:

– Raczej nie.

Nie próbuje mnie przekonać. Tylko uśmiecha się i kiwa głową. Potem mówi cichym głosem, który jakimś cudem jest głośniejszy niż tłum na molo za mną:

– W końcu i tak wrócisz tam na dół. Wiesz o tym, prawda? Wąż i ja nie pozwolimy, żeby było inaczej.

Zastanawiam się nad tym i choć ta myśl mnie mrozi, nie mogę zaprzeczyć, że to bardzo realna perspektywa.

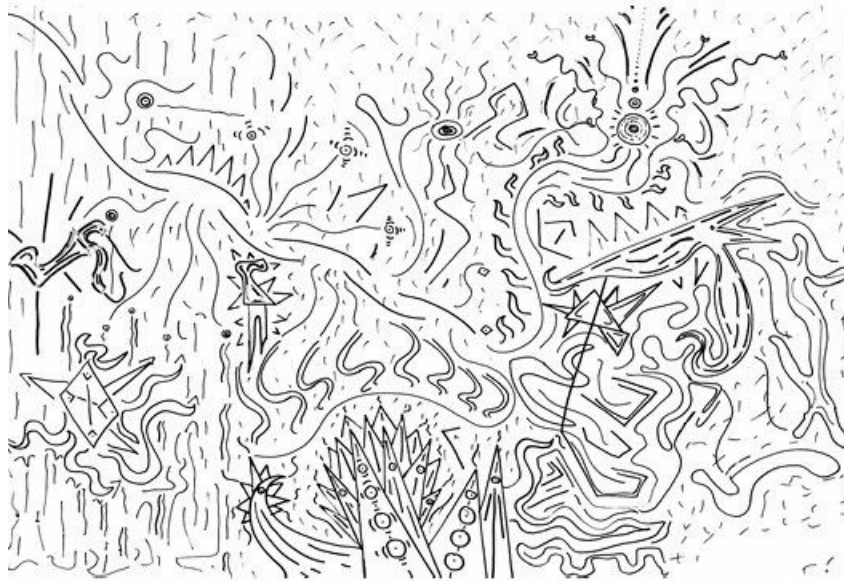
– Możliwe – odpowiadam kapitanowi. – Pewnie tak – przyznaję. – Ale nie dzisiaj.

Odwracam się i idę z powrotem po molo. Jest wąskie i niestabilne, ale z niestabilnością mam już doświadczenie, więc to dla mnie nic nowego. Kiedy znów jestem bezpieczny na pomoście, oglądam się, przypuszczając, że może jacht zniknął, jak to mają w zwyczaju takie widma – ale nie, wciąż tam jest, a kapitan wciąż czeka,

wbijając we mnie spojrzenie swojego oka.

Uświadamiam sobie, że będzie czekał zawsze. Nigdy nie odejdzie. A z czasem może zostanę jego pierwszym oficerem, czy tego chcę, czy nie, poześlujemy do miejsc egzotycznych, żebym znowu mógł zanurkować, i znowu, i znowu. I może pewnego dnia zanurkuję tak daleko, że Głębinowy Wąż mnie dopadnie, a ja nie znajdę drogi powrotnej. Nie ma sensu zaprzeczać, że takie rzeczy się zdarzają.

Ale nie zdarzy się to dziś – i jest w tym fakcie głęboka, niezachwiana otucha. Na tyle głęboka, żeby doprowadzić mnie do jutra.



Głębia Challengerera absolutnie nie jest utworem fikcyjnym. Miejsca, do których trafia Caden, są aż nazbyt realne. Widmo choroby umysłowej dotyka co trzecią amerykańską rodzinę. Wiem o tym, ponieważ nasza rodzina jest jedną z nich. Doświadczyliśmy wielu takich samych przeżyć jak Caden i jego bliscy. Patrzyłem, jak ktoś, kogo kocham, zapuszcza się w głębie, i czułem się bezsilny, nie mogąc tego zanurzenia powstrzymać.

Z pomocą mojego syna starałem się uchwycić naturę tego zanurzenia. Wrażenia ze szpitala, poczucie strachu, paranoi, manii i depresji są prawdziwe, podobnie jak wrażenie „galaretki” i otępienia po lekach (przekonałem się o tym osobiście, gdy przez pomyłkę połknąłem dwie tabletki kwetiapiny zamiast exceedrinu). Ale prawdziwe jest również zdrowienie. Choroba umysłowa nigdy nie mija całkowicie, ale w pewnym sensie można wymusić remisję. Tak jak mówi doktor Poirot, to nie jest nauka ścisła, lecz mamy tylko to – i stan tej nauki poprawia się z każdym dniem, w miarę jak dowiadujemy się coraz więcej na temat mózgu oraz umysłu i opracowujemy doskonalsze, lepiej ukierunkowane leki.

Dwadzieścia lat temu mój najserdeczniejszy przyjaciel, który cierpiał na schizofrenię, odebrał sobie życie. Mój syn natomiast znalazł swój kawałek nieba i szczęśliwie uciekł z głębin, z czasem stając się bardziej podobny do Carlyle’a niż do Cadena. Szkice i rysunki w tej książce są jego autorstwa, wszystkie powstały, kiedy przebywał w głębinach. Dla mnie nie ma na świecie wspanialszej sztuki. Ponadto z jego wierszy zostały zaczerpnięte niektóre spostrzeżenia Hala na temat życia.

Mamy nadzieję, że *Głębia Challengerera* przyniesie pocieszenie tym, którzy również byli w takich miejscach, pokazując im, że nie są sami. Liczymy też na to, że innym ludziom pomoże wczuć się w ich sytuację i zrozumieć, jak to jest żeglować po mrocznych, nieprzewidywalnych wodach choroby umysłowej.

A kiedy bezdeń spojrzysz w was – a spojrzysz – obyście odpowiedzieli pewnym spojrzeniem.

Wykaz wybranych placówek, w których można otrzymać informacje i/lub pomoc w zakresie problemów i zaburzeń psychicznych dzieci i młodzieży

Polskie Towarzystwo Psychologiczne, Sekcja Psychologii Klinicznej Dziecka.
www.ptp-dziecko.org.pl

Polskie Towarzystwo Psychoterapii Psychodynamicznej, Sekcja Psychoterapii Dzieci i Młodzieży – zajmuje się między innymi badaniami naukowymi dotyczącymi psychoterapii psychodynamicznej dzieci i młodzieży oraz psychoterapii psychodynamicznej okołoporodowej oraz rozwojem psychoterapii dzieci i młodzieży.
www.psychodynamika.pl/sekcja-psychoterapii-dzieci-i-mlodziezy/

Stowarzyszenie Psychoterapeutów Dziecięcych im. Donalda Winnicotta – zajmuje się między innymi rozwojem wolontariatu terapeutycznego na terenie Polski dla dzieci i rodzin będących w trudnej sytuacji życiowej.
www.stowarzyszenie-winnicott.pl

Krakowski Ośrodek Terapii, Specjalistyczna Poradnia Psychologiczno-Pedagogiczna – zajmuje się psychoterapią indywidualną, grupową i rodzinną dla dzieci, młodzieży i rodzin.
www.kot.krakow.pl

Uniwersytet dla Rodziców, Specjalistyczna Poradnia Psychologiczno-Pedagogiczna w Warszawie – zajmuje się pomocą dla rodziców przeżywających problemy wychowawcze, rodzinne i osobiste, pomocą dla dzieci z adhd oraz dzieci zdolnych.
www.sppp-udr.org

Specjalistyczna Poradnia Opta w Warszawie – zajmuje się pomocą dla dzieci w wieku przedszkolnym, szkolnym, młodzieży gimnazjalnej i ponadgimnazjalnej.
www.optaporadnia.pl

Powiślańska Fundacja Społeczna – zajmuje się zapobieganiem wykluczeniu społecznemu rodzin.
www.pfs.pl

Fundacja „Dajemy dzieciom siłę” (dawniej Dzieci Niczyje) – zajmuje się pomocą dzieciom – ofiarom krzywdzenia fizycznego i emocjonalnego, zaniedbania oraz wykorzystania seksualnego.
www.fdds.pl

Stowarzyszenie Aslan w Warszawie – zajmuje się pomocą psychologiczną dla dzieci i młodzieży mających problemy z rówieśnikami, dorosłymi, w szkole, w rodzinie, z jedzeniem, snem, stresem i podobnymi problemami.

www.aslan.org.pl

Towarzystwo Pomocy Młodzieży – zajmuje się pomocą psychologiczną dla młodzieży w wieku 15–25 lat w trudnej sytuacji życiowej, borykającej się z problemami psychologicznymi.

www.tpm.org.pl

Towarzystwo Przyjaciół Dzieci – zajmuje się pomocą dzieciom i rodzinom w trudnej sytuacji życiowej.

www.warszawa.tpd.org.pl

Stowarzyszenie „Blżej dziecka” – zajmuje się pomocą dzieciom doświadczającym przemocy ze strony rówieśników.

www.przemocwzskole.org.pl

Komitet Ochrony Praw Dziecka – Centrum Interwencyjne – zajmuje się pomocą psychologiczną i prawną dla dzieci i młodzieży zagrożonych przemocą.

www.kopd.pl

Rzecznik Praw Dziecka – dziecięcy telefon zaufania 800 121 212.

www.brpd.gov.pl

Telefon zaufania dla dzieci i młodzieży, ogólnopolski, bezpłatny i anonimowy 116 111.

www.116111.pl

Fundacja Synapsis – misją fundacji jest niesienie profesjonalnej pomocy dzieciom i dorosłym osobom z autyzmem i ich rodzinom.

www.synapsis.org.pl

Fundacja Pro Domo – promocja i profilaktyka zdrowia psychicznego w odniesieniu do dzieci i młodzieży szkolnej, programy prewencji zaburzeń psychicznych dla uczniów, nauczycieli i rodziców.

www.salusprodomo.pl

Centrum Medyczne Salus Pro Domo – profesjonalna pomoc psychologiczna, psychiatryczna i psychoterapeutyczna dla dzieci i młodzieży oraz rodziców.

www.salusprodomo.pl

Towarzystwo Autyzmu w Toruniu – zajmuje się diagnozą autyzmu oraz zaburzeniami ze spektrum autyzmu i terapią.

www.kta.fm.interiowo.pl

Stowarzyszenie Rodziców Dzieci Autystycznych – Specjalny Ośrodek Opiekuńczo Wychowawczy dla Dzieci i Młodzieży z Autyzmem w Gorzowie Wielkopolskim, ul. Drzymały 13, tel: (095) 722 60 97.

Fundacja Dom Rodzinnej Rehabilitacji Dzieci i Młodzieży z Porażeniem Mózgowym w Opolu.

www.fundacja-dom.opole.pl

Opracowała Lucyna Muraszkiewicz

¹ F. Nietzsche, *Poza dobrem i złem*, tłum. Stanisław Wyrzykowski, Kraków 1912.

Tytuł rozdziału 115. zaczerpnięto z *Makbeta* Williama Szekspira w przekładzie Józefa Paszkowskiego.

Przekład: Rafał Lisowski
Redakcja: Anna Kubalska
Korekta: Beata Wójcik, Marek Arcisz

Ilustracje we wnętrzu książki: © 2015 by Brendan Shusterman
Ilustracja na okładce © 2015 by Andy Bridge
Projekt okładki oryginalnej © Erin Fitzsimmons
Projekt okładki na podstawie wersji oryginalnej: Tomasz Majewski

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4332-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo